

Mojej słotnie zarzuciłem sieć w ich morze i chciałem nałapać ryb, ale za każdym razem wyciągałem głowę jakiegoś starożytnego boga.
Nietzsche

Odłot z Ziemi

ROZDZIAŁ I

Był to typowy, nie przynoszący satysfakcji dzień. Carmody przyszedł do biura, niezobowiązująco poflirtował z panną Gibbon, z szacunkiem posprzeczał się z panem Waniorkiem i spędził piętnaście minut z panem Blackwellem, omawiając szansę futbolowej drużyny Gigantów. Pod koniec dnia pokłócił się z panem Seidlitzem — namiętnie i z całkowitym brakiem znajomości rzeczy — na temat postępującego wyczerpywania się bogactw naturalnych kraju i bezlitosnej ekspansji licznych niszczycielskich organizacji, takich jak Con Ed, Korpus Inżynieryjny Armii, turyści, podpalacze i wydawcy pulpy. Wszyscy oni — utrzymywał — są w różnym stopniu odpowiedzialni za niszczenie krajobrazu i zanikanie ostoi naturalnego piękna.

— No cóż. Tom — stwierdził z ironią rozjątrzony Seidlitz. — Wiele nad tym myślałeś, prawda? Nie myślał!

— Ach, panie Carmody, doprawdy uważam, że nie powinien pan tak mówić — oświadczyła panna Gibbon, atrakcyjna młoda dama z nieznacznym podbródkiem.

Co takiego powiedział i dlaczego nie powinien tego mówić? Carmody nie pamiętał i dlatego nie poczuł skruchy, choć w pewien nieokreślony sposób czuł się winny.

— Chyba naprawdę jest coś w tym, co mówiłeś. Tom. Przyjrę się temu — rzekł jego zwierzchnik, pulchny, łagodny pan Wainbock.

Carmody zdawał sobie sprawę, jak niewiele treści było w tym, co powiedział, a i ta odrobina nie wytrzymała bliższego „przyglądania się”.

— Chyba masz rację, Carmody, poważnie — odrzekł wysoki, sardoniczny George Blackwell, który umiał mówić bez poruszania górną wargą. — Jeśli przerzucą Vossa z wymiatacza na libero, to naprawdę coś zaczniesz się dziać.

Zastanowiwszy się później, Carmody stwierdził, że ten fakt nie spowoduje najmniejszej zmiany.

Carmody był człowiekiem cichym, zwykle melancholijnym, o twarzy dokładnie odpowiadającej jego elegijnym nastrojom. Powyżej średniej mieścił się zarówno jego wzrost jak i skłonność do dezaprobaty wobec siebie. Był cyklo-tymikiem — wysocy mężczyźni o psich oczach, mający dalekich irlandzkich przodków, zwykle nimi bywają, zwłaszcza po trzydziestce. Niezłe grał w brydża, mimo tendencji do niedoceniańa swojej karty. Uważał się za ateistę, lecz bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Jego awatary, które można oglądać w Sali Możliwości, były jednostajnie bohaterskie. Pochodził spod znaku Panny zdominowanej przez Saturna będącego w Kwadracie Słońca. Już samo to wystarczyłoby, by uczynić go znakomitością. Nosił typowo ludzkie piętno: był jednocześnie niezgłębiony i łatwy do przewidzenia — dość zwyczajny cud.

O 17.45 wyszedł z biura i wszedł do metra. Jechał popychany i potrącany przez tłum ludzi, o których pragnął myśleć jako o upośledzonych, lecz których uważał, ostro i nieodwołalnie, za niepożądanych.

Wysiadł przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy i przeszedł chodnikiem do swego domu na West End Avenue. Dozorca przywitał go uprzejmie, a windziarz przyjaźnie skinął głową. Otworzył drzwi swojego mieszkania, wszedł i położył się na kanapie. Żona spędzała wakacje na Miami, więc pewien bezkarności oparł nogi na stojącym obok marmurowym stoliku.

W chwilę później huknął grom, a w środku salonu zajaśniała błyskawica. Carmody usiadł i bez szczególnych powodów chwycił się dłonią za gardło. Gromy dudniły

ucichły zastąpione rytmicznym piskiem kobz. Znowu zajaśniała błyskawica i w samym środku tego blasku pojawił się człowiek.

Był średniego wzrostu, krępy, miał jasne kędzierzawe włosy, a ubrany był w opończę koloru złota i pomarańczowe nogawice. Wyglądał normalnie, tyle, że nie miał uszu. Postąpił dwa kroki naprzód, zatrzymał się, sięgnął w pustkę i wyszarpnął stamtąd zwój pergaminu, w trakcie tej czynności fatalnie go rozdzierając. Odchrząknął dźwiękiem łożyska kulkowego rozpadającego się od nadmiernego tarcia i nadmiernego obciążenia.

— Pozdrowienie! — rzekł.

Carmody nie odpowiedział, porażony chwilową histeryczną niemotą.

— Przybyliśmy — oświadczył obcy — jako przypadkowy respondent niewysłowionych pragnień. Twoich! **Czy** jacyś ludzie? Zatem nie! Będzie tak?

Czekał na odpowiedź. Carmody za pomocą kilku tylko jemu znanych sztuczek sprawdził, że to, co mu się przytrafiło, naprawdę mu się przytrafiło. Potem odpowiedział, już na poziomie rzeczywistości:

— O co tu chodzi, na rany Boga? Obcy uśmiechnął się.

— To dla ciebie, Carmodee! — oświadczył. — Spomiędzy wyziewów tego-co-jest wygrałeś niewielką, lecz znaczącą część tego-co-może-być. Ucieszony, prawda? Dokładniej: twoje imię przewodziło pozostałym; przypadkowość zwyciężyła i różanopalca Nieokreśloność o zwilżonych narkotykiem wargach raduje się, zaś pradawna Stałość pokona znowu w swej Jaskini Nieuniknionego. Czyż to nie powód do? A więc dlaczego nie?

Carmody wstał, całkiem już spokojny. Nieznane budzi lęk jedynie, dopóki nie zrealizuje się fenomen powtarzalności (Posłaniec wiedział o tym, naturalnie).

— Kim jesteś? — zapytał Carmody.

Obcy zastanawiał się przez chwilę. Przestał się uśmiechać.

11

— Mętnomózgie wije — mruknął do siebie. — Znowu mnie źle przestroili! Z samego wstydu mógłbym się ciężko pochorować. A żeby sami straszili się śmiertelnie! Nie szkodzi; przestrajam, adaptuję, staję się...

Obcy przycisnął palce do skroni i pozwolił im zagłębić się na jakieś pięć centymetrów. Poruszał nimi przez chwilę, jak ktoś grający na małym pianinie, i natychmiast zmienił się w przysadzystego mężczyznę średniego wzrostu, łysiejącego, ubranego w nie dopasowany garnitur. Trzymał pękata teczkę, parasol, laseczkę, magazyn ilustrowany i gazetę.

— Czy tak jest dobrze? — zapytał. — Tak, widzę, że tak — odpowiedział sam sobie. — Zechce mi pan wybaczyć tę fuszerkę naszego Centrum Podobieństwa. Niech pan sobie wyobrazi, ledwo tydzień temu zjawiłem się na Sigmie IV jako gigantyczny nietoperz trzymający Zawiadomienie w pysku tylko po to, by stwierdzić, że adresatem jest rodzina lili wodnej. A dwa miesiące wcześniej (używam oczywiście lokalnych terminów równoważnych), kiedy byłem w misji na Starym Świecie Thagma, ci dumie z Podobieństwa przestroili mnie tak, że wyglądałem jak cztery dziewice, gdy właściwą procedurą było, naturalnie...

— Nie rozumiem ani słowa — przerwał mu Carmo-dy. — Czy zechciałby pan wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

— Oczywiście, oczywiście — zapewnił obcy. — Sprawdzę tylko miejscowe odniesienia... — Zamknął oczy i zaraz otworzył je na powrót. — Dziwne, bardzo dziwne... — mruknął. — Wydaje się, że twój język nie zawiera pojemników, których wymaga mój towar. To przerośnięta, naturalnie. Lecz kimże jestem, by wydawać sądy? Brak precyzji może wywoływać pozytywne doznania estetyczne; wszystko jest kwestią gustu.

— O co tu chodzi? — zapytał Carmody cicho i złowieszczo.

— No więc, drogi panie, chodzi oczywiście o Loterię Intergalaktyczną. A pan, oczywiście, wygrał. Wynika to jasno z mojego przybycia, nieprawdaż?

— Nie, nie wynika — oświadczył Carmody. — I nie wiem, o czym pan mówi.

12

Na twarzy obcego pojawiło się z wątpienie i zaraz zniknęło, jakby wymazane gumką.

— Nie wie pan! Ależ oczywiście! Przypuszczam, że przestał pan wierzyć w wygraną i dla uniknięcia ciągłych rozważań usunął pan tę wiedzę ze swego umysłu. Cóż za pech, że przybyłem akurat w okresie pańskiej umysłowej hibernacji! Ale nie chciałem pana obrazić, naprawdę. Nie ma pan pod ręką swojej kartoteki? No tak, obawiałem się, że nie. Wytłumaczę więc: pan, panie Carmody, wygrał Nagrodę na Loterii Intergalaktycznej. Pańskie współrzędne zostały wskazane przez Selektor Stochastyczny dla Dziani IV, Formy Życia Klasy 32. Pańska Nagroda — całkiem przyjemna Nagroda, moim zdaniem — czeka na pana w Centrum Galaktycznym.

Carmody tymczasem przemawiał do siebie następująco:

„Albo jestem szalony, albo nie. Jeśli tak, to mogę odrzucić złudzenia i poszukać pomocy psychiatry. Tyle że znajduję się wtedy w bezsensownej sytuacji, gdyż w imię mętnie pojmowanego racjonalizmu będę się starał zaprzeczyć temu,

o czym moje zmysły mówią, że jest realne. Może to wzbudzić konflikty wewnętrzne i tak pogłębić stan szaleństwa, że moja nieszczęsna żona będzie musiała oddać mnie do szpitala. Z drugiej strony, jeżeli uznam te złudzenia za rzeczywistość, też mogę wylądować w domu wariatów.

Jeśli jednak, przeciwnie, nie zwariowałem, wtedy to wszystko dzieje się naprawdę. A jest to zjawisko niesamowite, niepowtarzalne, przygoda pierwszej wielkości. Najwyraźniej — jeżeli to wszystko naprawdę się odbywa — istnieją we wszechświecie stworzenia przewyższające inteligencję ludzi. Zawsze tak sądziłem. Ci osobnicy prowadzą loterię, w której losowo wyciąga się nazwiska (mają prawo to robić; nie widzę powodów, dla których loteria miałaby być sprzeczna z wyższą inteligencją). I w tej teoretycznej loterii wylosowano moje nazwisko. To szczęśliwy przypadek, być może pierwszy, odkąd loteria objęła swym zasięgiem Ziemię. Wygrałem Nagrodę, a taka Nagroda może mi zapewnić bogactwo, kobiety, sławę albo wiedzę. Każdą z tych rzeczy, a także wszystkie naraz warto by posiadać.

13

Rozważywszy to wszystko dochodzę do wniosku, że lepiej będzie uwierzyć, iż nie oszalałem, i udać się z tym dżentelmenem po odbiór mojej Nagrody. Jeśli nie mam racji, obudzę się w zakładzie dla umysłowo chorych. Przepraszę lekarza, oświadczę, że rozumiem istotę moich przywidzeń, i być może odzyskam wolność".

Tak właśnie myślał Cannody i do takiej doszedł konkluzji. Nie ma w tym nic zaskakującego. Bardzo niewielu ludzi odrzuca szokująco nową hipotezę, by zaakceptować teorię szaleństwa. Szaleńcy stanowią wyjątek.

Oczywiście, pewne wnioski w rozumowaniu Carmo-dy'ego były błędne i miało to go później prześladować. Należy jednak stwierdzić, że w danych okolicznościach zachował się całkiem nieźle, skoro w ogóle potrafił myśleć.

— Niewiele wiem o tym wszystkim — zwrócił się do Posłańca. — **Czy** na moją Nagrodę nałożono jakieś warunki? To znaczy, czy powinienem coś zrobić albo coś kupić?

— Nie ma żadnych warunków — zapewnił go Posłaniec. — A w każdym razie żadnych, o których warto by wspominać. Nagroda nie jest obciążona; gdyby była, nie byłaby Nagrodą. Jeśli ją pan przyjmuje, powinien pan udać się ze mną do Centrum Galaktycznego. Podróż taka jest interesująca sama w sobie. Tam otrzyma pan Nagrodę i jeśli będzie pan miał ochotę, może ją pan zabrać tutaj, do pańskiej ojczyzny. Gdyby w drodze powrotnej potrzebował pan pomocy, to oczywiście służymy panu o tyle, o ile tylko pozwolą nasze możliwości. To wszystko na temat tej sprawy.

— Moim zdaniem brzmi to całkiem nieźle — oświadczył Cannody dokładnie takim samym tonem, jakiego użył Napoleon, gdy zapoznał się z przedstawionym przez Neyą planem bitwy pod Waterloo. — Jak się tam dostaniemy?

— Tędy — wyjaśnił Posłaniec. Po czym poprowadził go do szafy w przedpokoju i dalej, przez pęknięcie w kontinuum przestrzenno-czasowym.

To było proste. W ciągu kilku sekund czasu subiektywnego Cannody i Posłaniec przebyli odpowiedni dystans i zjawili się w Centrum Galaktycznym.

ROZDZIAŁ II

Podróż była krótka — trwała nie dłużej niż Natychmiastowość plus jedna mikrosekunda do kwadratu. Była także spokojna, jako że żadne znaczące przeżycie nie jest możliwe w tak cienkiej warstwie trwania. A zatem bez żadnych przygód, o których warto by wspomnieć, Carmody znalazł się wśród obszernych placów i dziwacznych budynków Centrum Galaktycznego.

Stał bez ruchu i patrzył, zwracając szczególną uwagę na trzy zamglone karłowate słońca, okrążające się wzajemnie nad jego głową. Zauważył drzewa, mruczące nieokreślone groźby pod adresem siedzących wśród gałęzi upierzonych ptaków. Dostrzegł też inne rzeczy, których jednak jego umysł nie zarejestrował z braku analogii.

— No, no! — powiedział wreszcie.

— Przepraszam? — spytał Posłaniec.

— Powiedziałem „no, no” — wyjaśnił Carmody.

— Ach tak. Zdawało mi się, że powiedział pan „ho, ho”.

— Nie. Powiedziałem „no, no”.

— Rozumiem — rzekł Posłaniec nieco rozczarowany. — Jak się panu podoba nasze Centrum Galaktyczne?

— Robi duże wrażenie — stwierdził Carmody.

— Przypuszczam — zgodził się niedbale Posłaniec. — Zostało specjalnie zbudowane, by robić duże wrażenie. Osobiście uważam, że przypomina wszystkie inne Centra Galaktyczne. Architektura, jak pan pewnie zauważył, jest mniej więcej taka, jakiej można by oczekiwać: neocyk-logiczna, bez żadnych imperatywów estetycznych, projektowana wyłącznie w celu wywierania odpowiedniego wrażenia na wyborcach.

— Te fruujące schody to z pewnością duża rzecz — stwierdził Carmody.

- Teatralny efekt! — zaopiniował Posłaniec.
- A te olbrzymie budynki...
- Tak, projektant dość zgrabnie wykorzystał złożone krzywe rewersyjne z tranzytywnymi punktami — zgodził

15

się Posłaniec uczenie. — Użył też czasowej dystorsji krawędzi dla wzbudzania uczucia szacunku. Przyznaję, dosyć ładne, lecz niezbyt oryginalne. Projekt dla tamtej grupy budynków, o, tej tam, został materialnie pobrany z Wystawy Generał Motors, z pańskiej ojczystej planety. Uznano go za wspaniały przykład prymitywnego pseudo-modernizmu; jego zasadnicze cechy to niezwykłość i przytul-ność. Te błyskające światła przed Pływającym Multiwieżow-cem to czysty galaktyczny barok. Nie służą żadnemu praktycznemu celowi.

Carmody nie potrafił objąć wzrokiem całej grupy struktur naraz. Gdy przyglądał się jednej budowli, pozostałe zdawały się zmieniać kształty. Mrugał nerwowo oczami, lecz budynki nadal rozplływały się i przekształcały na krawędzi jego pola widzenia. (Transmutacja peryferialna — wyjaśnił mu Posłaniec. — Ci ludzie nie cofną się przed niczym.)

— Gdzie dostanę swoją Nagrodę? — zapytał Carmody.

— Tędy, prosto — wskazał Posłaniec i poprowadził go między dwie strzelające w górę fantazje, do prostokątnego budynku, niemal całkowicie ukrytego za odwróconą fontanną.

— Tu właśnie załatwimy nasze sprawy — wyjaśnił. — Ostatnie badania wykazały, że formy prostoliniowe wpływają uspokajająco na synapsy wielu organizmów. Muszę się przyznać, że budynek ten budzi we mnie uczucie pewnej dumy. Widzi pan, to właśnie ja wymyśliłem prostokąt.

— Wymyślił pan, akurat — odparł Carmody. — My mamy go już całe wieki.

— A jak pan myśli, skąd się u was wziął? — spytał Posłaniec zjadliwie.

— No cóż, nie wydaje się to wielkim wynalazkiem.

— Doprawdy? To tylko dowodzi, że mało wiecie. Mylicie stopień komplikacji z twórczą autoekspansją. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że natura nigdy nie stworzyła doskonałego prostokąta? Kwadrat, przynajmniej, jest w miarę oczywisty. Komuś, kto nie jest znawcą problemu, mogłoby się wydawać, że prostokąt jest naturalnym rozwinięciem

16

idei kwadratu. Ale tak nie jest. Jeśli chce pan wiedzieć, to ewolucyjnym rozwinięciem kwadratu jest koło.

Oczy Posłańca zamgliły się, a głos stał się odległy i rozmarzony.

— Od bardzo dawna zdawałem sobie sprawę, że musi istnieć jakieś inne przekształcenie kwadratu. Studiowałem go bardzo długo. Ta jego doprowadzająca do szału jednakowość irytowała mnie i intrygowała. Równe boki, równe kąty. Przez pewien czas eksperymentowałem ze zmianą kątów. Romb jest także moim pomysłem, choć nie uważam go za wielkie osiągnięcie. Badałem kwadrat. Regularność jest przyjemna, lecz bez przesady. Jak by tu zmienić niesamowitą identyczność, by jednocześnie zachować dającą się rozpoznać periodyczność? I pewnego dnia doznałem olśnienia. Wszystko, co powinienem zrobić — zobaczyłem to w nagłym błysku intuicji — to zmienić długość pary równoległych boków w stosunku do drugiej pary. Tak proste, a przecież tak trudne! Drżąc cały sprawdziłem, a gdy zadziało, popadłem — do czego sam się przyznaję — w rodzaj manii. Całymi dniami i tygodniami konstruowałem prostokąty wszelkich kształtów i rozmiarów, regularnych, a przy tym tak różnych. To był istny róg obfitości prostokątów! Jeszcze dziś czuję dreszcze, gdy je wspominam.

— To zrozumiałe — przyznał Carmody. — A potem, kiedy pańskie dzieło zyskało uznanie...

— Na myśl o tym też czuję dreszcze — rzekł Posłaniec. — Ale całe wieki trwało, nim ktoś potraktował moje prostokąty poważnie. „To interesujące — mówili — ale kiedy nowość spowszednieje, to co pozostanie? Nierówny kwadrat i tyle!” Przekonywałem, że udało mi się stworzyć zupełnie nową abstrakcyjną figurę, figurę tak samo nieuniknioną jak kwadrat. Wiele wycierpiałem, lecz w końcu moja wizja zwyciężyła. Aktualnie istnieje w Galaktyce ponad siedemdziesiąt miliardów prostokątnych struktur, a każda z nich pochodzi od mojego pierwotnego prostokąta.

— Cóż... — powiedział Carmody.

— Zresztą, jesteśmy na miejscu

² — Wymiar cudów

Posłaniec. — Proszę wejść do środka, podać niezbędne dane i odebrać Nagrodę.

— Dziękuję.

Wszedł. Natychmiast stalowe taśmy zatrzasnęły się na jego rękach, nogach, pasie i szyi. Wysokie, posępne indywiduum z jastrzębim nosem i blizną na lewym policzku zbliżyło się i spojrzęło na niego z wyrazem twarzy, który opisać można jedynie jako mieszanie morderczej uciechy i obłudnego żalu.

ROZDZIAŁ III

— Co jest?! — wrzasnął Carmody.

— A więc raz jeszcze — powiedziało ponure indywiduum — uciekający przestępca trafił wprost w paszczę swego przeznaczenia. Spójrz na mnie, Carmody. Jestem twoim katem! Płacisz teraz za zbrodnie przeciwko ludzkości, a także za grzechy popełnione na własną szkodę. Muszę jednak dodać, że egzekucja niniejsza jest tymczasowa i nie oznacza wydania prawomocnego wyroku.

Wyciągnął z rękawa nóż. Carmody przełknął ślinę i odzyskał zdolność mówienia.

— Nie rób tego! — ryknął. — Nie przyszedłem tu na egzekucję!

— Wiem, wiem — uspokoił go kat, spoglądając ponad ostrzem na tętnicę szyjną Carmody'ego. — Cóż jeszcze mógłbyś powiedzieć?

— Ale to prawda! — krzyczał Carmody. — Miałem tu odebrać Nagrodę!

— Co? — spytał kat.

— Nagrodę, do diabła. Nagrodę! Powiedziano mi, że wygrałem Nagrodę! Zapytaj Posłańca! Przyproceedził mnie tu, żebym odebrał Nagrodę!

Kat przyjrzał mu się uważnie i w zakłopotaniu odwrócił wzrok. Potem wcisnął jakiś przełącznik na najbliższej konsoli. Przytrzymujące Carmody'ego stalowe taśmy przekształciły się w papierowe serpentyny, czarny kostium kata

18

stał się biały, a nóż zmienił się w wieczne pióro. Zamiast blizny kat miał teraz na policzku brodawkę.

— W porządku — oświadczył bez śladu skruchy. — Ostrzegałem ich, że nie należy łączyć Departamentu Wykroczeń z Biurem Loterii, ale nie chcieli mnie posłuchać. Dobrze by im zrobiło, gdybym cię zabił. Mieliby paskudny kłopot, co?

— To ja miałbym paskudny kłopot — odparł Carmody lekko drżącym głosem.

— Cóż, nie warto płakać nad nie przelaną krwią — zamknął kwestię Referent do spraw Nagród. — Gdybyśmy brali pod uwagę wszystkie możliwości, to szybko brakłoby nam możliwości do brania pod uwagę... Co ja powiedziałem? Nieważne. Konstrukcja była prawidłowa. nawet jeśli słowa błędne. Gdzieś tu mam tę pańską Nagrodę.

Wcisnął jakiś guzik. W jednej chwili duże, niechlujne biurko zmaterializowało się jakieś dwie stopy nad podłogą. wisiało tak przez chwilę, aż w końcu opadło z głośnym stukiem. Referent zaczął otwierać szuflady i wyrzucać z nich jakieś papiery, taśmy z maszyny do pisania, fiszki i ogryzki ołówków.

— Przecież musi gdzieś tu być — mrucał do siebie w desperacji. Nacisnął jeszcze jeden guzik. Biurko i konsola zniknęły. — Psiakrew, jestem kłębkim nerwów — stwierdził, sięgnął w powietrze, znalazł coś i nacisnął.

Najwyraźniej nie był to właściwy przycisk, gdyż w rezultacie z rozpaczliwym krzykiem zniknął Referent. Carmody został w pokoju sam.

Stał mrużąc coś pod nosem i po chwili Referent zjawił się na powrót. Nie wyglądał gorzej niż poprzednio — jeśli nie liczyć zadrapania na czole i wyrazu zakłopotania na twarzy. Pod pachą trzymał niedużą paczkę owiniętą w kolorowy papier.

— Zechce pan wybaczyć tę zwłokę — powiedział — ale chyba nic już nie działa tak, jak powinno.

Carmody zaryzykował niezbyt wyszukany żart:

— Czy to jest sposób na kierowanie Galaktyką?

19

— A, pańskim zdaniem, jak mamy nią kierować? Wie pan, jesteśmy tylko inteligentni.

— Wiem — przyznał Carmody. — Sądziłem jednak, że tutaj, w Centrum Galaktycznym...

— Wy z prowincji wszyscy jesteście tacy sami — oświadczył zmęczonym głosem Referent. — Pełni niedorzecznych marzeń na temat porządku i perfekcji; marzeń, które są jedynie wyidealizowaną projekcją waszej niedoskonałości. Powinniście już wiedzieć, że życie to paskudna sprawa i że raczej rozwala, niż składa do kupy, a także, że im wyższa inteligencja, tym wyższy rozpoznaje stopień komplikacji. Być może słyszał pan o Twierdzeniu Holge'ego, że porządek jest prymitywnym i arbitralnym grupowaniem obiektów w ramach chaosu wszechświata. I że gdy inteligencja i potęga istoty zbliża się do maksimum, jej współczynnik kontroli (to znaczy iloczyn inteligencji i

potęgi, wyrażany symbolem *ing*) osiąga minimum, a to ze względu na niesamowity, geometryczny przyrost liczby obiektów, które należy zrozumieć i kontrolować, przekraczający arytmetyczny wzrost zasięgu.

— Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem. — Carmody był dosyć uprzejmy, choć zaczynał już mieć po uszy elokwentnych urzędników Centrum Galaktycznego. Na wszystko mieli odpowiedź, rzecz zaś polegała na tym, że nie wykonywali należycie swych obowiązków, a winą za swoje błędy obarczali prawa kosmosu.

— No cóż, to także prawda — przyznał Referent. — Pańska opinia (pozwoliłem sobie odczytać pańskie myśli) jest zupełnie słuszna. Jak wszystkie żywe organizmy posługujemy się inteligencją do tłumaczenia niedogodności. Jednak faktem jest, że sprawy wciąż pozostają odrobinę poza naszym zasięgiem. Prawdą też jest, że tego zasięgu nie zwiększamy do maksimum, że czasem wykonujemy swą pracę mechanicznie, niedbale, a nawet błędnie. Giną ważne dane, maszyny ulegają awariom, zapomina się o całych systemach planetarnych. To wszystko dowodzi tylko, że ulegamy emocjom tak, jak wszelkie istoty choć w minimalnym stopniu zdolne do samookreślenia. Ale jaki mamy wybór? Ktoś musi kierować Galaktyką, inaczej wszystko

20

by się rozleciało. Galaktyki są odbiciem swych mieszkańców; dopóki wszystko i wszyscy nie będą zdolni do samodzielnego kierowania sobą, konieczna jest jakaś kontrola zewnętrzna. A kto by się tym zajął, gdyby nie my?

— **Czy** nie można do tego zbudować maszyn? — spytał Carmody.

— Maszyny! — mruknął pogardliwie Referent. — Mamy ich całą masę, niektóre nawet bardzo złożone. Ale nawet najlepsze z nich przypominają zwariowanych naukowców. Nieźle sobie radzą z prostymi, nieciekawymi problemami, takimi, jak budowanie gwiazd czy niszczenie planet. Ale dać im coś trudniejszego, choćby pocieszenie wdowy, to po prostu rozlatują się w kawałki. Da pan wiarę:

największy komputer naszej sekcji potrafi ukrajobrazować całą planetę, a nie umie usmażyć jajka ani zanucić czegoś przyjemnego, a o etyce wie mniej niż nowo narodzone wilcze szczenię?! I chciałby pan, żeby coś takiego kierowało pańskim życiem?

— Pewnie, że nie — przyznał Carmody. — Ale czy ktoś nie mógłby zbudować maszyny zdolnej do pracy twórczej i samooceny?

— Ktoś zbudował — oznajmił Referent. — Została skonstruowana w ten sposób, że uczy się z doświadczenia, a to oznacza, że musi popełnić błędy, by dojść do prawd. Pojawia się w najróżniejszych kształtach i rozmiarach, choć na ogół jest przenośna. Jej usterki widoczne są od razu, lecz wydają się naturalną przeciwwagą jej możliwości. Wielu próbowało, lecz nikomu nie udało się udoskonalić projektu wyjściowego. To sprytnie urządzenie nazywa się „życiem inteligentnym”.

Referent uśmiechnął się uśmiechem zadowolonego z siebie twórcy aforyzmów. Carmody poczuł nagłą ochotę, żeby przyłożyć mu w ten jego perkaty nos, powstrzymał się jednak.

— Jeśli skończył pan swój wykład — powiedział — to chciałbym dostać swoją Nagrodę.

— Jak pan sobie życzy — zgodził się Referent. — Naturalnie, o ile jest pan pewien, że chce ją przyjąć.

— A jest jakiś powód, dla którego nie powinienem ;chcieć?

21

— Nic konkretnego — wyjaśnił Referent. — Po prostu: oprowadzenie nowego obiektu w czyjś ustalony system />ciowy może wywołać zaburzenia.

— Zaryzykuję — oświadczył Carmody. — Poproszę o Nagrodę.

— Bardzo dobrze. — Referent wyjął z tylnej kieszonki wielką tekturową teczkę i wyciągnął ołówek. — Najpierw formalności. Nazywa się pan Car-Mo-Dee, z planety 73C systemu BB454C252, Lewy Kwadrant, odnośniki Lokalnego Systemu Galaktycznego LK przez CD, i został pan wybrany losowo spośród mniej więcej dwóch miliardów grających. Zgadza się?

— Jeśli pan tak twierdzi... — mruknął Carmody.

— Spójrzmy dalej... — Referent przebiegał wzrokiem formularz. — Mogę chyba pominąć punkt o przyjęciu Nagrody na własne ryzyko i odpowiedzialność, prawda?

— Jasne, niech pan pominie — zgodził się Carmody.

— Mam tu jeszcze paragraf dotyczący Wskaźnika Zjadalności, punkt o Obopólnym Porozumieniu w Sprawie Niedopatrzeń pomiędzy panem a Biurem Loteryjnym Centrum Galaktycznego, artykuł na temat Nieodpowie-d/ialności Etycznej, no i, oczywiście. Warunki Wypowie-d/enia Umowy. Wszystko to dość typowe i mam nadzieję, /e nie zgłasza pan sprzeciwu?

— Pewnie, czemu miałbym zgłaszać — potwierdził niedbale Carmody. Miał wielką ochotę zobaczyć, jak też wygląda Nagroda z Centrum Galaktycznego, i chciałby, /chy Referent przestał w końcu marudzić.

— Doskonale — powiedział Referent. — Proszę teraz potwierdzić zgodę na te warunki o, tutaj, na tej

myślączej »./eści u dołu, i to już będzie wszystko.

..fak, przyjmuję Nagrodę oraz zgadzam się na związane / l y m warunki". Dolna część strony poróżwiała.

— Dziękuję — powiedział Referent. — Ten kontrakt s< > m jest świadkiem umowy. Moje gratulacje, panie Carmody. A oto pańska Nagroda.

I wręczył mu jaskrawo opakowaną paczkę. Carmody wymruczał podziękowanie i gorączkowo zaczął ją rozwijać. Nie zaszedł z tym zbyt daleko — ktoś mu przerwał, niespodziewanie i gwałtownie. Do pokoju wpadł niski, bezwłosy mężczyzna.

— Ha! — ryknął. — Na Klootensa, złapałem cię na gorącym uczynku! Naprawdę sądziłeś, że uda ci się z tym prysnąć?

Próbował pochwycić Nagrodę, którą Carmody trzymał w wyciągniętej ręce.

— Co pan wyprawia? — zapytał.

— Wyprawiam? Przybyłem tu, żeby zażądać prawnie mi należnej Nagrody, bo co? Jestem Carmody!

— Nie, nie jest pan — powiedział Carmody. — Ja jestem Carmody.

Niski człowieczek uspokoił się i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Pan twierdzi, że jest pan Carmodym?

— Nie twierdzę, że jestem, bo j e s t e m Carmody.

— Carmody, z planety 73C?

— Nie wiem, co to znaczy — przyznał Carmody. — My nazywamy to miejsce Ziemią.

Niski Carmody przyglądał mu się, a wyraz wściekłości na jego twarzy z wolna ustępował miejsca niedowierzaniu.

— Ziemią? — powtórzył. — Nie sądzę, żebym o niej słyszał. Czy ona jest członkiem Ligi Chizeryjskiej?

— O ile wiem, nie.

— A może Zjednoczenia Niezależnych Operatorów Planetarnych? Albo Scagotyńskiego Zrzeszenia Gwiazdowego? Albo Związku Mieszkańców Planet Galaktyki? Nie? Czy pańska planeta jest członkiem jakiegokolwiek organizacji pozasystemowej?

— Nie wydaje mi się — odparł Carmody.

— Tak przypuszczałem — stwierdził niski Carmody i spojrzał na Referenta. — Przyjrzyj mu się, ty idioto! Przyjrzyj się tej kreaturze, której wręczyłeś moją Nagrodę! Popatrz na te tępe świńskie oczka, na tę szczękę brutalną, na zrogowaciałe paznokcie!

23

— Chwileczkę — przerwał Carmody. — Nie ma powodów, żeby mnie pan obrażał.

— Widzę, widzę — burknął Referent. — Nie przyglądałem mu się. To znaczy, trudno się spodziewać...

— Do diabła! — wściekał się obcy Carmody. — Każdy od razu by zauważył, że ten stwór nie jest Formą Życia Klasy 32. Prawdę mówiąc, nie jest nawet zbliżony do Klasy 32, nie otrzymał nawet Statusu Galaktycznego! Ty tępy imbecylny, wręczyłeś moją Nagrodę temu zeru, temu typowi spoza nawiasu!

ROZDZIAŁ IV

— Ziemia, Ziemia... — zastanawiał się obcy Carmody. — Chyba coś sobie przypominam. Niedawno wyszła taka praca o światach izolowanych i osobliwościach ich rozwoju. Wspomniano tam o Ziemi jako o planecie zamieszkaną przez istoty obsesyjnie nadprodukcyjne. Wyróżniającą je cechą modalną jest manipulacja obiektami. Ich celem jest życie na własny rachunek, oparte na stałej akumulacji wyrobów zużytych. Krótko mówiąc. Ziemia to zakazane miejsce. O ile pamiętam, właśnie się ją wykreśla z Nadrzędnego Planu Galaktycznego, a to ze względu na trwałą kosmiczną nieprzystosowalność. W późniejszym terminie planeta zostanie oczyszczona i przekształcona w rezerwat dafodyli.

Tragiczna pomyłka stała się boleśnie oczywista dla wszystkich zainteresowanych. Wezwanego Posłańca oskarżano o afunkcjonalizm, polegający na niezauważaniu oczywistości. Urzędnik twardo podtrzymywał tezę o swej niewinności, powołując się na liczne względy, dla których jednak w danej chwili nikt nie miał względów.

Wezwano na konsultację także Komputer Loteryjny, jako że zgodnie z wymową zaistniałych faktów popełnił on

istotną pomyłkę. Zamiast usprawiedliwiać się lub przepraszać, Komputer uznał swoją pomyłkę i najwyraźniej był z niej dumny.

— Zostałem skonstruowany z niezwykle wąskim mar-

24

ginesem błędu — oświadczył. — Zaprojektowano mnie do wykonywania złożonych i precyzyjnych działań, pozwak.j;|.c mi popełnić najwyżej jedną pomyłkę na pięć miliardów operacji.

— I co? — nie zrozumiał Referent.

— Wniosek jest oczywisty — stwierdził Komputer — Zaprogramowano mnie do popełnienia błędu i działałem tak, jak zostałem zaprogramowany. Nie wolno wam zapominać, że dla maszyny błąd jest problemem natury etycznej, w istocie jedynym takim problemem. Maszyna doskonała nie może istnieć, a każda próba jej zbudowania byłaby bluźnierstwem. Każde życie, nawet ograniczone życie mechanizmu ma wbudowaną możliwość pomyłki. To jeden z niewielu sposobów odróżniania go od martwej, deterministycznej materii. Maszyny złożone, takie jak ja, zajmują pewną nieokreśloną strefę pomiędzy żywym a niezłym. Gdybyśmy nie miały błędzić, byłybyśmy inapropos, oburzające i amoralne. Błąd, proszę to rozważyć, panowie, jest naszym hołdem dla tego, co od nas doskonalsze, choć też nie pozwalające sobie na obiektywną doskonałość. Zatem jeśli nawet omyłki nie byłyby bosko zaprogramowane, popełniałybyśmy je spontanicznie, by okazać tę odrobinę wolnej woli, którą dzielimy ze wszystkimi istotami żywymi.

Obecni z szacunkiem pochylili głowy. Komputer Loteryjny mówił bowiem o rzeczach świętych. Obcy Carmody otarł łzę z oka.

— Nie mogę nie zgodzić się z tą opinią, choć jej nic nie podzielam — oświadczył. — Brak racji jest podstawowym prawem kosmosu. Maszyna postąpiła etycznie.

— Dziękuję — rzekł Komputer z prostotą. — Starłem się.

— Za to reszta z was — stwierdził obcy Carmody — wstąpiła po prostu głupio.

— Jest to naszym niezaprzeczalnym przywilejem — rzypomniał mu Posłaniec. — Głupota przejawiająca MC i nieprawidłowym wykonywaniu obowiązków to nas/a lasna forma religijnego błędu. Skromna wprawdzie, lecz urno to nie należy jej lekceważyć.

—^

— Proszę uprzejmie oszczędzić mi tej fałszywej religijności — rzekł twardo Karmod. — Słyszałeś, co tu powie dziano — dodał zwracając się do Carmody'ego. — By< może twoja mętna, podludzka świadomość zdołała przy swoich niektórych z podstawowych idei?

— Zrozumiałem — odparł krótko Carmody.

— Wiesz zatem, że otrzymałeś Nagrodę, która mni(winna być wręczona. Tym samym należy do mnie. Musi cię prosić, i proszę cię, byś mi ją oddał.

Carmody miał właśnie to uczynić. Zaczynał już mieć dosyć tej przygody, nie czuł także nieprzepatnego pragnienia by zatrzymać Nagrodę. Chciał wrócić do domu, usiąs< i przemyśleć wszystko, co mu się zdarzyło, chciał zdrzemnął się z godzinkę, wypić parę filiżanek kawy i zapalić papierosa

Oczywiście, miło by było zachować Nagrodę; uzna jednak, że ma przez nią więcej kłopotów, niż jest warta. Właśnie zamierzał ją oddać, gdy jakiś zduszony gło, szepnął mu:

— Nie **rób tego!**

Carmody rozejrzał się nerwowo i zrozumiał, że gło dobiegł do niego z jaskrawo opakowanego pudełka. Sami Nagroda do niego przemówiła.

— No dalej — przynaglił go Karmod. — Nie zwlekaj my. Mam jeszcze parę pilnych spraw do załatwienia.

— Niech idzie do diabła — powiedziała Nagroda d< Carmody'ego. — Jestem twoją Nagrodą i nie widzę powodów, żebyś miał ze mnie zrezygnować.

To rzuciło nieco inne światło na całą sprawę. Mim< wszystko Carmody oddałby Nagrodę, nie chciał bowiem kłopotów w obcym otoczeniu. Właśnie wyciągał rękę, gd; Karmod znów się odezwał.

— Dawaj ją natychmiast, ty bezmózgi tępaku! Szybki i z przepraszającym uśmiechem na swojej szczątkowej gębie, bo będę musiał zastosować niezwykle trwałe w skutkach środki przymusu!

Carmody zacisnął zęby i cofnął rękę. Już dość długi rozstawiali go po kątach i poczucie własnej godności nie pozwalało mu poddawać się temu ani chwili dłużej.

— Idź do diabła! — powiedział, nieświadomie 11.1 adując słownictwo Nagrody.

Karmod od razu zrozumiał, że zachował się niewłaśnie. Pozwolił sobie na luksus gniewu i szyderstwa szostowne emocje, którym folgował zwykle jedynie w /^ szu swej dźwiękoszczelnej jaskini. Zaspokajając s\u-spędy utracił szansę zaspokojenia pragnień. Teraz próbo-ał naprawić to, co zepsuł.

— Zechce mi pan wybaczyć wojowniczy ton mej popr/e-liej wypowiedzi — powiedział przeprasząc. — Moja ra.s<i a skłonność do wyrażania swych uczuć w sposób przybiem-cy niekiedy formy destrukcyjne. To nie pańska wina, że jesi m niższą formą życia. Nie chciałem pana obrazić.

— Doprawdy nie ma o czym mówić — rzekł łaskawi' armody.

— Więc odda mi pan Nagrodę?

— Nie, **nie oddam**.

— Ależ drogi panie, ona jest moja. Wygrałem ją, je .l ięc jedynie słuszne...

— Nagroda nie jest pańska — przerwał mu Cai >ody. — Moje nazwisko zostało wylosowane przez prawni*. stanowionego pełnomocnika, ściślej mówiąc, przez Koni liter Loteryjny. Zawiadomił mnie upoważniony Posłaniec iś Nagrodę wręczył mi właściwy Referent. Tak wi^ . synniki oficjalne, a także sama Nagroda, uznają mnie /s łaściwego odbiorcę.

— Aleś im dał, chłopie — stwierdziła Nagroda.

— Ależ drogi panie! Sam pan słyszał, że Kompulr. oteryjny przyznał się do błędu. Zatem, na podstaw K ańskiego własnego rozumowania...

— To stwierdzenie wymaga uściślenia — przerwał armody. — Komputer nie przyznał się do błędu iko aktu niedbałości czy przeoczenia. On uznał SWÓJ łąd za popełniony świadomie i z należytą czcią. Błąd ów. ik stwierdził, był zamierzony, dokładnie zaplanowany perfekcyjnie zrealizowany. Jego motywy były natun fcligijnej i wszyscy zainteresowani winni je uszanować. Ten facet spiera się jak borkista — rzekł Karmou

77

nie zwracając się do nikogo konkretnego. — Gdyby kto; nie wiedział, mógłby pomyśleć, że działa tu inteligencja a nie smętne ślepe naśladownictwo. Podążę jednak za piskliwym tenorem jego argumentów i rozniosę je w proch potężnym basem niewzruszonej logiki.

Tu Karmod zwrócił się do Carmody'ego.

— Proszę się zastanowić: maszyna omyliła się celowo, na czym oparł pan swoje wywody. Błąd jednak dopełnił się z chwilą, gdy odebrał pan Nagrodę. Zatrzymanie jej byłoby zatem defektem tego dopełnienia. Nadmierna pobożność jest występkiem.

— Ha! — zakrzyknął porwany dyskusją Carmody. — Dla wzmocnienia swych argumentów chce pan uznać chwi^ Iową zaledwie realizację błędu za jego całkowite dopełnienie. W oczywisty sposób nie może to być słuszne. Błąd istnieje na mocy swych konsekwencji i tylko one nadają mu wydźwięk i znaczenie. Nie utrwalonego błędu w ogóle nie można uzna^ za błąd. Błąd odarty ze skutków nie jest niczym innym jak aktem małej wiary. Powiadam: lepiej w ogóle się nie mylić, niż popełniać akt nabożnej hipokryzji! I dodam jeszcze:

oddanie Nagrody nie byłoby dla mnie wielką stratą, jako że, nie mam najmniejszego pojęcia o jej przymiotach; strata owa! byłaby jednak w istocie swjej ogromna dla tej świątobliwej maszyny, tego sumiennego komputera, który przez długie pięć miliardów poprawnych operacji czekał na szansę zamanifestowania swjej, od Boga pochodzącej, niedoskonałości.

— Słuchajcie, słuchajcie! — darła się Nagroda. — Brawo! Hurra! Dobrze powiedziane! Absolutnie słuszne i nie do podważenia!

Carmody skrzyżował ramiona i spojrzał na zbitego z tropu Karmoda. Był z siebie raczej dumny. Nielatwa jest sytuacja człowieka, który bez przygotowania zjawia się w jakimś Centrum Galaktycznym. Wyższe formy życia, które tam spotyka, niekoniecznie są bardziej niż on inteligentne — w schemacie rzeczy inteligencja liczy się tak samo, jak długie szpony czy mocne kopyta. Obcy dysponują jednak różnymi, nie tylko słownymi środkami. Dla przykładu: pewne rasy potrafią dosłownie odgadać człowiekowi, a potem zathunaczyć obecność oderwanej kończyny. W obliczu takich działań ludzie z Ziemi silnie odczuwają swoją niższość, nieudolność, nieadekwatność i anormalność. A że uczucia te są zwykle usprawiedliwione, szkody dla ich umysłowości są naprawdę poważne. Następuje zwykle całkowite wyłączenie i zanik wszystkich funkcji z wyjątkiem najbardziej automatycznych. Tego typu zakłócenia dają się wyleczyć jedynie poprzez zmianę natury wszechświata, co — oczywiście — jest rozwiązaniem mało praktycznym. Tak więc mocą swego uduchowionego kontraktatu Carmody powstrzymał i odepchnął od siebie poważne duchowe zagrożenie.

— Dobrze gadasz — przyznał niechętnie Karmod. — Ale ja i tak dostanę swoją Nagrodę.

— Nie dostaniesz — zaprzeczył Carmody. Oczy Karmoda błysnęły złowieszczo. Referent i Posłaniec pospiesznie zeszli mu z drogi.

— Słuszny błąd nie podlega karze — pisnął Komputer Loteryjny i wymknął się z pokoju.

Carmody nie ruszył się z miejsca, jako że nie miał gdzie uciekać.

— Uważaj na mielizny! — szepnęła Nagroda i zmalęła, zmieniając się w sześcian o krawędzi długości cala.

Z uszu Karmoda dobiegło ciche buczenie, a wokół jego głowy zajaśniał fioletowy nimb. Uniósł ramiona i z

palców spłynęły mu krople roztopionego ołowiu. Groźnie postąpił naprzód i Carmody mimo woli zamknął oczy.

Nic się nie stało. Carmody otworzył oczy.

W tym krótkim czasie Karmod najwyraźniej zastanowił się, rozbroił i właśnie odwracał się z miłym uśmiechem.

— Po poważnym przemyśleniu całej sprawy — powiedział chytrze — postanowiłem poniechać dochodzenia swych praw. Skromna zdolność przewidywania może mieć spory zasięg, zwłaszcza w Galaktyce tak zdezorganizowanej jak ta. Dożę się jeszcze spotkamy, Carmody, może nie. Nie wiem, co łądziej dla ciebie lepsze. Żegnaj i przyjemnej podróży.

Po tym złowieszczym zaakcentowaniu ostatnich słów ddał się w sposób, który Carmody uznał za niezwykle, Bez efektowny.

Gdzie jest Ziemia?

ROZDZIAŁ V

— No — powiedziała Nagroda. — To by było na tyle. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczymy tej wstrętnej kreatury. Carmody, ruszajmy do twojego domu.

— Znakomity pomysł — zgodził się Carmody. — Panie Posłańcu, chciałbym już wracać do siebie.

— Całkowicie naturalna chęć — stwierdził Posłaniec. — I dobrze umotywowana. Powiedziałbym nawet, że powinien pan wracać do domu, i to jak najprędzej.

— Więc proszę mnie tam zabrać. Posłaniec pokręcił głową.

— To nie moja sprawa. Ja miałem tylko sprowadzić pana tutaj.

— Więc czyja to sprawa?

— Pańska, Carmody — poinformował Referent. Carmody'emu wydało się, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Zaczynał rozumieć, dlaczego Karmod tak łatwo zrezygnował.

— Słuchajcie, chłopcy — powiedział. — Nie chciałbym się narzucać, ale naprawdę potrzebuję pomocy.

— Ależ naturalnie — zgodził się Posłaniec. — Proszę tylko podać współrzędne, a sam pana odwiozę.

— Współrzędne? Nic o nich nie wiem. Chodzi o planetę, którą nazywamy Ziemią.

— Jeśli o mnie chodzi, to równie dobrze możecie ją

— Wymiar cudów

33

nazywać Zielonym Serem — stwierdził Posłaniec. — Musz znać współrzędne, jeżeli mam w czymś pomóc.

— Ale przecież pan tam był! — zawołał Carmody. — Przybył pan na Ziemię i sprowadził mnie tutaj!

— Istotnie mogło się tak panu wydawać — tłumaczy cierpliwie Posłaniec. — Ale naprawdę było całkiem inaczej. Po prostu udałem się w miejsce o współrzędnych, które podał mi Referent, on zaś dostał je od Komputera Loteryjnego. Pan tam był i ja pana sprowadziłem.

— I nie może mnie pan odstawić w te same współrzędne?

— Mogę, z największą łatwością. Ale niczego by pan tam nie znalazł. Wie pan. Galaktyka nie jest statyczna. Wszystko się porusza, każda rzecz z właściwą sobie prędkością i we właściwy sobie sposób.

— A czy na podstawie poprzednich współrzędnych nie mógłby pan wyliczyć, gdzie Ziemia jest teraz? — spytał Carmody.

— Nie potrafiłbym nawet zsumować kolumny liczb — z dumą poinformował go Posłaniec. — Moje uzdolnienia kierują się ku innym dziedzinom.

— A może pan potrafi? — Carmody zwrócił się do Referenta. — Albo Komputer Loteryjny?

— Ja też nie umiem za dobrze dodawać — przyznał się Referent.

Komputer wsunął się z powrotem do pokoju.

— Ja znakomicie dodaję — oświadczył. — Moje funkcje jednak ograniczone są do wybierania i lokalizacji, w

granicach dopuszczalnego błędu, zwycięzców Loterii. Umieściłem pana (jest pan tutaj), a tym samym interesujący problem ustalenia aktualnych współrzędnych pańskiej planety jest dla mnie zakazany.

— Może mógłbyś to dla mnie zrobić jako drobną przysługę?

— Nie mam żadnych rezerw na drobne przysługi — wyjaśnił Komputer. — Tak samo nie mogę znaleźć pańskiej planety, jak nie mogę usmażyć jajka czy trysekcjonować Novej.

34

— **Czy** ktokolwiek może mi pomóc? — zapytał ^armody.

— Proszę nie rozpaczać — pocieszył go Referent. — tiuro Obsługi Podróżnych załatwi tę sprawę błyskawicznie. am pana do nich zaprowadzę. Wystarczy, że im pan poda Współrzędne Domowe.

— Ale ja ich nie znam! — zawołał Carmody.

Na chwilę zapanowała konsternacja. Potem zabrał głos
•ostaniec.

— Jeżeli pan sam nie zna własnego adresu, to jak mógłby go znać ktoś inny? Być może Galaktyka nie jest ieskończona, ale na pewno jest całkiem spora. Istota, która ie zna własnej Lokacji, nie powinna wychodzić z domu.

— Wtedy o tym nie wiedziałem — usprawiedliwił się Carmody.

— Mógł pan zapytać.

— Nie pomyślałem... Słuchajcie, musicie mi pomóc. Istalenie, gdzie jest moja planeta, nie może być takie rudne.

— Jest wręcz niezwykle trudne — uświadomił go leferent. — „Gdzie” to tylko jedna z trzech niezbędnych rópółrzędnych.

— A jakie są pozostałe dwie?

— Trzeba się dowiedzieć „Kiedy” i „Która”. Nazywany je „GKK Lokacji”.

— Jeśli o mnie chodzi, to możecie je nazywać Zielonym Ierem — wybuchnął Carmody. — A jak inne formy życia •dnajdują drogę powrotną?

— Wykorzystują wrodzony instynkt, kierujący je do domu! — poinformował go Posłaniec. — A przy okazji: est pan pewien, że nie ma pan takiego instynktu?

— Jak on mógłby mieć instynkt kierunkowy? — obu-żyła się Nagroda. — Przecież ten facet nigdy nie opuszczał 'odzinnej planety! W jaki sposób miałby go w sobie ozwinać?

s — Fakt. — Znużony Referent potarł dłonią poli-zek. — Tak się kończą kontakty z niższymi formami życia. [iech diabli wezmą Komputer i jego pobożne pomyłki!

35

— Jedna na pięć miliardów — wtrącił Komputer. -Chyba nie żądam zbyt wiele?

— Nikt cię nie oskarża — mruknął Referent. — Prawd mówiąc, nikt nikogo nie oskarża. Tyle, że dalej nie wiem) co z nim zrobić.

— To wielka odpowiedzialność — stwierdził Posłaniec

— Na pewno — zgodził się Referent. — A co powiesz na to: zabijmy go i zapomnijmy o całej sprawie?

— Chwileczkę! — zawołał Carmody.

— Jeśli chodzi o mnie, to zgoda — rzekł Posłaniec.

— Jeśli wy się zgodzacie, chłopcy — powiedział Kom puter — to ja też się zgadzam.

— Na mnie nie liczcie — stwierdziła Nagroda. — Trud no mi wytłumaczyć, o co chodzi, ale coś mi w tym pomyśle nie pasuje.

Wzburzony Carmody wygłosił kilka zdań, informując że nie chce umierać i nie powinno się go zabijać. Zaapelowała do ich uczuć wyższych i wycucia reguł uczciwej gry. Jegc opinie uznane zostały za stronicze i skreślone z zapisu.

— Czekajcie, mam! — krzyknął nagle Posłaniec. — Co powiecie na taką możliwość: nie zabijamy go, al(z pełnym zaangażowaniem i w pełni wykorzystując nasze możliwości pomagamy mu wrócić do domu, żywemu i w dobrym zdrowiu, zarówno psychicznym jak i fizycznym?

— To jest myśl! — przyznał Referent.

— W ten sposób — mówił dalej Posłaniec — wykonamy wzorcową akcję, godną najwyższego uznania, a tym więcej wartą utrwalenia, że całkowicie daremną. Najprawdopodobniej bowiem zginie i tak w czasie podróży.

— Lepiej bierzmy się do roboty — przynaglił Referent. — Jeżeli nie chcemy, żeby zginął, kiedy my tu rozmawiamy.

— O co tu chodzi? — zapytał Carmody.

— Później wszystko wyjaśnię — szepnęła mu Nagroda. — Zakładając, że będzie jakieś później. A jeśli znajdziemy dość czasu, to opowiem ci też fascynującą historię o sobie.

— Proszę się przygotować, Carmody! — zawołał Posłaniec.

36

— Jestem gotów — odparł Carmody. — Mam nadzieję.

— Gotów, czy nie, leci pan! I rzeczywiście.

ROZDZIAŁ VI

Zapewne po raz pierwszy w historii ludzkości człowiek oczywiście i dosłownie zmienił miejsce pobytu. Z punktu idzenia Carmody'ego on sam wcale się nie ruszył. To szystko inne się poruszyło. Posłaniec i Referent wtopili ę w tło, Centrum Galaktyczne stało się płaskie i nabrało wyraźnego podobieństwa do marnego fresku.

Następnie w lewym górnym rogu tego fresku pojawiło ę pęknięcie, rozszerzyło się i wydłużyło, dobiegając do rawego dolnego rogu, a jego brzegi zwinęły się, odsłaniając iłkowitzą czerń. Fresk, czyli Centrum Galaktyczne, zroło-ał się niby roleta, nie pozostawiając po sobie najmniej-sego śladu.

— Nie przejmuj się — szepnęła Nagroda. — Robią to rzy pomocy luster.

To wyjaśnienie bardziej zaniepokoiło Carmody'ego niż uno zjawisko. Trzymał się jednak mocno w garści, jeszcze mocniej trzymał Nagrodę. Czerń stała się głęboka zupełna, bezdźwięczna i bezświatlna — paradygmat alekiego kosmosu. Carmody wytrzymał to tak długo, jak higo trwało, co było nie do pojęcia.

Później, nagle, scena się zmieniła. Stał na ziemi i od-ychał powietrzem. Dostrzegał nagie skały barwy zbielałych ości, a dalej rzekę zastygłej lawy. W twarz dmuchał mu elikatny, ospały wietrzyk, a w górze świeciły trzy małe zerwone słońca.

Miejsce to wydało się Carmody'emu bardziej obce niż centrum Galaktyczne, a jednak było wytchnieniem. Takie rajobrazy widywał już w snach, natomiast Centrum ©chodziło z koszmaru.

Drgnął nagle, uświadomiwszy sobie, że nie ma w ręku ogrody. Jak mógł ją zgubić? Zaczął gorączkowe po-

37

szukiwania i po krótkiej chwili znalazł owiniętego wok< swej szyi małego zielonego węża.

— To ja — powiedział wąż. — Twoja Nagroda. Przybn lam po prostu inną postać. Rozumiesz, forma jest funkcj środowiska jako całości, a my. Nagrody, jesteśmy niezwykl wyczulone na jego wpływy. Nie pozwól, by cię to przerażał Jestem z tobą, chłopcze, i razem wyrwiemy Meksyk z drą pieźnych cudzoziemskich łap tego lalusia Maksymiliana.

— Co?

— Proszę o wybaczenie — przeprosiła Nagroda. -Widzi pan. Doktorze, mimo wysokiej inteligencji m) Nagrody, nie posiadamy własnego języka. Nie odczuwam;

zresztą takiej potrzeby, jako że zawsze jesteśmy wręczani przedstawicielom różnych ras. Rozwiązanie problemu mo wy jest całkiem proste, choć bywa, że budzi niepokój. P(prostu podłączyłam się do twojej puli skojarzeń i stamtą< czerpię słowa, które wyjaśniają sens wypowiedzi. Czy t słowa wyjaśniły sens mojej wypowiedzi?

— Nic nie jest zupełnie jasne — odparł Carmody. -Ale chyba rozumiem.

— Zuch — pochwaliła go Nagroda. — Pojęcia mogli się czasem mieszać, ale w końcu na pewno je odcyfrujesz. Wszak pochodzą od ciebie. Znam dość zabawną historyjki na ten temat, ale boję się, że będzie musiała poczekać. Co tu się zdarzy, i to szybko.

— Co? Co to będzie?

— Carmody, m o n v i e u x, nie ma czasu na tłumacze nie ci wszystkiego. Być może nie wystarczy go nawet na te co absolutnie musisz wiedzieć, by twój żywy organizr nadal funkcjonował. Otóż Referent i Posłaniec uprzejmi zechcieli cię wysłać...

— Te mordercze sukinsyny! — przerwał Carmody.

— Nie wolno tak lekkomyślnie oskarżać kogoś o moi derstwo — zganiła go Nagroda. — Dowodzi to brak rozważli. Pamiętam traktujący o tym dytyramb, niezwykl udany, który zadeklamuję nieco później. O czym mówiłam Aha, Referent i Posłaniec. Niemałym nakładem sił i śród ków ci dwaj godni najwyższego szacunku dzentelmen przesłali cię do jedynego miejsca w Galaktyce, gdzie uda ci się, być może, uzyskać pomoc. Sam wiesz, że wcale nie musieli tego robić. Mogli zabić cię od razu, za twoje przyszłe przestępstwa. Mogli cię wyekspediować w ostatni

znany punkt, gdzie była twoja planeta i gdzie, bez najmniejszych wątpliwości, już jej nie ma. Mogli też eks-
trapolować jej najbardziej prawdopodobne położenie aktualne i tam cię przetransportować. A że są z nich mami
ekstrapolatorzy, można przypuszczać, że rezultaty tego byłyby zaiste fatalne. Sam więc widzisz...

— Gdzie jestem? — przerwał jej Carmody. — I niby co ma się tu zdarzyć?

— Właśnie chciałam do tego przejść — odparła Nagroda. — Ta planeta nazywa się Lursis, co chyba widać od
razu. Ma tylko jednego mieszkańca, autochtonicznego Melichrone'a, który przebywa tu dawniej, niż ktokolwiek
pamięta, a będzie dłużej, niż ktokolwiek mógłby przewidzieć. Melichrone jest sui generis zasadniczy i zawzięty.
Jako autochton jest niezrównany, jako rasa wszechobecny, jako osobnik zaś jest różnorodny. To o nim napisano:
„Oto samotny heros krzyżujący się ze sobą w chwili, gdy zawzięcie odpiera wściekle ataki siebie na siebie”.

— A niech cię! — krzyknął Carmody. — Gadasz jak komisja senacka, ale zupełnie o niczym.

— To dlatego, że jestem wzburzona — wyjaśniła Nagroda ze skargą w głosie. — O wielki Scotcie, czy na to się
zgadzałam? Jestem wstrząśnięta, chłopie, naprawdę wstrząśnięta, możesz mi wierzyć. Staram się cokolwiek
wyjaśnić, iponieważ jeśli nie będę trzymać ręki na pulsie, to cała ta leholema kula stearyny zwali się na dół jak
domek z nart!

— Z kart — poprawił odruchowo Carmody.

— Nart! — wrzasnęła na niego Nagroda. — Człowieku, ś ty kiedy widział, jak rozsypuje się domek z nart? No
właśnie. A ja widziałam i zapewniam cię, że nie było to syjemne.

— To musiało być niezłe widowisko — zachichotał miody.

— **Weź się w garść!** — szepnęła Nagroda z nagłą

39

powagą. — Zintegruj się! Podłącz do gwiazdy swój thal< mus! Oto nadchodzi godny Melichrone!

Carmody stwierdził, że jest zdumiewająco spokojna Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł w zwiariowanym krajobraz!
niczego, czego nie byłoby tu przedtem.

— Gdzie on jest? — zapytał Nagrody.

— Melichrone ewoluuje w celu zyskania możliwość rozmowy z tobą. Odpowiadaj mu śmiało, lecz taktownu
Absolutnie nie wspominaj mu o jego kalectwie, to go tyłki zdenerwuje. Upewnij się...

— O jakim kalectwie?

— Upewnij się, że pamiętasz o jego jedynym ograni czeniu. A przede wszystkim, kiedy zada ci Pytanie, od
powiedz na nie z najwyższą ostrożnością.

— Zaczekaj! — przerwał jej Carmody. — Wszystko, c< mówisz, tylko wytrąca mnie z równowagi. Co za
kalectwo Co za ograniczenie? I co to będzie za Pytanie?

— Przestań się mnie czepiać! — odparła Nagroda. — Ni< mam zamiaru tego znosić. Zresztą i tak nie zdołam
utrzymać świadomości ani chwili dłużej. Odłożyłam swoją hibernacja na czas przekraczający granice wytrzymałości.
Na razie, mały, i nie daj sobie wepchnąć żadnych drewnianych karuzeli,

Z tymi słowy wąż poprawił swoje sploty, wsadził koniec ogona do pyska i zasnął.

— Ty zwinięta komediantko! — wściekał się Carmody. — I ty nazywasz siebie Nagrodą? Taka z ciebie Nagroda
jak dwie pensówki na powiekach umarłego.

Nagroda jednak spała i nie mogła lub też nie chciała słyszeć inwektyw Carmody'ego. Zresztą nie był to od-
powiedni czas na takie rzeczy, jako że w następnej chwili naga skała z lewej strony zmieniła się w szalejący wulkan.

ROZDZIAŁ VII

Wulkan szalał i dudnił, wypływał płomieniste wiry i miotał w czarne niebo ogniste meteory. Te rozpryskiwał) się
w miliony rozżarzonych odłamków, z których każdy
rozpadał się znowu i znowu, aż cały nieboskłon rozświetlił tóę takim blaskiem, że trzy słońca przybladły.

— O rany! — powiedział Cannody. To wszystko przypomniało mu pokaz meksykańskich fajerwerków w parku
Chapultepec na Wielkanoc i naprawdę zrobiło na nim wrażenie.

, Gdy tak patrzył, rozżarzone szczątki spadły w dół i, zgasły w oceanie, który uformował się, by je przyjąć.
Wielobarwne smugi dymu skręcały się i owijały wokół Hebie, zaś głębokie wody syczały i zmieniały się w parę
;tmoszącą się w niebo w dziwnie rzeźbionych obłokach. Te zaś rozplynęły się w deszcz.

— Juhu! — wrzasnął Carmody.

Deszcz padał ukośnie. Zerwał się wiatr i chwycił Spadające krople, splatając je razem, dopóki i deszcz, i wiatr nie przemieszały się, by uformować potężną trąbę powietrzną. Gruba u podstawy, czarna ze srebrnymi od-łuskami, zbliżała się do Carmody'ego przy rytmicznym akompaniamentcie ogłuszających uderzeń piorunów.

— Dość już! — ryknął Carmody. ' Gdy dotarła już niemal do jego stóp, trąba rozplynęła się, wiatr i deszcz pomknęły ku niebu, a gromy przycichły zastąpione złowieszczym dudnieniem. Dało się słyszeć granie rogów i psalterionów, lament kobz i słodkie jęki harf. Wciąż głośniejsze i głośniejsze grzmiała uroczysta pieśń powitalna, przypominająca akompaniament muzyczny jakiegoś naprawdę wysokobudżetowego MGM-owskiego filmu historycznego, robionego w Cinemascope i Todd-AO, tyle że brzmiała lepiej. Potem nastąpiła ostatnia eksplozja dźwięku, światła, barwy ruchu i różnych innych rzeczy, wreszcie zapadła cisza. Na samym końcu Carmody zamknął oczy. Otworzył je gteraz, w samą porę, by zobaczyć, jak dźwięk, światło, barwa, ruch i różne inne rzeczy zmieniają się w heroiczną, nagą postać człowieka.

— Witam — powiedział człowiek. — Jestem Melichrone. Jak ci się podobało moje wejście?

— Byłem wstrząśnięty — odparł Carmody całkowicie zczepnie.

41

— Naprawdę? — upewnił się Melichrone. — To znaczy naprawdę wstrząśnięty? To znaczy więcej niż tylko przejęty? Mów prawdę i nie oszczędzaj moich uczuć.

— Naprawdę — potwierdził Carmody. — Jestem naprawdę wstrząśnięty.

— To strasznie miło — ucieszył się Melichrone. — Te co widziałeś, było małą Introdukcją do Mnie Samego którą opracowałem całkiem niedawno. Wydaje mi się poważnie, że mówi coś o mnie, prawda?

— Na pewno — zgodził się Carmody. Próbował zaobserwować, jak też wygląda Melichrone, lecz stojąca przed nim postać była czarna jak smoła, doskonale zbudowana i bez znaków szczególnych. Jediną cechą wyróżniającą był głos, wyrafinowany, niespokojny i trochę płaczący.

— To absurd, oczywiście — stwierdził Melichrone. — Mam na myśli posiadanie introdukcji do siebie i takich rzeczy. Ale w końcu to moja planeta. Jeśli nie można sifla trochę popisać na własnej planecie, to gdzie można się popisać? Co?

— To zupełnie oczywiste — zapewnił go Carmody.

— Naprawdę tak myślisz?

— Uczciwie i absolutnie szczerze tak właśnie uważam. Melichrone zastanawiał się tylko przez chwilę, po czym oświadczył nagle:

— Dziękuję. Lubię cię. Jesteś inteligentną, wrażliwą istotą i nie boisz się mówić tego, co myślisz.

— Dziękuję ci — powiedział Carmody.

— Nie ma za co. Naprawdę tak myślę.

— A więc naprawdę ci dziękuję — Carmody starał się, by w jego głosie nie zabrzmiała nuta rozpaczki.

— Cieszę się, że przybyłeś — poinformował go Melichrone. — Widzisz, mam silnie rozwiniętą intuicję i sądzę, że możesz mi pomóc.

Carmody miał już na końcu języka odpowiedź, że przybył tu raczej prosić o pomoc niż jej udzielać, że — cc więcej — raczej nie byłby w stanie komukolwiek pomóc skoro nie potrafił pomóc samemu sobie w tak podstawowej sprawie, jak znalezienie drogi do domu. Zdecydował się jednak przez chwilę nic nie mówić, gdyż lękał się, że obrazi Melichrone'a.

— Mój problem — rozpoczął swe wyjaśnienia Melichrone — tkwi nierozdzielnie w mojej sytuacji. A sytuacja ta jest unikalna, straszliwa, niezwykła i znacząca. Słyszałeś zapewne, że cała ta planeta jest moja. Rzecz jednak sięga daleko głębiej: jestem jedyną istotą, która może tu żyć. Inni próbowali: stawiano osiedla, wypuszczano na wolność zwierzęta, sadzono rośliny. Wszystko to oczywiście za moją zgodą i wszystko na próżno. Cała obca dla tej planety materia, bez wyjątku, rozpadała się w drobny pył, który w końcu moje wiatry wydmuchiwały w przestrzeń. Co o tym sądzisz?

— Dziwne — ocenił Carmody.

— Tak, dobrze powiedziane — pochwalił go Melichrone. — Rzeczywiście dziwne. Ale tak jest! Żadne życie nie może tu istnieć, z wyjątkiem mnie i moich przedłużeń. Myślałem, że zemdleję, kiedy to zrozumiałem.

— Wyobrażam sobie — wtrącił Carmody.

— Jestem tu dłużej, niż sięga czyjokolwiek pamięć. Przez całe wieki zadowalałem się prostym życiem, życiem ameby, mchu, porostu. Wszystko było wtedy proste i piękne. Żyłem w czymś w rodzaju rajskiego ogrodu.

— To musiało być cudowne — zaopiniował Carmody.

— Podobało mi się — odrzekł cichym głosem Melichrone. — Ale nie mogło to trwać wiecznie. Odkryłem

ewolucję i ewoluowałem zmieniając planetę tak, by zaakceptowała moją nową osobowość. Stałem się wieloma stworzeniami i nie wszystkie one były miłe. Zapoznałem się (z zewnętrznym wobec mnie światem i eksperymentowałem z formami, które tam znalazłem. Żyłem długo w licznych postaciach istot Galaktyki, jako humanoid, chtherizoid, olichord i inne. Uświadomiłem sobie własną wyjątkowość wiedza ta przyniosła mi samotność, której nie mogłem zaakceptować. Więc jej nie zaakceptowałem. Zamiast tego rozpocząłem trwającą kilka milionów lat maniacką niemal azę. Przekształcałem się w różne rasy i pozwalałem... nie, achęcałem je, by ze sobą walczyły. Mniej więcej w tym

43

samym okresie dowiedziałem się o płci i o sztuce. Obie wprowadziłem do swoich ras i przez pewien czas świetnie bawiłem. Dzieliłem się na składowe męskie i żeńskie a każda z nich była osobną jednością, choć wciąż części mnie. Rozmnażałem się, pogrążałem w wyuzdaniu, paliłem na stosie, chwytalem w pułapki, przeszedłem przez nie zliczone samośmierci i autonarodziny. Moje składowe za poświęcały się sztuce, niektóre z nich bardzo udanie, i religii Czcili mnie, naturalnie; było to rzeczą jedynie właściwą jako że to ja byłem przyczyną sprawczą wszystkiego Pozwalałem im jednak uznawać i gloryfikować istot wyższe, które nie były mną. W owych dniach byłem bowiem niezwykle liberalny,

— To ładnie z twojej strony — zauważył Carmody.

— Staram się być troskliwy — wyjaśnił Melichrone. — Stać mnie na to. Dla tej planety jestem Bogiem. I nie warto robić szumu wokół tej sprawy. Byłem boski, nieśmiertelny, wszechmocny i wszechwiedzący. Wszystko istniało we mnie, nawet dysydenckie opinie na mój temat. Nie było ani źdźbła trawy, które nie stanowiłoby nieskończenie drobnej cząstki mej istoty. Ja kształtowałem góry i rzeki, ja zsyłałem urodzaj; i głód także. Byłem życiem w komórkach rozrodczych i śmiercią w bakcylach zarazy. Nawet wróbel nie mógł spaść bez mojej wiedzy, gdyż byłem Wiążącym i Rozwiązującym, Wszystkimi i Każdym, Tym Który By) Zawsze i Tym Który Zawsze Będzie.

— Duża rzecz — przyznał Carmody.

— Tak, tak. — Melichrone uśmiechnął się z zażenowaniem. — Byłem Wielkim Kołem w Niebiańskiej Fabryce Rowerów, jak to wyraził jeden z moich poetów. To było wspaniałe. Moje rasy tworzyły obrazy, a ja tworzyłem zachody słońca. Mój lud pisał o miłości, a ja wynalazłem miłość. Ach, cudowne dni! Gdybyż mogły trwać dłużej!

— A dlaczego nie? — zdziwił się Carmody.

— Ponieważ dorosłem — wyjaśnił zasmucony Melichrone. — Przez niezliczone eony rozkoszowałem się kreacją;

teraz zacząłem kwestionować swoje twory i siebie samego, Moi kapłani, rozumiesz, ciągle stawiali pytania na mój temat, ciągle spierali się o moją naturę i moje przymioty. uchałem ich jak głupi. Przyjemnie jest słuchać, jak fskutują o tobie twoi kapłani, ale może to być niebez-eczne. Zacząłem się zastanawiać nad swoją naturą i swo-li przymiotami. Dumalem, analizowałem, a im więcej tym myślałem, tym trudniejsze się to wydawało.

— Ale dlaczego kwestionowałeś samego siebie? — zastał Carmody. — W końcu byłeś Bogiem.

— To jest kluczowy punkt problemu — odparł Melich->ne. — Dla moich kreacji w ogóle nie było sprawy. Byłem ogiem; postępowałem według tajemniczych reguł, lecz oim zadaniem było wychowywać i karać rasę istot)siadających wolną wolę, mimo iż pochodziły z mojej toty. Jeżeli o nie chodziło, to cokolwiek uczyniłem, było uszne, ponieważ Ja to zrobiłem. Inaczej mówiąc: moje nalania, nawet te najprostsze i najbardziej oczywiste, były ostatecznej analizie niewyjaśnialne, ponieważ Ja byłem ewyjaśnialny. Albo, jeszcze inaczej, moje dokonania tajemny sposób wynikały z ogólnej rzeczywistości, którą lko Ja, ze względu na swoją Boskość, mogłem postrzegać. Eik uważało kilku moich wybitnych myślicieli; dodawali

•zy tym, że pełniejsze zrozumienie dane im będzie w niebie.

— Stworzyłeś także niebo? — zainteresował się Car-ody.

— Pewnie. Piekło też — uśmiechnął się Melichrone. —)winienes widzieć ich miny, kiedy wskrzeszałem ich tu bo tam. Nawet najbardziej pobożni nie wierzyli naprawdę życie na Tamtym Świecie.

— Przypuszczam, że czułeś się usatysfakcjonowany — >wiedział Carmody.

— Było to miłe — przyznał Melichrone. — Przez jakiś as. Ale potem zaczęło mnie nudzić. Jestem bez wątpienia k samo próżny, jak próżny byłby każdy inny Bóg, ale to

•zesadne nieskończone uwielbienie zaczęło mnie w końcu rzyprawiać o rozstrój nerwowy. W imię Boga, dlaczego og ma być czczony tylko za wykonywanie swych boskich inkcji? Równie dobrze można by wielbić mrówkę za to, ! ślepo wypełnia swe mrówcze obowiązki. Taki stan

45

rzeczy uznałem za wysoce niezadowolający. W dodat wciąż brakowało mi wiedzy o sobie, jeżeli nie liczyć t którą

uzyskiwałem za pośrednictwem stroniczych oc moich kreacji.

— No i co zrobiłeś? — zapytał Carmody.

— Usunąłem ich — oświadczył Melichrone. — Żli widowałem wszystkie rasy na mojej planecie, żyjące i inn Skasowałem też Tamten Świat. Szczerze mówiąc, potrzebowałem trochę czasu do namysłu.

— Hm... — Carmody był wstrząśnięty.

— Z drugiej strony jednak nie zniszczyłem nikogo ani niczego — wyjaśnił pospiesznie Melichrone. — Po prosi zebrałem w siebie wszystkie fragmenty siebie — uśmiechną się nagle. — Miałem sporo facetów z takimi dzikin oczami, którzy wiecznie gadali o osiągnięciu jedności 2 Mną. Teraz ją osiągnęli, to pewne!

— Może im się to podoba — zasugerował Carmody.

— Skąd mogę wiedzieć — odrzekł Melichrone. — Jed ność ze Mną oznacza Mnie; z konieczności łączy się ti z utratą świadomości, która tę jedność bada. To dokładnie to samo co śmierć, ale brzmi dużo lepiej.

— Bardzo interesujące — stwierdził Carmody. — Ali zdawało mi się, że mówiłeś coś o problemie.

— Tak, dokładnie! Właśnie do tego zmierzam. Widzisz odstawiłem swe ludy prawie tak, jak dziecko odstawi; domek dla lalek. A potem usiadłem, w przenośni oczywiście żeby wszystko przemyśleć. Jedyną kwestią do przemyślenia byłem naturalnie Ja. A mój problem brzmi tak: co powi nieniem robić? Czyżbym nie miał być niczym innym, ja tylko Bogiem? Spróbowałem tej roboty i stwierdziłem, że nazbyt ogranicza. To praca dla prostodusznego egomania ka. Musi istnieć coś innego, przeznaczonego dla mnie, cc bardziej znaczącego, w czym moja prawdziwa jaźń pełni mogłaby się wyrazić. Jestem tego pewien! Oto mój problem i oto pytanie, które ci zadaję: co mam ze sobą zrobić?

— Tak... — powiedział Carmody. — No cóż, rozi miem, o co ci chodzi — odchrząkną i w zamyśleniu potai nos. — Problem tego rodzaju wymaga poważnego nainysz

— Czas nie jest dla mnie istotny — odparł Melich-one. — Mam go nieograniczoną ilość. Przykro mi to mówić, ale ty nie.

— Ja nie? A ile mam czasu?

— Według twoich miar około dziesięciu minut. Wkrótce wtem zdarzy ci się chyba coś nieprzyjemnego.

— Co mi się stanie? Jak mogę tego uniknąć?

— Chwileczkę, gra jest grą — powiedział Melich-one. — Najpierw ty odpowiesz na moje pytanie, a potem a odpowiem na twoje.

— Ale jeżeli mam tylko dziesięć minut...

— To ograniczenie pomoże ci się skoncentrować — przerwał mu Melichrone. — Poza tym, skoro jesteśmy na hojej planecie, będziemy postępować według moich reguł. Zapewniam cię, że gdyby to była twoja planeta, to ty bys istalał zasady. To rozsądne, nieprawdaż?

— Tak, też tak sędzę — zgodził się żałośnie Carmody.

— Dziesięć minut — poinformował go Melichrone. Jak powiedzieć Bogu, co jest jego funkcją? Szczególnie eśli, jak Carmody, jest się ateistą? W jaki sposób można wymyślić coś sensownego, zwłaszcza wiedząc, że filozofowie kapłani Boga dyskutowali nad tym przez całe wieki?

— Osiem minut — rzekł Melichrone. Carmody otworzył usta i zaczął mówić.

ROZDZIAŁ VIII

— Wydaje mi się — zaczął Carmody — że rozwiązanie wojego problemu... jest... jest może...

— Tak? — ożywił się Melichrone.

Carmody nie miał pojęcia, co właściwie zamierza posiedzieć. Mówił z rozpaczliwą nadzieją, że sam akt mówienia jako taki wytworzy jakieś znaczenie, albowiem słowa Sos znaczą, a zdania nawet więcej niż słowa.

— Twój problem — kontynuował — polega na znalezieniu w sobie wewnętrznej funkcjonalności mającej odiesienie do rzeczywistości zewnętrznej. To jednak może

okazać się niemożliwe, jako że ty sam jesteś rzeczywistości a tym samym nie możesz postawić się na zewnątrz względem siebie.

— Mogę, jeżeli zechcę — zapewnił go ponuro Melichrone. — Mogę postawić na zewnątrz każdą cholerną rzecz;

jaką mi się postawić spodoba, bo ja tu jestem szefem. *By Bogiem*, rozumiesz, to nie znaczy być solipsystą.

— Tak, tak, naturalnie — zgodził się pospieszni! Carmody. (Czy zostało mu jeszcze siedem minut? Ca sześć? I co ma się zdarzyć, kiedy ten czas upłynie?) — Jes zatem oczywiste, że twoja Immanencja i Wewnętrzność nil wystarczają twojemu spojrzeniu na siebie, czyli są faktyczni) niewystarczające, ponieważ ty sam w swej Postaci Definiującej za takie je uważasz.

— Ładnie sformułowane — przyznał Melichrone. — Powinieneś być teologiem.

— W danej chwili jestem teologiem — rzekł Carmody (Sześć minut? Pięć minut?) — Dobrze więc. Co powinieneś robić...? Czy myślałeś kiedyś o tym, by uczynić całą wiedza jednocześnie wewnętrzną i zewnętrzną (zakładając, a istnieje coś takiego, jak zewnętrzna wiedza), by uznać wiedzę za cel swego życia?

— Tak. Prawdę rzekłszy, myślałem już o tym — odpar Melichrone. — Między innymi przeczytałem wszystkie książki o Galaktyce, zgłębiłem tajemnice Natury i Człowieka, zbadałem makrokosmos i tak dalej. Nawiasem mówiąc mam spore zdolności do nauki. Wprawdzie zapomniałem potem kilku szczegółów, takich jak zagadka życia czy ukryty motyw śmierci, ale zawsze mogę je poznać znowu kiedy będę miał na to ochotę. Przekonałem się przy tym że nauka jest zajęciem suchym i mało aktywnym, choć pełnym miłych niespodzianek. I jeszcze o tym, że uczeniu się nie jest dla mnie szczególnie czy niezwykle ważne. Szczerze mówiąc, nieuczenie się uważam za niemal równi atrakcyjne.

— A może twoim przeznaczeniem jest sztuka? — zasu gerował Carmody.

— Przeszedłem już przez ten etap — stwierdził Melichrone.

le. — Rzeźbiłem w ciele i w glinie, malowałem zachody Aca na płótnie i na niebie, pisałem książki słowami i arzeniami, tworzyłem muzykę dla instrumentów i komponowałem koncerty na wiatr i deszcz. Sądzę, że moje iela nie były najgorsze, lecz jakoś czułem, że zawsze zostałem dyletantem. Widzisz, moja wszechmoc nie zostawia mi miejsca na omyłki, zaś moja władza nad nkretnością jest zbyt całkowita, by pozwoliła mi poważ-; zając się wyobrażeniami.

— Hmm... rozumiem — rzekł Carmody. (Na pewno ; więcej niż trzy minuty!) — A dlaczego nie zostaniesz obywatą?

— Nie muszę zdobywać tego, co już posiadam — wyjaś-Melichrone. — A co do innych światów, to nie chcę ich. oje zdolności są ściśle związane z moim środowiskiem tadającym się z jednej planety. Posiadanie innych zmusiło-mnie do nienaturalnych działań. A poza tym jaki zyték miałbym z innych światów, jeśli nie wiem nawet, zrobić z tym jednym?

— Widzę, że wiele myślałeś w tej sprawie — rzekł irmody czując, jak jego desperacja zmienia się w rozpacz.

— Pewnie, że tak. Nie myślałem prawie o niczym lym przez parę milionów lat. Szukałem celu zewnętrznego :ględem mnie, a jednak istotnego dla natury mego bytu. ukałem wskazówki, ale znalazłem tylko siebie.

Carmody'emu żal by było Boga Melichrone'a, gdyby ;o własne położenie nie było tak rozpaczliwe. Tracił ientację; czuł, jak jego czas się kończy, a jego lęk surdalnie miesza się ze sprawą tego niedopełnionego >ga.

I wtedy spłynęła na niego inspiracja. Była prosta, a przy n rozwiązywała jednocześnie problem Melichrone'a i jego asny — a to jest cecha dobrej inspiracji. Inna sprawa, czy elichrone przyjmie takie rozwiązanie. Carmody nie miał tego wyjścia, jak tylko spróbować.

— Melichrone — rzekł śmiało. — Właśnie rozwiązałem łój problem.

— **Och**, rozwiązałeś? Naprawdę? — zapytał z ozywie-

• Wymiar cudów

•W

niem Melichrone. — To znaczy naprawdę naprawdę? To znaczy, nie mówisz tego tylko dlatego, że jeśli nie znajdziesz satysfakcjonującego mnie rozwiązania, to umrzesz za siedemdziesiąt trzy sekundy? To znaczy, nie pozwoliłeś, by fakt ten nadmiernie na ciebie wpłynął, prawda?

— Pozwoliłem, by zagrażający mi los wpłynął na mnie — odparł majestatycznie Carmody —jedynie w takim stopniu, w jakim wpływ ów przydatny był do rozwiązania twojego problemu.

— Och, to cudownie. Pospiesz się, proszę, i opowiedz mi. Jestem taki podniecony!

— Chciałbym to uczynić — zapewnił go Carmody. — Ale nie mogę. Wyjaśnienie ci wszystkiego jest fizyczną niemożliwością, skoro masz zamiar mnie zabić za sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt sekund.

— Ja? Ja mam zamiar cię zabić? Wielkie nieba, czyżbym naprawdę wydał ci się aż tak krwiożerczy? Nie! Zbliżająca się śmierć jest wydarzeniem zewnętrznym, nie mającym ze mną najmniejszego związku. Przy okazji: zostało ci jeszcze dwanaście sekund.

— To nie wystarczy — odrzekł Carmody.

— Ależ oczywiście, że wystarczy! To mój świat, jak wiesz, i ja tu kontroluję wszystko, w tym upływ czasu. Właśnie dokonałem zmiany lokalnego kontinuum prze-strzenno-czasowego na dystansie pięciu sekund. Dla Boga jest to dość proste, choć później wymaga sporo sprzątnia. Twoje dziesięć sekund zatem zużyje około dwudziestu

pięciu lat czasu lokalnego. Czy t y l e ci wystarczy?

— Aż nadto — przyznał Carmody. — Jesteś bardzo uprzejmy.

— Nie ma o czym mówić — zapewnił Melichrone. — A teraz, jeśli można, podaj swoje rozwiązanie.

— Proszę bardzo — zgodził się Carmody i wziął głęboki oddech. — Rozwiązanie twego problemu mieści się w słowach, w jakich go wypowiadasz. Nie może być inaczej:

w każdym problemie musi tkwić zarodek jego rozwiązania.

— Musi? — upewnił się Melichrone.

— Musi — potwierdził stanowczo Carmody.

50

— W-porządku. Chwilowo uznaję to założenie. Mów dalej.

— Rozważmy twoją sytuację — kontynuował Carmody. — Weź pod uwagę jej aspekty wewnętrzne i zewnętrzne. Jesteś Bogiem tej planety, ale tylko tej właśnie. Jesteś wszechmocny i wszechwiedzący, lecz jedynie tutaj. Masz znaczne osiągnięcia intelektualne, czujesz jednak potrzebę, by służyć czemuś poza sobą. Twoje zdolności będą jednak bezużyteczne w każdym miejscu oprócz tego, tutaj zaś nie ma nikogo prócz ciebie.

— Tak, tak. Właśnie taka jest moja sytuacja — zawołał Melichrone. — Ale ciągle nie mówisz, co mógłbym z nią zrobić.

Carmody nabrał tchu i wolno wypuścił z płuc powietrze.

— Oto, co musisz zrobić — oznajmił. — Musisz wykorzystać wszystkie swe wspaniałe możliwości, i to wykorzystać je tutaj, gdzie przyniosą najlepsze rezultaty, a także wykorzystać je w służbie innym, gdyż takie jest twoje gorące pragnienie.

— W służbie innym? — zapytał Melichrone.

— Wszystko na to wskazuje — potwierdził Carmody. — Stwierdzenie takie wynika z najbardziej choćby powierzchownej analizy twojej sytuacji. Jesteś samotny w złożonym wszechświecie, lecz abyś mógł przedsięwziąć czyny względem siebie zewnętrzne, musi istnieć owo zewnętrzne. A ponieważ twa istota nie pozwala ci się do niego przenieść, więc ono musi przyjść do ciebie. A gdy już się pojawi, to jaki mógłby być twój do niego stosunek? To także jest oczywiste. **We** własnym świecie jesteś wszechmocny, czyli nie można ci pomóc ani cię wesprzeć. Za to ty możesz pomagać i wspierać innych. I to jest jedyna naturalna relacja pomiędzy tobą a zewnętrznym wszechświatem.

— Twoje argumenty są przekonujące — orzekł Melichrone po krótkim namyśle. — To chętnie przyznaję. Są jednak pewne trudności. Choćby ta, że świat zewnętrzny dość rzadko tędy przechodzi. Ty jesteś pierwszym gościem, jakiego miałem od dwóch i ćwierci obrotów Galaktyki.

— Przyznaję, ta praca wymaga cierpliwości — zgodził

51

się Carmody. — Cierpliwość jednak to cecha, którą powinienes w sobie wykształcić. Będzie to o tyle łatwiejsze, że czas jest zmienny. A jeśli chodzi o liczbę tych gości... Przed wszystkim ilość nie wpływa na jakość. Numeracja nie przedstawia żadnej wartości. Liczy się tylko, czy człowiek albo Bóg robi to, co do niego należy. I nie ma znaczenia, czy ta praca wymaga jednego czy też miliona działań.

— Ale przecież będę w tej samej sytuacji co przedtem, jeśli będę miał zadanie do wykonania i nikogo, na kim mógłbym je wykonać.

— Z całą skromnością chciałbym zaznaczyć, że masz mnie — przypomniał mu Carmody. — Przybyłem do ciebie z zewnątrz. Mam problem. Mam nawet kilka problemów. Dla mnie są one nierozwiązalne, a dla ciebie... nie wiem. Ale podejrzewam, że wystawią twoje zdolności na ciężką próbę.

Melichrone zastanawiał się bardzo długo. Carmody'ego zaczął swędzić nos, lecz opanował pragnienie podrapania go. Czekał, a cała planeta czekała wraz z nim, aż Melichrone podejmie decyzję.

Wreszcie Melichrone podniósł swą czarną jak noc głowę.

— Chyba coś w tym jest — oświadczył.

— Ładnie z twojej strony, że tak mówisz — rzekł Carmody.

— Ależ ja naprawdę tak uważam — zapewnił go Melichrone. — Twoje rozwiązanie wydaje się jednocześnie naturalne i eleganckie. A nawet, rozszerzając je nieco, uważam, że to Los rządzący ludźmi, Bogami i planetami musiał wyznaczyć te zdarzenia: że ja, stwórca, zostałem stworzony bez żadnych problemów do rozwiązania, i że ty, stworzony, stałeś się stwórcą problemu, który tylko Bóg może rozwiązać. I jeszcze abyś przeżył połowę życia czekając na mnie, bym rozwiązał twój problem, podczas gdy ja czekałem połowę wieczności, byś przedstawił mi swój problem do rozwiązania!

— Wcale by mnie to nie zdziwiło — zgodził się Carmody. — Czy chciałbyś teraz dowiedzieć się czegoś o moim problemie?

— Już go wydedukowałem — odparł Melichrone. — W istocie nawet, ze względu na swoją wyższą inteligencję, wiem o nim więcej niż ty sam. W uproszczeniu twój problem polega na tym, że chciałbyś wrócić do domu.

— Tak jest.

— Nie, tak nie jest. Nie rzucam słów na wiatr. W uproszczeniu chcesz się dowiedzieć. Gdzie, Kiedy i Która jest twoja planeta. Chcesz także dostać się na nią w takim stanie, w jakim znajdujesz się teraz. Nawet gdyby to było wszystko, to i tak byłoby to wystarczająco skomplikowane.

— A co jeszcze? — zdziwił się Carmody.

— No cóż, jest jeszcze śmierć, która cię ściga.

— Och — powiedział Carmody. Poczul nagłą miękkość w kolanach, więc Melichrone uprzejmie stworzył mu fotel, hawańskie cygare, kieliszek rumu Collinsa, parę futrzanych kapci i bawołą skórę do okrycia nóg.

— Wygodnie? — zapytał.

— Bardzo.

— To dobrze. A teraz uważaj. Wyjaśnię ci twoje położenie krótko, lecz treściwie, używając do tego jedynie cząstki swego intelektu. **Resztę** siebie wykorzystam, aby poszukać możliwego do realizacji rozwiązania. **Będiesz** jednak musiał słuchać uważnie i starać się zrozumieć wszystko od razu, gdyż zostało nam już niewiele czasu.

— Myślałem, że rozciągnąłeś moje dziesięć sekund do dwudziestu pięciu lat — zdziwił się Carmody.

— Rozciągnąłem. Ale czas to złośliwa zmienna, nawet dla mnie. Z twoich dwudziestu pięciu lat minęło już osiemnaście, a reszta upływa z ogromną szybkością. Teraz uważaj! Od tego zależy twoje życie.

— Dobrze. — Carmody wyprostował się i zaciągnął cygarem. — Jestem gotów.

— Pierwsza rzecz, którą musisz zrozumieć — zaczął Melichrone — to natura ścigającej cię nieubłaganej śmierci.

Carmody opanował drzenie i pochylił się do przodu, by lepiej słyszeć.

ROZDZIAŁ IX

— Najbardziej podstawowym faktem we wszechświecie — powiedział Melichrone — jest ten, że gatunki pożerają się nawzajem. Nie brzmi to może zbyt pięknie, ale tak właśnie jest. Jedzenie jest sprawą zasadniczą, a na zdobywaniu żywności opierają się wszystkie inne zjawiska. Z teorii tej wynika Prawo Drapieżnictwa, które można wypowiedzieć w następujący sposób: każdy gatunek, nieważne, jak wysoko czy nisko rozwinięty, żywi się jednym lub więcej gatunkami i jeden lub więcej gatunków żywi się nim. To powszechnie ustala sytuację, która może się pogorszyć lub poprawić, zależnie od rozmaitych okoliczności. Na przykład: żyjący we własnym środowisku gatunek potrafi zwykle ustalić stan Równowagi i w ten sposób przeżywać normalną długość życia niezależnie od drapieżności drapieżników. Równowagę tę wyraża się na ogół w formie równania Zwycięzca-Zwyciężony, czyli Zz. Kiedy Gatunek, lub egzemplarz gatunku, przenosi się w obce, nietypowe dla siebie środowisko, wartości Zz z konieczności ulegają zmianie. Niekiedy następuje chwilowa poprawa w Sytuacji Jedzący-Jedzony ($ZZ = J J + 1$), częściej jednak mamy do czynienia z pogorszeniem ($ZZ = J J - 1$). To właśnie przydarzyło się tobie, Carmody. Opuściłeś swoje normalne środowisko, co oznacza, że opuściłeś typowych drapieżców. Żaden samochód cię tu nie przejedzie, żaden wirus nie wkradnie się do twojego krwioobiegu, żaden policjant nie zastrzeli cię przez pomyłkę. Jesteś odseparowany od niebezpieczeństw Ziemi, a odporny na niebezpieczeństwa innych gatunków Galaktyki. Ta poprawa ($ZZ = J J + 1$) jest jednak, co muszę stwierdzić ze smutkiem, jedynie chwilowa. Żelazne prawo Równowagi zaczęło się już realizować. Nie możesz zrezygnować z łowów i nie możesz uniknąć polowania na ciebie. Drapieżność to czysta Konieczność. Opuszczając Ziemię stałeś się stworzeniem unikalnym, a więc i twój drapieżnik jest wyjątkowy.

— Twój drapieżnik — podjął po chwili milczenia — jest personifikacją i realizacją uniwersalnego prawa. On

może się żywić jedynie i wyłącznie tobą. Ukształtowany jest jako dopełnienie i domknięcie twoich cech charakterystycznych. Nawet bez oglądania go możemy stwierdzić, że jego szczęki są skonstruowane do gryzienia Cannodych,

jego kończyny są uformowane do chwytania i przytrzymywania Cannodych, jego żołądek ma unikalną i niezwykle zdolność do trawienia Cannodych, zaś jego osobowość jest tak pomyślana, by wykorzystywać osobowość carmodyczną. Sytuacja uczyniła cię kimś niezwykle, więc twój drapieźnik też jest niezwykle. To twoja śmierć cię ściga, Carmody, a czyni to z taką samą determinacją, z jaką ty uciekasz. Jesteście ze sobą złączeni. Jeśli cię schwyta, zginiesz. Jeżeli uda ci się uciec do normalnych niebezpieczeństw własnego świata, twój drapieźnik umrze z braku carmodycznego pożywienia. Nie potrafię doradzić ci nic, co pomogłoby ci go uniknąć. Nie mogę przewidzieć, jakich użyje forteli i przebrań, jak nie umiem przewidzieć twoich. Mogę cię jedynie ostrzec, że prawdopodobieństwo zawsze faworyzuje Łowcę, chociaż słyszano już o udanych ucieczkach. Tak to wygląda, Carmody. Zrozumiałeś?

Carmody drgnął jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu.

— Tak — powiedział. — Wprawdzie nie wszystko, o czym mówiłeś, jest dla mnie jasne. Ale rozumiem to, co najważniejsze.

— To dobrze — stwierdził Melichrone. — Bo nie mamy już czasu. Musisz natychmiast opuścić tę planetę. Nawet ja w swoim własnym świecie nie mogę zawiesić działania uniwersalnego Prawa Drapieźnictwa.

— Czy możesz przerzucić mnie z powrotem na Ziemię? — zapytał Carmody.

— Pewnie bym potrafił, gdybym miał na to dość czasu — odparł Melichrone. — Ale gdybym miał dość czasu, potrafiłbym dokonać absolutnie wszystkiego. Sprawa jest trudna, Carmody. Na początek trzeba ustalić zmienne GKK, każdą w zależności od pozostałych. Musiałbym określić dokładnie. Gdzie w czasoprzestrzeni znajduje się twoja planeta. Później musiałbym wykryć, Która z alternaty-

55

wne prawdopodobnych Ziemi jest twoja. A potem musiałbym znaleźć sekwencję czasową, w której się urodziłeś, aby określić Kiedy A jest jeszcze efekt skorujący i czynnik dublujący, a oba trzeba uwzględnić. Gdybym to wszystko zrobił, to przy odrobinie szczęścia mógłbym przerzucić cię w twoją własną Szczegółność (a nie masz pojęcia, jaka to delikatna operacja), nie psując przy tym całej roboty.

— Możesz to dla mnie zrobić?

— Nie. Nie ma już czasu. Mogę za to posłać cię do mojego przyjaciela Maudsieya. On powinien ci pomóc.

— Twojego przyjaciela?

— No, może niezupełnie przyjaciela — wyjaśnił Melichrone. — Raczej znajomego, choć to określenie także może wydawać się przesadne. Widzisz, dość dawno temu prawie opuściłem swoją planetę, by ruszyć na wycieczkę. Gdybym tak zrobił, spotkałbym Maudsieya. Z różnych powodów zrezygnowałem jednak i w rezultacie nigdy się nie widzieliśmy. Lecz obaj wiemy, że gdybym wyruszył w tę podróż, to spotkalibyśmy się, wymienili poglądy i opinie, pokłócili raz czy dwa, opowiedzieli sobie kilka dowcipów i w końcu się polubili.

— To dość słaby związek. Chyba zbyt słaby, by się na nim opierać — stwierdził Carmody. — Czy nie ma kogoś innego, do kogo mógłbyś mnie posłać?

— Boję się, że nie — odparł Melichrone. — Maudsiey jest moim jedynym przyjacielem. Ale wiesz, prawdopodobieństwa określają związki równie dobrze, jak okoliczności realne. Jestem pewien, że on się tobą zaopiekuje.

— No... — zaczął Carmody, gdy zauważył coś wielkiego, ciemnego i groźnego, co zaczęło formować się tuż nad jego lewym ramieniem. Pojął, że wykorzystał cały swój czas.

— Lecę! — zawołał. — I dzięki za wszystko!

— Nie musisz mi dziękować — zapewnił go Melichrone. — Pomaganie przybyszom jest moim obowiązkiem wobec wszechświata. Powodzenia, Carmody!

Wielki, groźny kształt zaczął się kondensować, nim jednak skończył, Carmody znikł.

ROZDZIAŁ X

Carmody stwierdził, że stoi na zielonej łące. Musiało być południe, gdyż lśniące pomarańczowe słońce wisiało wprost nad jego głową. W pobliżu gryzła wysoką trawę stado łaciatych krów. Dalej widać było ciemne pasmo lasu.

Rozejrzał się dookoła. Łąki ciągnęły się we wszystkich kierunkach, zaś las kończył się, przechodząc w gęste krzewy. Usłyszał szczekanie psa. Po przeciwnej stronie wznosiły się góry; widział ich poszarpane ośnieżone szczyty. Nad nimi zwisały szare chmury.

Dostrzegł kątem oka rudy błysk i obejrzał się. To był chyba lis — przyjrzał mu się z zaciekawieniem i zawrócił w stronę lasu.

— Jak na Ziemi — mruknął Carmody i przypomniał sobie Nagrodę. Ostatnio była pogrążonym w hibernacji zielonym wężem. Pomacał szyję, lecz go tam nie znalazł.

— Tu jestem — powiedziała Nagroda. Carmody rozejrzał się i zauważył nieduży miedziany kociołek.

— **Czy** to ty? — zapytał, podnosząc go.

— Pewnie, że ja — odparła Nagroda. — Czy nawet własnej Nagrody nie potrafisz rozpoznać?

— Wiesz... mocno się zmieniłaś.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Lecz moja istota, moje prawdziwe ja nigdy się nie zmienia. Co się stało?

Carmody właśnie zajrzał do kociołka i niewiele brakowało, by go upuścił. Wewnątrz zobaczył bowiem obdarte ze skóry i na wpół zjedzone ciało jakiegoś małego zwierzątka, być może kodaka.

— **Co** masz w środku? — zapytał.

— To mój lunch, jeżeli już musisz wiedzieć — odparła Nagroda. — Chciałam coś przegryźć w czasie drogi.

— **O!**

— Nawet Nagrody muszą czasami coś jeść — poinformowała Nagroda tonem, w którym przebijał sarkazm. — Chcę przy tym zauważyć, że potrzebujemy także wypoczynku, lekkiej gimnastyki, kontaktów z płcią przeciwną, od

57

czasu do czasu lekkiego odurzenia i z rzadka oczyszczenia jelit. Odkąd zostałam ci wręczona, nie zapewniłeś mi żadnej z tych rzeczy.

— No wiesz, sam też z nich nie korzystam — odparł Carmody.

— A naprawdę są ci potrzebne? — zdumiała się Nagroda. — No tak, oczywiście, przypuszczam, że są. To dziwne, ale chyba pomyślałam o tobie jako o naturalnie żywiołowej postaci bez żadnych biologicznych potrzeb.

— Dokładnie to samo myślałam o tobie! — zawołał Carmody.

— No cóż, to chyba nieuniknione — stwierdziła Nagroda. — Mamy skłonność, by uważać obcych za... litych i jakby pozbawionych wnętrzości. I rzeczywiście, niektórzy tacy są.

— Zadbam o twoje potrzeby — obiecał Carmody, czując nagły przypływ uczucia dla swej Nagrody. — Niech tylko wyjdę z tej piekielnej sytuacji.

— Naturalnie, staruszkule. Wybacz moje rozgoryczenie. Pozwolisz, że skończę lunch.

— Jasne, nie przeszkadzaj sobie — rzekł Carmody. Ciekaw był, jak też metalowy kociołek zdoła zjeść to zwierzątko, lecz; gdy już do tego przyszło, delikatność nie pozwoliła mu zajrzeć.

— Tak, to było dobre — westchnęła Nagroda. — Gdybyś miał ochotę, to zostawiłam ci kawałek.

— Na razie nie jestem głodny — podziękował Carmody. — A co takiego jadłaś?

— Nazywamy je orithi — wyjaśniła Nagroda. — Możesz o nich myśleć jako o czymś w rodzaju gigantycznego grzyba. Są znakomite na surowo albo lekko pod-duszone we własnym sosie. Te białe i nakrapiane są lepsze od zielonych.

— Będę pamiętał, jeśli kiedyś na nie trafię — obiecał Carmody. — Jak myślisz, czy Ziemianie mogą je jeść?

— Chyba tak. A przy okazji, jeżeli tylko będziesz miał możliwość, to przed zjedzeniem koniecznie musisz mu kazać, żeby zadeklamował ci wiersz.

58

— Dlaczego?

— Bo o r i t h i są znakomitymi poetami. Carmody z trudem przełknął ślinę. Tak to jest z t i w i ni egzotycznymi formami życia: kiedy już zaczyna ci się wydawać, że coś rozumiesz, stwierdzasz, że nie rozumiesz zupełnie nic. I odwrotnie: kiedy jesteś już całkiem zagubiony, nagle wyprowadzają cię z równowagi jakimś absolutnie zrozumiałym działaniem. Obcy właśnie dlatego są tak dokładnie obcy — zdecydował Carmody — że nie są zupełnie obcy. Z początku wydaje się to zabawne, ale w końcu zaczyna denerwować.

— Ep — powiedziała Nagroda.

— Słucham?

— Odbiło mi się — wyjaśniła. — Przepraszam. A nawiasem mówiąc, musisz przyznać, że całkiem sprytnie sobie z tym wszystkim poradziłam.

— Z tym wszystkim czym?

— Z tą rozmową z Melichrone, oczywiście.

— Ty sobie poradziłaś? Do diabła, przecież ty hibernowałaś. To ja się z nim dogadałem.

— Nie chcę się z tobą sprzeczać, ale obawiam się, że nie masz racji — oświadczyła Nagroda. — Pogrążyłam się w hibernacji wyłącznie dlatego, by użyć wszystkich swych sił do rozwiązania problemu Melichrone'a

— Oszalałaś! Całkiem straciłaś zmysły! — wrzasnęła Carmody.

— Mówię jedynie prawdę — oznajmiła Nagroda — Rozważ tylko swój długi i poparty rozsądnymi argumentami

wywód, w którym posługując się nieodpartą logiką ustaliłeś miejsce i funkcję Melichrone'a w schemacie wszechświata.

— No i co z tego?

— Czy kiedykolwiek w życiu w ten sposób rozumowałeś? Jesteś może filozofem albo logikiem?

— Zrobiłem dyplom z filozofii w college'u — poinformował Carmody.

— Niesamowite — parsknęła Nagroda. — Nie, Carmody, po prostu nie masz wystarczających podstaw ani

59

inteligencji dla przeprowadzenia takiego wywodu. Musisz się z tym pogodzić: to zupełnie nie było w twoim typie.

— Było w moim typie! Jestem absolutnie zdolny do niezwykłej logiki!

— „Niezwykła” to właściwe określenie.

— Ale ja to zrobiłem! To ja myślałem te myśli!

— Jak sobie życzysz — rzekła Nagroda. — Nie wiedziałam, że to dla ciebie takie ważne. Nie chciałam cię irytować. Powiedz, zdarzały ci się ostatnio chwilowe utraty przytomności albo niewytłumaczalne wybuchy śmiechu lub płaczu?

— Nie, nigdy — odparł Carmody biorąc się w garść. — A czy ty nie miewasz powtarzających się snów o lataniu albo chwilowych wrażeń własnej świętości?

— Z pewnością nie! — odparła gniewnie Nagroda.

— Jesteś pewna?

— Pewnie, że jestem pewna.

— Więc nie ma potrzeby, by dalej omawiać tę sprawę — orzekł Carmody przepełniony absurdalnym uczuciem tryumfu. — Chciałbym za to dowiedzieć się czegoś innego.

— **O co** chodzi? — spytała ostrożnie Nagroda.

— Co to za kalectwo Melichrone'a, o którym miałem nie wspominać? I na czym polega jego jedyne ograniczenie?

— Zdawało mi się, że obie te rzeczy są aż nadto oczywiste.

— Nie **dla mnie**.

— Kilka godzin namysłu natychmiast ci je uświadomi.

— Do diabła z tym! — zdenerwował się Carmody. — Powiedz mi po prostu.

— Proszę cię uprzejmie — zgodziła się Nagroda. — Kalectwo Melichrone'a polega na tym, że jest kulawy. Jest to defekt wrodzony; istnieje od samych jego początków. W analogicznej formie przetrwał wszelkie jego przemiany.

— A jedyne ograniczenie?

— Nie potrafi dostrzec własnej ułomności. Jako Bogu brakuje mu wiedzy porównawczej. Tworzy na własny obraz i podobieństwo, co w przypadku Melichrone'a oznacza, że wszystkie jego kreacje są kulawe. A kontakty

60

ze światem zewnętrznym ma tak nieliczne, że uważa on za normę własną ułomność, zaś nie kulejące stworzenia za dziwnie okaleczone. Wiedza porównawcza zresztą to jeden z niedostatków boskości. Tak więc podstawowa definicja Boga wyrażona jest w terminach jego samowystarczalności, ta zaś jest zawsze wewnętrzna, niezależnie od skali. Absolutna kontrola nad możliwym do kontrolowania i pełne poznanie poznawalnego to pierwsze kroki w kierunku zostania Bogiem. Pamiętaj o tym na wypadek, gdybyś kiedyś sam chciał się zabrać za tę robotę.

— Ja? Ja miałbym zostać Bogiem?

— A dlaczego nie? — zdziwiła się Nagroda. — Zajęcie jak każde inne, tyle że ma dumną nazwę. Niezbyt to łatwe, przyznaję, ale i nie trudniejsze niż zostanie wybitnym poetą albo inżynierem.

— Chyba oszalałaś. — Carmody poczuł przypawiający o drzenie atak religijnego strachu, który tak mocno nęka ateistów.

— Wcale nie. Jestem po prostu lepiej od ciebie zorientowana. A teraz lepiej się przygotuj.

Carmody rozejrzał się pospiesznie i dostrzegł trzy niewielkie postacie wolno idące przez łąkę. **Za** nimi, w nakazanej szacunkiem odległości, podążało dziesięć innych.

— Ten w środku to Maudsiej — poinformowała Nagroda. — Jest zawsze bardzo zajęty, ale znajdzie może wolną chwilę, żeby zamienić z tobą kilka słów.

— Czy on też ma jakieś ograniczenia albo defekty? — zapytał sarkastycznie Carmody.

— Jeśli nawet, to są one bez znaczenia — odparła Nagroda. — Rozmowy z Maudsiejem przebiegają na innych warunkach i łączą się z zupełnie innymi problemami.
— Wygląda jak człowiek — zauważył Carmody, gdy cała grupa podeszła bliżej.
— Rzeczywiście, tak jest ukształtowany — przyznała Nagroda. — Lecz oczywiście kształt humanoidalny jest w tej części Galaktyki dość powszechny.
— Na jakich warunkach mam z nim dyskutować?

61

— Tego naprawdę nie umiem ci powiedzieć. Maudsiej jest mi zbyt obcy, bym mogła go zrozumieć albo przewidzieć jego zachowanie. Mogę poradzić ci tylko tyle: koniecznie zwróć na siebie jego uwagę i zrób na nim wrażenie swoim człowieczeństwem.

— Oczywiście.

— To nie takie proste, jak mogłoby się wydawać. Maudsiej jest istotą niezwykle zapracowaną i ma wiele spraw na głowie. Widzisz, on jest bardzo utalentowanym i bardzo oddanym swej pracy konstruktorem. Ale bywa roztargniony; zwłaszcza gdy obmyśla nową technologię.

— No cóż, to nie brzmi zbyt groźnie.

— I nie jest groźne — dla Maudsieya. Można by to uznać za zabawną słabostkę, gdyby nie fakt, że w roztargnieniu uznaje zwykle wszystko za surowiec do swoich procesów. Mój znajomy, Dewer Harding, zjawił się kiedyś u niego z zaproszeniem na przyjęcie. Biedny **Dewer** nie zdołał zwrócić na siebie jego uwagi.

— I co się stało?

— Maudsiej wmontował go w jedno **ze** swoich urządzeń. Zupełnie bez złej woli, naturalnie, niemniej biedaczy-sko Dewer jest teraz trzema tłokami i wałem korbowym silnika tłokowego. W dni robocze można go oglądać w maudsieyowskim Muzeum Historycznych Zastosowań Energii.

— To naprawdę wstrząsające — orzekł Carmody. — **Czy** nie można jakoś temu zaradzić?

— Nikt nie ma odwagi powiedzieć o tym Maud-sleyowi — wyjaśniła Nagroda. — On nie lubi przyznawać się do błędów i nie znosi, kiedy mu się zwraca na nie uwagę.

Nagrada musiała zauważyć wyraz twarzy Carmody'ego, gdyż dodała pośpiesznie:

— Ale nie pozwól, by cię to deprymowało! Maudsiej wcale nie jest złośliwy i naprawdę ma dobre serce. Lubi pochwały, tak jak my wszyscy, ale nie znosi pochlebstw. Po prostu przemów do niego i przedstaw się, wyraż swój podziw, ale unikaj przesady, mów, co ci się nie podoba, ale nie przesadzaj z krytyką. Krótko mówiąc, zalecam umiar-

62

kowanie, z wyjątkiem sytuacji, gdy należy zająć bardziej zdecydowane stanowisko.

Carmody chciał powiedzieć, że taka rada jest równie dobra, co brak jakiegokolwiek rady, a nawet gorsza, bo tylko się przez nią zdenerwował, ale już nie zdążył. Maud-sley był przy nim, wysoki i siwowłosy, w spodniach i skórzanej kurtce, a obok niego dwóch ubranych w garnitury mężczyzn, z którymi spierał się gwałtownie.

— Dzień dobry panu — powiedział stanowczym głosem Carmody. Zrobił krok naprzód i zaraz się cofnął, by zagadana trójka nie wpadła na niego.

— Mamy początek — szepnęła Nagroda.

— Zamknij się — odszepnął Carmody i z zaciętym wyrazem twarzy ruszył w ślad za oddalającą się grupą.

ROZDZIAŁ XI

— A więc, Orin, to jest to? — spytał Maudsiej.

— Tak, proszę pana, to jest właśnie to. — Orin, mężczyzna idący po lewej stronie, uśmiechnął się z dumą. — Co pan o tym sądzi?

Maudsiej rozejrzał się powoli, oceniając łąki, góry, słońce, rzekę, las. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— A co ty o tym sądzisz, Brookside?

— No cóż, proszę pana — odrzekł lekko drżącym głosem Brookside. — Wydaje mi się, że zrobiliśmy z Orinem dobrą robotę. Naprawdę dobrą, jeżeli wziąć pod uwagę, że to nasz pierwszy samodzielny projekt.

— A ty się z tym zgadzasz, Orin? — zapytał Maudsiey.

— Oczywiście, proszę pana — potwierdził Orin. Maudsiey pochylił się, zerwał źdźbło trawy, powąchał je i rzucił. Kopnął nogą ziemię, a potem przez chwilę wpatrywał się w płonące słońce.

— Jestem zdumiony. Naprawdę zdumiony — powiedział z kamiennym spokojem. — Lecz w sposób zdecydowanie nieprzyjemny. Poprosiłem was, żebyście zbudowali

63

świat dla jednego z moich klientów, a wy przychodzicie z t y m? I wy uważacie się za konstruktorów?

Dwaj asystenci milczeli. Zesztywnieli tylko jak chłopcy oczekujący lania.

— Konstruktorzy! — W tym jednym słowie Maudsiey zdołał zawrzeć niemal pięćdziesiąt stopofuntów pogardy. — „Twórczy, lecz praktyczni specjaliści potrafiący zbudować planetę, gdzie i kiedy trzeba”. Czy któryś z was rozpoznaje te słowa?

— Pochodzą z naszej ulotki reklamowej — powiedział Orin.

— Zgadza się — przyznał Maudsiey. — A więc czy uważacie to za właściwy przykład „twórczej, lecz praktycznej pracy konstruktora”?

— Tak, proszę pana, ja uważam! — wyrzucił z siebie Brookside po chwili milczenia. — Sprawdziliśmy specyfikację bardzo dokładnie. Zamówiono planetę typu 34Bc4 z pewnymi przeróbkami. I taką właśnie zbudowaliśmy. Naturalnie, widzi pan tylko jeden z jej zakątków. Niemniej jednak...

— Niemniej wystarczy, bym mógł stwierdzić, czegoście dokonali, i odpowiednio to ocenić — przerwał mu Maudsiey. — Orin! Jakiej użyliście jednostki grzewczej?

— Słońca typu 05, proszę pana. Spełniało wszystkie warunki ciepłe.

— Ja myślę, że spełniało. Ale zechciejcie pamiętać, że to świat z ograniczonym budżetem. Jeśli nie obniżymy kosztów, to nie będzie zysku. A najwyższą pozycją w kosztorysie jest jednostka grzewcza.

— Rozumiemy to, proszę pana — wtrącił Brookside. — Wcale nas nie zadowalało użycie słońca typu 05 do jednoplanetamego układu. Ale wymaganie dotyczące emisji ciepła i promieniowania...

— Czy niczego się ode mnie nie nauczyliście? — krzyknął Maudsiey. — Gwiazda tego typu jest całkowicie zbędna. Hej, wy tam... — Skinął na robotników. — Ściągnijcie ją.

Robotnicy podbiegli ze składaną drabiną. Jeden ją trzymał, a drugi rozkładał, dziesięć razy, sto razy, milion

64

razy. Dwaj inni wbiegali po niej tak szybko, jak szybko wznosiła się do góry.

— Ostrożnie z nią! — zawołał za nimi Maudsiey. — I nie zapomnijcie o rękawicach! Jest gorąca!

Robotnicy na szczycie drabiny odczepili gwiazdę, poskładali ją i włożyli do wyściełanej skrzyni z napisem: „GWIAZDA — PRZENOSIĆ OSTROŻNIE”.

Gdy wieko opadło, wszędzie zrobiło się czarno.

— **Czy** nikt tu nie ma odrobiny rozsądku? — zapytał Maudsiey. — Niech to licho! Niech się stanie światło! I — zgodnie z poleceniem — stało się światło.

— No dobra — powiedział Maudsiey. — To 05 wraca do magazynu. Do takiego zlecenia można użyć gwiazdy typu G13.

— Ależ proszę pana — zaprotestował nerwowo Orin. — Gwiazda tego typu nie jest dość gorąca.

— Wiem o tym — odparł Maudsiey. — I to właśnie jest moment, kiedy trzeba twórczo pomyśleć. Będzie dość gorąca, jeśli przysuniemy ją bliżej.

— Tak, proszę pana, będzie — zgodził się Brookside. — Ale będzie też emitować promienie PR bez dostatecznej przestrzeni, by się mogły bez szkody rozproszyć. A to może zabić całą rasę, która ma mieszkać na tej planecie.

— Próbujecie we mnie wmówić — zapytał Maudsiey bardzo powoli i wyraźnie — że gwiazdy typu G13 są niebezpieczne?

— No nie, niezupełnie o to nam chodziło — zapewnił Orin. — Po prostu mogą być niebezpieczne, jak zresztą wszystko we wszechświecie, jeśli nie podejmiemy się właściwych środków ostrożności.

— To brzmi rozsądniej — zgodził się Maudsiey.

— Właściwe środki ostrożności — podjął Brookside — w tym przypadku oznaczają noszenie ołowianych skafandrów ochronnych, ważących około pięćdziesięciu funtów każdy. To jednak jest niepraktyczne, jako że przeciętny osobnik tej rasy waży zaledwie osiem funtów.

— To już ich sprawa — oświadczył Maudsiey. — Przecież nie możemy im dyktować, jak mają żyć. Czy to ja mam

ponosić odpowiedzialność za każdym razem, kiedy któryś z nich rozwali sobie palec o kamień, który położyłem na tej planecie? Zresztą wcale nie muszą nosić ołowianych skafandrów. Mogą nabyć jedno z moich dodatkowych urządzeń, ekran słoneczny, który wyłapie promienie PR. Obaj asystenci uśmiechnęli się nerwowo.

— Wydaje mi się, proszę pana, że to istoty niezbyt bogate — odezwał się nieśmiało Orin. — Boję się, że nie będą mogły sobie pozwolić na ekran słoneczny.

— Cóż, jeśli nie teraz, to może później — orzekł Maudsiej. — Zresztą promieniowanie PR nie uśmierca natychmiast. Nawet z nim mogą osiągnąć średnią długość życia około 9,3 roku, a tyle każdemu powinno wystarczyć.

— Oczywiście, proszę pana — zgodzili się bez entuzjazmu dwaj młodszy konstruktorzy.

— Jedziemy dalej — stwierdził Maudsiej. — Jak wysokie są te góry?

— Średnio sześć tysięcy stóp nad poziom morza.

— Co najmniej o trzy tysiące za wysokie — ocenił Maudsiej. — Czy wam się wydaje, że góry rosną na drzewach? Przyciąć je, a to, co da się odzyskać, odesłać do magazynu.

Brookside wyjął notes i zapisał, co trzeba. Maudsiej wciąż chodził w kółko, patrzył i marszczył czoło.

— Jak długo mają przetrwać te drzewa?

— Osiemset lat, proszę pana. To nowy, udoskonalony model jabłkodębu. Dają owoce, cień, orzechy, napoje chłodzące, trzy rodzaje użytecznych włókien, są świetnym materiałem budowlanym, utrzymują glebę i...

— Chcicie, żebym zbankrutował! — ryknął Maudsiej. — Dwieście lat dla drzewa zupełnie wystarczy! Odciągnąć większą część ich *elan vital* i odprowadzić do akumulatora siły życiowej.

— Nie będą wtedy spełniać wszystkich planowanych funkcji — zauważył Orin.

— To skreślić funkcje! Cień i orzechy to i tak dużo! Nie będziemy robić z tych cholernych drzew skrzyni pełnej skarbów. A teraz powiedzcie, kto poustawiał tam te krowy?

66

— Ja, proszę pana — przyznał się Brookside. — Myślałem, że dzięki nim to miejsce będzie wyglądało jakoś tak... pociągająco.

— Ty offermo — orzekł Maudsiej. — **Czas**, by coś uczynić pociągającym, to czas przed sprzedażą, nie po niej. Sprzedaliśmy tę planetę bez wyposażenia. Wsadzić te krowy do zbiornika protoplazmy.

— Oczywiście, proszę pana — powiedział Orin. — Bardzo przepraszamy. Czy jeszcze coś?

— Jeszcze jakieś dziesięć tysięcy spraw — odparł Maudsiej. — Ale mam nadzieję, że sami sobie poradzicie. Na przykład to. — Wskazał na Carmody'ego. — Co to jest? Posąg czy co? Czy to może zaśpiewać pieśń albo powiedzieć wiersz na powitanie nowej rasy.

— Nie jestem częścią tego świata — wyjaśnił Carmo-dy. — Przysłał mnie pański przyjaciel imieniem Melichrone. Próbuję dostać się do domu na mojej własnej planecie...

Maudsiej najwyraźniej nie słyszał, ponieważ mówił przez cały czas, gdy Carmody próbował mu o sobie opowiedzieć.

— Cokolwiek to jest, nie ma tego w specyfikacji. No więc wsadźcie go razem z krowami do zbiornika protoplazmy.

— Hej! — wrzasnął Carmody, gdy robotnicy chwycili go pod pachy. — Poczekajcie chwilę! — darł się. — Nie jestem z tej planety! Melichrone mnie przysłał! Czekajcie, zatrzymajcie się, wysłuchajcie mnie!

— Naprawdę powinniście się wstydzić. — Maudsiej nie zwracał uwagi na wrzaski Carmody'ego. — Co to właściwie miało być? Jeden z tych twoich pomysłów na temat dekoracji wnętrza, co, Orin?

— Och nie — zaprzeczył Orin. — Ja go tu nie ustawiałem.

— Więc ty, Brookside?

— W życiu go nie widziałem, szefie.

— Hmm — zastanowił się Maudsiej. — Obaj jesteście durnie, ale nigdy nie byliście kłamcami. Hej! — krzyknął na robotników. — Dawajcie go tu z powrotem!

67

— Już dobrze, uspokój się — zwrócił się do Carmo-dy'ego, który nie mógł powstrzymać drżenia. — Weź się w garść. Nie mogę tu czekać, aż ci przejdzie atak hysterii. Już lepiej? Więc może zechcesz wyjaśnić, co robisz na moim terenie i dlaczego nie powinienem cię przerabiać na protoplazmę?

ROZDZIAŁ XII

— Rozumiem — powiedział Maudsiej, gdy Carmody zakończył swoją opowieść. — To ciekawa historia, choć jestem przekonany, że trochę ją udramatyzowałaś. Jednak jesteś tutaj i szukasz planety zwanej... Ziemią?

— Tak, proszę pana — potwierdził Carmody.

— Ziemia... — Maudsiej podrapał się po głowie. — Masz niesamowite szczęście: wydaje mi się, że pamiętam tę planetę.

— Naprawdę, panie Maudsiej?

— Tak, jestem prawie pewny. To taka nieduża zielona planeta utrzymująca monomorficzną rasę humanoidów podobnych do ciebie.

— Zgadza się co do joty!

— Mam niezłą pamięć do takich rzeczy — wyjaśnił Maudsiej. — A w tym szczególnym przypadku tak się złożyło, że to właśnie ja zbudowałem Ziemię.

— Naprawdę? — zapytał Carmody.

— Aha. Pamiętam dokładnie, ponieważ w trakcie budowy wynalazłem także naukę. Być może zainteresuje cię ta historia. A was może czegoś nauczy — dodał zwracając się do swych asystentów.

Nikt nie miał zamiaru odmawiać mu prawa do opowieści. Carmody i obaj asystenci przybrali pełne skupienia pozy, a Maudsiej zaczął

OPOWIEŚĆ O STWORZENIU ZIEMI

Byłem wtedy dość skromnym przedsiębiorcą; to tu, to tam zawiesiłem planetę, czasem dostałem zlecenie na gwiazdny karł. Pracę zawsze trudno było znaleźć,

68

a klienci byli nieodmiennie kapryśni, szukający dziury w całym i nieskorzy do płacenia. W tamtych czasach trudno było ich zadowolić. Kłócili się o każdy drobiazg. Zmienić to, zmienić tamto, dlaczego woda musi płynąć w dół, grawitacja jest za silna, gorące powietrze unosi się, a powinno opadać. I tak dalej.

W owych dniach byłem jeszcze naiwny. Wyjaśniałem estetyczne i praktyczne przesłanki wszystkiego, co robiłem, i wkrótce tłumaczenie zajmowało mi więcej czasu niż praca. **Za** dużo było tego gadania i wiedziałem, że muszę coś z tym zrobić. Tyle że nie miałem pojęcia co.

I wtedy, tuż przed projektem Ziemi, w moim umyśle zaczęły się kształtować zarzysy zupełnie nowego podejścia do klientów. Powiedziałem sobie: „Forma wynika z funkcji”. Brzmiało niezłe. Ale potem zapytałem siebie: „A dlaczego forma wynika z funkcji?”. Powód, który sobie podałem, był taki: „Forma wynika z funkcji, ponieważ jest to nienaruszalne prawo natury i jeden z podstawowych aksjomatów nauk stosowanych”. To zdanie też mi się podobało, chociaż nie miało za wiele sensu.

Sens jednak nie miał znaczenia. Liczyło się to, że dokonałem nowego odkrycia. Nieświadomie wkroczyłem w arkana sztuki reklamy i handlu i wymyśliłem numer dający niezwykle możliwości, to znaczy doktrynę deter-minizmu naukowego.

Ziemia była pierwszą próbą i właśnie dlatego nigdy jej nie zapomnę.

Przyszedł do mnie wysoki brodaty starzec o przenikliwym wzroku i zamówił planetę (tak zaczęła się historia twojej Ziemi, Carmody). "No więc uwinąłem się z robotą dość szybko, w sześć dni, o ile pamiętam, i wydawało mi się, że to koniec całej sprawy. To była jedna z tych planet o niskim budżecie, więc ściałem parę punktów tu czy tam. Ale gdybyś usłyszał narzekania właściciela, mógłbyś pomyśleć, że wykradłem mu oczy z głowy.

— Dlaczego jest tyle cyklonów? — zapytał.

— To element systemu cyrkulacji atmosfery — wyjaśniłem (tak naprawdę to nie miałem wtedy zbyt wiele czasu

69

i zapomniałem wbudować atmosferyczny zawór przeciążeniowy).

— Trzy czwarte powierzchni to woda — poskarżył się. — Przecież wyraźnie zazaczyłem, że stosunek powierzchni łądu do wody ma być jak cztery do jednego.

— Cóż, nie mogliśmy zrobić tego w ten sposób — powiedziałem (zgubiłem gdzieś te jego śmieszne specyfikacje;

nigdy nie mogę się połapać w tych absurdalnych jedno-planetarnych projektach).

— A te trochę łądu, które mi pan dał, pokryte jest pustyniami, bagnami, dzunglami i górami.

— Są bardzo sceniczne — zauważyłem.

— Nie obchodzi mnie sceniczność! — wrzasnął ten typ. — Och, pewnie, jeden ocean, z tuzin jezior, parę rzek, jeden czy dwa łańcuchy górskie — to byłoby znakomite. Zdobią okolicę i dają mieszkańcom dobre samopoczucie. Ale to, co pan mi tu daje, to c h ł a m!

— Są po temu powody — odparłem (prawdę mówiąc, żeby robota się opłacała, musiałem użyć odnawianych gór, kupy rzek i oceanów jako wypełniacza, a także kilku pustyń, które kupiłem tanio od Ouriego, Zbieracza Odpadków Planetarnych; ale jego nie miałem zamiaru o tym informować).

— Powody! — krzyczał. — Co ja powiem mojemu ludowi? Chcę na tej planecie umieścić całą rasę, a może nawet dwie lub trzy. Będą to ludzie, stworzeni na mój obraz i podobieństwo; a ludzie notorycznie grymaszą, tak jak ja. I co powinienem im powiedzieć?

No cóż, wiedziałem, co powinien im powiedzieć, ale nie chciałem go denerwować. Udałem więc, że się zastanawiam. I co dziwne, naprawdę się zastanawiałem. I wymyśliłem sztuczkę nad sztuczki.

— Powie im pan czystą naukową prawdę — powiedziałem. — Powie pan, że — naukowo — wszystko, co jest, musi być.

— Co? — nie zrozumiał.

— To determinizm — wyjaśniłem. Stworzyłem tę nazwę pod wpływem impulsu. — To całkiem proste, choć może

70

niewiele ezoteryczne. Zaczniemy tak: forma wynika z funkcji, a pańska planeta jest dokładnie taka, jaka powinna być, a to z prostego powodu bycia w ogóle. Dalej: nauka jest niezmienna, zatem jeśli coś nie jest niezmiennie, to nie jest nauką. I w końcu: wszystko podlega określonym prawom. Nie zawsze można się domyślić, jakie są te prawa, można jednak być pewnym ich istnienia. Wydaje się więc logiczne, że nie powinno się pytać: dlaczego to, a nie tamto? Właściwe pytanie brzmi: jak to działa?

Zadał mi jeszcze parę trudnych pytań, bo był niegłupim starszkiem. Tyle, że wcale się nie znał na inżynierii. Był specjalistą od etyki, moralności, religii i podobnych duchowych spraw. Oczywiście więc nie potrafił wysunąć żadnych rozsądnych zarzutów. Był jednym z facetów, którzy uwielbiają abstrakcje, więc zaczął sobie powtarzać:

— „To, co jest, jest tym, co być musi”... hmm... niezwykle intrygująca teza, nie pozbawiona pewnej patyny stoicyzmu. Niektóre wnioski wykorzystam w lekcjach, których udzielę memu ludowi... Ale niech mi pan wyjaśni: jak można pogodzić tę nieokreśloną nieuchronność nauki z wolną wolą, którą dla mego ludu zaplanowałem?

No, tu prawie mnie dostał. Uśmiechnąłem się i odchrząknąłem, by zyskać trochę czasu do namysłu.

— Odpowiedź jest oczywista — powiedziałem, co zawsze jest dobrą odpowiedzią, przynajmniej do czasu.

— Też tak sądzę — zgodził się ze mną. — Ale ja jej nie dostrzegam.

— Proszę pomyśleć. Ta wolna wola, którą chce im pan dać, czy także nie jest w pewien sposób nieuchronna?

— Można ją za taką uznać. Różnica jednak...

— A poza tym — wtrąciłem pospiesznie — odkąd to nieuchronność nie da się pogodzić z wolną wolą?

— Wydają się nie do pogodzenia, to pewne — odparł.

— Tylko dlatego, że nie rozumie pan nauki — stwierdziłem, powtarzając ten stary trick przed samym jego haczykowatym nosem. — Drogi panie, jednym z podstawowych praw nauki jest to, że przypadek we wszystkim

71

odgrywa swoją rolę. A przypadek, o czym pan z pewnością wie, jest matematycznym odpowiednikiem wolnej woli.

— Przecież w tym, co pan mówi, tkwi sprzeczność — zaoponował.

— Tak właśnie powinno być — odparłem. — Sprzeczność to jeszcze jedno z podstawowych praw wszechświata. Sprzeczności generują konflikty, bez których wszystko osiągnęłoby etap maksymalnej entropii. Nie byłoby żadnej planety ani żadnego wszechświata, gdyby rzeczy nie istniały w pozornie niewyjaśnialnym stanie sprzeczności.

— Pozornie? — zapytał, szybki jak błysk.

— Jasne jak deszcz — zapewniłem go. — Sprzeczność, którą chwilowo możemy zdefiniować jako istnienie par rzeczywistych przeciwieństw, nie zamyka jeszcze tematu. Weźmy dla przykładu wyizolowaną pojedynczą skłonność. Co się stanie, jeśli wzmocnimy ją do granic możliwości?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — oznajmił starszerek. — Brak konkretyzacji przy tego typu dyskusjach...

— To się stanie — oświadczyłem — że skłonność przerodzi się w swoje przeciwieństwo.

— Naprawdę? — zdziwił się lekko wstrząśnięty. Te religijne typy są naprawdę zajmujące, kiedy biorą się za naukę.

— Naprawdę — zapewniłem. — Mam na to dowody w swoim laboratorium, lecz ich demonstracja byłaby nieco nużąca...

— Nie, nie, wierzę panu na słowo — powiedział staruszek. — Zawarliśmy przecież Przymierze.

Zawsze używał tego słowa zamiast określenia „kontrakt”. Znaczy to samo, ale lepiej brzmi.

— Pary przeciwieństw — mrucał. — Determinizm. **Rzeczy** zmieniające się w swoje przeciwieństwa... Boję się, że to wszystko jest trochę zawile.

— A przy tym estetyczne — powiedziałem. — Ale nie dokończyłem jeszcze o transformacji ekstremów.

— Niech pan uprzejmie kontynuuje — poprosił.

— Chętnie. Mamy więc entropię, co oznacza, że wszystkie rzeczy trwają w ruchu, póki nie ma oddziaływań

72

zewnątrznych (czasem nawet — mówię to z doświadczenia — jeśli są takie oddziaływania). Tak więc istnieje entropia pędząca rzeczy w stronę ich przeciwieństw. A jeśli cokolwiek porusza się w stronę swego przeciwieństwa, to wszystko porusza się w stronę swego przeciwieństwa, bowiem nauka jest spójna. Łapie pan? Mamy więc wszystkie te przeciwieństwa przekształcające się po wariacku i stające się swoimi przeciwieństwami. Na wyższym poziomie organizacji istnieją grupy przeciwieństw robiące to samo. A potem na jeszcze wyższym i jeszcze... Jak dotąd jasne?

— Chyba tak — powiedział.

— Świetnie. Pojawia się więc naturalnie pytanie, czy to już wszystko? To znaczy, czy te przeciwieństwa wywracające się środkiem na wierzch, a potem wierzchem do środka — to już cała rozgrywka? I piękne jest to, że wcale nie! Nie, drogi panie. Te przeciwieństwa fikające w kółko jak tresowane foki to zaledwie jeden z aspektów tego, co naprawdę zachodzi. Ponieważ... — tu przerwałem na chwilę, by dokończyć bardzo poważnym tonem — ...ponieważ istnieje mądrość, która potrafi spojrzeć przez ten zgiełk i zamieszanie świata zjawisk. Owa mądrość, mój panie, spogląda ponad iluzorycznymi wartościami *rzeczy* realnych i poza nimi dostrzega głębsze mechanizmy wszechświata, działające w wielkiej i wspaniałej harmonii.

— Jak coś może być jednocześnie iluzoryczne i realne? — zapytał, szybki jak bicz.

— Nie moja to sprawa znać takie odpowiedzi — odparłem. — Ja, skromny pracownik nauki, widzę, co widzę, i zgodnie z tym postępuję. Być może jednak istnieją po temu powody natury etycznej.

Gość zastanawiał się chwilę i widziałem, że mocno bije się z myślami. Potrafił wykryć błąd logiczny równie szybko, jak ktokolwiek inny, a moje rozumowanie było pełne błędów. Niemniej fascynowały go sprzeczności, jak wszystkich jajogłowych. Korciło go, by użyć ich w swoim systemie. A wszystkie twierdzenia, jakie mu przedstawiłem... no cóż, zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że sprawy nie mogą być aż tak zawile, lecz intelekt sugerował, że istotnie takie

73

się wydają, lecz może gdzieś w głębi istnieje jakaś ładna jednolita zasada, która to wszystko tłumaczy. A jeśli już nie jednolita zasada, to chociaż dobry, solidny moral. Wreszcie złapałem go na haczyk używając słowa „etyka”. A to dlatego, że starszy pan był istnym demonem etyki, był wręcz przesycony etyką. Bez przesady można by go nazwać Panem Etyką. A ja przypadkowo podsunąłem mu ideę, że cały ten cholerny wszechświat jest szeregiem nakazów i sprzeczności, praw i niesprawiedliwości prowadzących do subtelnego i wyrafinowanego etycznego porządku.

— To głębsze niż z początku sądziłem — stwierdził po chwili. — Zamierzałem mój lud wyuczyć jedynie etyki, skierować jego uwagę ku imperatywnym problemom moralnym, na przykład, jak i dlaczego powinien żyć człowiek, a nie z czego jest zbudowana materia ożywiona. Chciałem, by byli badaczami sięgającymi ku głębiom radości, lęku, pobożności, nadziei i rozpacz, a nie naukowcami obserwującymi gwiazdy i krople deszczu, by formułować wielkie i niepraktyczne teorie wyjaśniające ich odkrycia. Zdawałem sobie sprawę z istnienia wszechświata, uważałem go jednak za zbyt techniczny. Pan uświadomił mi pomyłkę.

— Wie pan — powiedziałem. — Nie chciałem sprawiać kłopotów. Wydawało mi się po prostu, że powinienem wskazać...

Staruszek uśmiechnął się.

— Sprawiając kłopot, oszczędził mi pan większych kłopotów — oświadczył. — Mogę stwarzać na własny obraz, nie stworzę jednak świata zaludnionego miniaturowymi wersjami mojej osoby. Wolna wola ma dla mnie duże znaczenie, więc moje kreacje będą ją miały, ku swej chwale i swej rozpacz. Podniosą tę błyszczącą i bezużyteczną zabawkę, którą nazwał pan nauką, by wynieść ją na pozycje Boga. Zafascynowani fizycznymi sprzecznościami i gwiazdnymi abstrakcjami pogonią za wiedzą o nich, zapominając o zgłębianiu wiedzy własnego serca. Pan mnie o tym przekonał i wdzięczny jestem za ostrzeżenie.

Szczerze mówiąc, troszkę się wtedy zaniepokoiłem. Wiecie, on był nikim, nie znał nikogo ważnego, a jednak

74

była w nim maniera wielkości. Czułem, że może mi sprawić wściekłą masę kłopotów i że może to zrobić za pomocą kilku słów, jednego zdania wbitego niby strzałką w mój umysł, tak że nigdy nie zdołam go usunąć. I to — żeby nie skłamać — trochę mnie przestraszyło.

No cóż, stary dowcipniś musiał odczytać moje myśli. Powiedział bowiem:

— Proszę się nie lękać. Akceptuję bez zastrzeżeń świat, który pan dla mnie zrobił. Świetnie się nada taki, jaki jest. A co do usterek i defektów, które pan w ten świat wbudował, to akceptuję je także, nie bez wdzięczności. I za nie też zapłacę.

— Jak? — zapytałem. — Jak pan płaci za błędy?

— Przyjmując je bez dyskusji — odrzekł. — Jak również opuszczając pana teraz, by podążyć za własnymi sprawami i sprawami mego ludu.

Po czym starszy dżentelmen wyszedł nie mówiąc ani słowa więcej.

Dało mi to sporo do myślenia. To ja użyłem wszystkich dobrych argumentów, a jednak w jakiś sposób on miał ostatnie słowo. Wiedziałem, o co mu chodzi. On wypełnił kontrakt ze mną, i to kończyło sprawę. Odszedł bez jednego słowa skierowanego osobiście do mnie. Z jego punktu widzenia był to rodzaj kary. Ale to on widział rzecz w ten sposób. Po co mi były jego słowa? Oczywiście, chciałbym je usłyszeć, to naturalne. Przez pewien czas próbowałem się z nim spotkać, ale nie chciał mnie widzieć. Tak więc naprawdę nie było się czym przejmować. Nieźle zarobiłem na tym świecie i nawet jeśli tu czy tam nagiąłem trochę kontrakt, to przecież go nie zламаłem. Tak to już jest: zysk to obowiązek wobec samego siebie. I nie można się zbytnio zastanawiać nad konsekwencjami.

— Chciałbym jednak — dodał po chwili — wyciągnąć z tej historii pewne wnioski, więc proszę was, chłopcy, żebyście słuchali uważnie. Naukę wypełnia masa reguł, bo taką ją wymyśliłem. A dlaczego taką ją wymyśliłem? Ponieważ reguły bardzo pomagają drobnym wykonawcom, tak samo jak wielka liczba przepisów jest wielką pomocą

75

dla prawników. Reguły, doktryny, aksjomaty, prawa i zasady nauki istnieją po to, by wam pomagać, nie przeszkadzać. Są po to, by wam dostarczać powodów dla tego, co robicie. Większość z nich jest mniej lub bardziej prawdziwa. Ale pamiętajcie: reguły służą do wyjaśniania klientom, co zrobiliście po zrobieniu tego, nie przed. Gdy realizujecie projekt, róbcie to dokładnie tak, jak uznacie za stosowne, a potem dopasowujcie fakty do teorii, nie na odwrót. Nie zapomnijcie: reguły są słowną barierą wobec ludzi, którzy zadają pytania. Ale nie powinny być barierą dla was. Jeżeli cokolwiek się ode mnie nauczyliście, to wiecie, że nasza praca jest nieuchronnie niewyjaśnialna. Po prostu wykonujemy ją, i czasem wyjdzie dobrze, a czasem nie. Nigdy więc nie próbujcie tłumaczyć samym sobie, dlaczego jedne rzeczy się zdarzają, a inne się nie zdarzają. Nie pytajcie i nie wyobrażajcie sobie, że istnieje jakieś wyjaśnienie. Zrozumieliście?

Dwaj asystenci pokiwali głowami z gorliwością ludzi, którzy właśnie odnaleźli nową religię. Carmody mógł założyć się o cokolwiek, że obaj ambitni młodzieńcy zapamiętali każde słowo Budowniczego, teraz zaś zaczną te słowa podnosić do rangi... reguły.

ROZDZIAŁ XIII

Skończywszy opowieść, Maudsley przez długi czas zachowywał milczenie. **Był** zamyślony i markotny, jakby męczyły go smutne wspomnienia. W końcu jednak ożywił się.

— Carmody — rzekł. — Osoba na moim stanowisku jest bez przerwy nagabywana przez rozmaite towarzystwa dobroczynne. Co roku łożę szczerze na Fundusz Tlenowy dla Ubogich Form Węglowych. Wnoszę też swój wkład w Międzygwiezdną Fundację Ponownego Rozwoju, Kosmiczne Osiedla Rodzinne i program Ratujmy Niedojrzałych. Uważam, że to zupełnie wystarcza, a przy tym jest zwolnione od podatku.

76

— W porządku — odparł Carmody w nagłym porywie dumy. — I tak nie chcę pańskiej dobroczynności!

— Proszę nie przerywać — powiedział Maudsley. — Mówiłem, że ta działalność w pełni zaspokaja moje humanitarne instynkty. Nie chcę na siebie brać przypadków indywidualnych, gdyż bywa to powodem zamieszania i osobistych animozji.

— Doskonale rozumiem — rzekł Carmody. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli już sobie pójdę — dodał, choć nie

miał najmniejszego pojęcia, gdzie sobie pójdzie i jak się tam dostanie.

— Prosiłem, żebyś mi nie przerywał — upomniał go Maudsley. — *Do rzeczy*. Jak właśnie mówiłem, nie lubię się zajmować indywidualnymi sprawami. Mam jednak zamiar zrobić wyjątek i pomóc ci w powrocie na twoją planetę.

— Dlaczego? — zapytał Carmody.

— Kaprys — wyjaśnił Maudsley. — Zwykła zachcianka, może z niewielką domieszką altruizmu. A także...

— Tak?

— No cóż, jeśli trafisz do domu, co jest mocno wątpliwe mimo mojej pomocy, to byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał przekazać wiadomość.

— Nie ma sprawy — oświadczył Carmody. — Dla kogo ma być ta wiadomość?

— No oczywiście dla tego brodatego staruszka, któremu zbudowałem tę planetę. Mam nadzieję, że ciągle jest tam szefem?

— Nie wiem — przyznał Carmody. — Wiele się o tym dyskutowało. Niektórzy twierdzą, że jest i zawsze był. Ale inni mówią, że umarł (choć wydaje mi się, że w sensie metaforycznym). A jeszcze inni utrzymują, że w ogóle nigdy nie istniał.

— Wciąż tam jest — oświadczył z przekonaniem Maudsley. — Takiego faceta jak on i łomem się nie dobije. A taka pozoracja nieobecności jest bardzo w jego stylu. Miewa humory, rozumiesz, i pełen jest wzniosłych ideałów, a ludzie powinni, jego zdaniem, postępować zgodnie z nimi. Mógł się obrazić, mógł na pewien czas zniknąć z oczu, gdy

77

nie spodobało mu się to, co się dzieje. Jest subtelny i wie, że ludzie nie lubią nadmiaru czegokolwiek, czy to będzie rostbef, czy piękna kobieta, czy Bóg. To do niego podobne:

usunął się z jadłospisu, że się tak wyrażę, do czasu, gdy znowu wzrośnie na niego apetyt.

— Wydaje się, że sporo pan o nim wie — stwierdził Carmody.

— Cóż, miałem masę czasu, żeby sobie to przemyśleć.

— Sądzę też, że powinienem zaznaczyć — dodał Carmody — iż sposób, w jaki pan o nim myśli, jest niezgodny z żadnym poglądem teologicznym, o jakim słyszałem. Idea Boga, który miewa humory i może się obrażać...

— Ależ on musi taki być! — zawołał Maudsley. — I jeszcze więcej! Musi być istotą wybitnie emocjonalną. Przecież ty taki jesteś, a przypuszczam, że wszyscy inni też.

Carmody przytaknął.

— No widzisz. Powiedział wyraźnie, że ma zamiar tworzyć na własny obraz. I oczywiście tak właśnie zrobił. Gdy tylko się tu zjawiłeś, od razu zauważyłem rodzinne podobieństwo. Masz w sobie cząstkę Boga, Carmody, ale nie pozwól, żeby ci to uderzyło do głowy.

— Nigdy się z nim nie kontaktowałem — poinformował Carmody. — Nie wiem, jak mógłbym przekazać mu wiadomość.

— Przecież to proste — zirytował się Maudsley. — Kiedy wrócisz do domu, po prostu wypowiesz ją, głośno i wyraźnie.

— I sądzi pan, że on mnie usłyszy? — Carmody nie dowierzał.

— Nic mu w tym nie przeszkodzi. Musi cię usłyszeć — wyjaśnił Maudsley. — Przecież to jego planeta i okazał głębokie zainteresowanie jej lokatorami. Gdyby chciał, żebyście się z nim komunikowali inaczej, dałby znać.

— Dobrze, załatwię tę sprawę — zgodził się Carmody. — Co mam mu przekazać?

— Wiesz, właściwie nic ważnego. — Maudsley zmieszał się nagle. — Ale był godnym szacunku starszym panem, więc trochę mi głupio z powodu tej planety, którą mu

78

zbudowałem. Nie żeby było z nią coś nie tak, jeżeli już o tym mowa. Była zupełnie dobra. Ale ten gość był dżentelmenem. To znaczy, miał klasę, a to coś, czego nie widuje się zbyt często. No więc... chcę mu zaproponować renowację jego planety, całkiem bezpłatnie, rozumiesz. Gratis. Nie straci ani centa. Jeśli się zgodzi, to przerobię ją na pokazówkę, prawdziwy raj. Muszę ci powiedzieć, że jestem naprawdę świetnym konstruktorem. To nie fair osądzać po tym, co muszę wypuszczać, żeby zarobić parę zielonych.

— Powiem mu to. Ale prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby przyjął tę propozycję.

— Ja też nie sądzę — zgodził się markotnie Maudsley. — To staruszek i nie lubi przysług. Mimo to składam ofertę i czynię to całkowicie *szczerze*.

Zawahał się przez chwilę.

— Możesz jeszcze zapytać — dodał — czy nie zechciałby zająć tu czasem na pogawędkę.

— Dlaczego sam pan do niego nie pójdzie.

— Próbowałem już parę razy, ale nie chce mnie widzieć. Ten wasz stary jest dość zawzięty, ale może mu przejdzie.

— Może — zgodził się z powątpiewaniem Carmody. — Tak czy owak, powiem mu. Ale, panie Maudsiey, jeśli chce pan porozmawiać z Bogiem, to czemu nie zwróci się do Melichrone'a?

Maudsiey odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Melichrone? Ten kretyn? To nadęty i egocentryczny osioł. Nie warto o nim myśleć. Wolałbym z psem dyskutować o metafizyce. W sensie technicznym, jak wiesz, boskość to kwestia mocy i sterowania; nie ma w niej nic magicznego, nie jest też lekarstwem na wszystko, co ci dolega. Żadni dwaj Bogowie nie są tacy sami. Wiedziałeś o tym?

— Nie, nie wiedziałem.

— Więc zapamiętaj. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka informacja może się przydać.

— Dziękuję — powiedział Carmody. — Wie pan, do tej pory nie wierzyłem w żadnych Bogów. Maudsiey przyjrzał mu się w zamyśleniu.

— Według mnie — oświadczył — istnienie Boga lub

79

Bogów jest oczywiste i nieuniknione. Wiara w Boga jest tak prosta i naturalna, jak wiara w jabłko, i ma znaczenie ani mniejsze, ani większe. Jeśli już o tym mówimy, to istnieje tylko jedna rzecz, która przeszkadza tej wierze.

— Co? — zaciekawiał się Carmody.

— Zasada Interesu, bardziej powszechna niż prawo grawitacji. Gdziekolwiek byś w Galaktyce trafił, tam znajdziesz interes żywnościowy, interes wojenny, interes rządowy i tak dalej. I oczywiście interes boski zwany „religią” i będący działalnością szczególnie godną potępienia. Przez cały rok bez przerwy mógłbym ci opowiadać o przewrotnych i wstrętnych wyobrażeniach, którymi handlują religie, ale jestem pewien, że to dla ciebie żadna nowość. Wspomnę tylko o jednej sprawie, która zdaje się leżeć u podnóża wszystkiego, przy czym religie obstają, a którą ja uważam za niemal absolutną perwersję.

— Co to takiego? — zainteresował się Carmody.

— To głęboki, zasadniczy fundament hipokryzji, na którym religia się opiera. Zastanów się: o żadnym stworzeniu nie można powiedzieć, że oddaje cześć Bogu, jeśli nie posiada wolnej woli. Wolna wola jednakże jest wolna. A dzięki tej zalecie jest niesforna i nieobliczalna — prawdziwie boski dar umożliwiający stan swobody. Istnieć w stanie swobody to rzecz niezwykła i szalona; i niewątpliwie taką została zaplanowana. A co z nią robią religie? Mówią: „Bardzo dobrze, posiadacie wolną wolę, teraz zaś musicie jej użyć, by oddać się w niewolę Bogu i nam”. Cóż za bezczelność! Bóg, który nawet muchy by nie próbował do czegośkolwiek zmuszać, malowany jest jako najwyższy właściciel niewolników! Wobec takiej tezy każda obdarzona duchem istota musi się zbuntować; musi służyć Bogu wyłącznie z własnej woli i chęci albo też nie służyć mu wcale, pozostając w ten sposób wierną sobie i otrzymanym od Boga darom.

— Chyba wiem, o co panu chodzi — stwierdził Carmody.

— Zbyt zawile to wyraziłem — rzekł Maudsiey. — Jest inny, dużo prostszy powód unikania religii.

80

— Jakież to?

— Zastanów się nad jej stylem. Jest napuszony, upominający, słodko-mdły, protekcjonalny, sztuczny, inapro-pos, nudny, pełen ponurych wizji i zjadliwych sloganów, w sam raz dla zgrzybiałych bab i niemowląt przy piersi, ale dla nikogo więcej. Nie wierzę, by Bóg, którego tu poznałem, kiedykolwiek wszedł do kościoła. Miał zbyt dobry smak i był zbyt surowy, za wiele w nim było gniewu i dumy. Nigdy nie uwierzę. I dla mnie zamyka to sprawę. Po co mam chodzić tam, gdzie Bóg nie przyjdzie?

ROZDZIAŁ XIV

Maudsiey zajął się budową maszyny mającej przenieść na Ziemię pozostawionego chwilowo samemu sobie Car-mody'ego, który zaczął się nudzić. Maudsiey potrafił pracować jedynie w całkowitej samotności, natomiast

Nagroda najwyraźniej powróciła do stanu hibernacji. Młodszy konstruktorzy, Orin i Brookside, byli niezbyt ciekawymi typami. Pochłaniała ich praca i nie interesowali się niczym więcej. Tak więc Carmody nie miał do kogo ust otworzyć.

Wypełniał wolny czas najlepiej, jak potrafił. Zwiedził fabrykę atomów i sumiennie wysłuchał wyjaśnień rumianego brygadzysty.

— Kiedyś robiło się to ręcznie, teraz maszynowo, ale sam proces jest w zasadzie taki sam. Najpierw wybieramy proton i przyczepiamy do niego neutron, używając patentowego wiązania energetycznego pana Maudsieya. Potem, za pomocą standardowej wersji centryfugi mikrokosmicznej wkręcamy na miejsce elektron i dokładamy, co tam jeszcze trzeba: mezony u, pozytrony i takie tam różne ozdóbki. I to właściwie wszystko.

— Czy dużo macie zamówień na atomy złota albo uranu? — zainteresował się Carmody.

— Niewiele. **Za** drogie. Wyrabiamy przede wszystkim wodór.

6 — Wymiar cudów

o 1

— A co z antymaterią?

— Dla mnie osobiście niewiele w niej sensu — oświadczył brygadzysta. — Ale pan Maudsiey wytwarza ją jako produkt uboczny. Antymaterię robi się, oczywiście, w oddzielnym zakładzie.

— Oczywiście — zgodził się Cannody.

— To paskudztwo wybuchu, kiedy się zetknie z normalnymi atomami.

— Tak, wiem. Pewnie trudno ją pakować.

— Nie, wcale nie — zapewnił brygadzysta. — Wkładamy ją do neutralnych kartonów.

Szli między wielkimi maszynami i Cannody zastanawiał się, co by tu jeszcze powiedzieć.

— Czy sami produkujecie protony i elektrony? — zapytał wreszcie.

— Nie. Pan Maudsiey nigdy nie chciał się babrać drobnymi elementami. Częstki subatomowe sprowadzamy od podwykonawców.

Cannody zaśmiał się i brygadzysta spojrział na niego podejrzliwie.

Szli dalej, aż Cannody'ego zaczęły boleć stopy. Czuł się zmęczony i znużony i to go irytowało. Powinien być zafascynowany — przekonywał sam siebie. Był przecież w miejscu, gdzie produkowano atomy, gdzie w osobnym zakładzie powstawała antymateria! Tam dalej stała gigantyczna maszyna wydobywająca z surowej przestrzeni promienie kosmiczne, oczyszczająca je i pakująca w ciężkie zielone pojemniki. Obok była sonda termiczna używana przy naprawie starych gwiazd, a zaraz na lewo od niej...

Nic z tego. Spacer przez fabrykę Maudsieya wzbudzał w Carmodym takie samo uczucie znudzenia, jakiego doświadczył podczas wycieczki do odlewni staliwa w Gary w stanie Indiana. I jeszcze ta fala zmęczenia, ten cichy bunt — dokładnie to samo odczuwał po skupionych godzinach chodzenia cichymi korytarzami Luwru, Prado czy British Museum. Ludzka zdolność do zdumiewania się — teraz to zrozumiał — potrafi zasymilować jedynie niewielką porcję zachwyty naraz. Człowiek pozostaje niezachwianie

82

wiemy sobie i swoim zainteresowaniom. Trzyma się roli, nawet jeśli odgrywana postać zostanie nagle przeniesiona do Timbuktu albo na Alfa Centauri. Będąc ze sobą bezlitośnie szczerzy, Carmody przyznał, że wolałby raczej pojeździć na nartach z Nosedive w Stowę albo pożegłować w tahitańskim keczu pod mostem Heli Gate, niż oglądać większość cudów wszechświata. Wstydział się tego, ale nic nie mógł poradzić.

— Mój charakter nie jest zbyt faustowski — powiedział do siebie. — Oto tajemnice wszechświata rozrzucone przede mną jak stare gazety, a ja marzę o lutowym poranku w Yermont, zanim jeszcze zaczną odgarniać śnieg.

Przez moment czuł się niewyraźnie, ale potem zbudził się w nim bunt.

— W końcu — stwierdził — nawet Faust nie musiał leżeć przez to wszystko, jakby to była wystawa Dawnych Mistrzów. O ile dobrze pamiętam, musiał narobić się jak osioł. Gdyby diabeł zbyt łatwo ułatwił mu sprawę, Faust prawdopodobnie zrezygnowałby z wiedzy i zajął się alpinizmem albo czymś w tym rodzaju.

Zastanawiał się przez chwilę.

— A zresztą... — powiedział. — Po co tyle szumu wokół tajemnic wszechświata? Są przereklamowane, tak jak wszystko inne. Kiedy już się do czegoś dociera, to zawsze się to okazuje nie tak dobre, jak się oczekiwało.

Nawet jeśli to wszystko nie było prawdą, to w każdym razie poprawiło Carmody'emu humor. Ciągle jednak się nudził. I Maudsiey wciąż nie wychodził ze swojej pustelni.

Czas mijał pozornie powoli. Nie dało się ocenić jego prawdziwej prędkości, lecz Carmody'emu zdawało się, że można by go podzielić na dni i tygodnie, a może nawet miesiące. Miał takie uczucie — czy raczej przecucie — że Maudsieyowi niełatwo udaje się wykonać to, co tak lekko obiecał. Być może prostszą sprawą byłoby zbudowanie nowej planety niż odszukanie starej. Carmody rozumiał złożoność problemu i możliwość zaistnienia wielu nieocze-

kiwanym trudności i coraz bardziej upadał na duchu.

Pewnego dnia (wyrażając się konwencjonalnie) obserwował, jak Orin i Brookside budują las. Zamówiły go

83

naczelną z Coeth II w miejsce starego, w który trafił meteor. Pieniądze na nowy pochodziły ze składek dzieci, zaś uzbierana suma wystarczała na opłacenie dzieła najwyższej klasy.

Gdy konstruktorzy i robotnicy odeszli, Carmody ruszył na samotny spacer wśród drzew. Był zdumiony, jak świetną robotę potrafią wykonać Maudsley i jego zespół, jeśli tylko zechcą się przyłożyć. Las bowiem był cudem twórczego i rozważnego planowania.

Były tam naturalne polanki do spacerów, z liściastymi sklepieniami w górze i cętkowanym poszyciem u dom — kuszącym dla stóp i kojącym dla oczu. Drzewa nie należały do ziemskich gatunków, lecz były podobne, więc Carmody zdecydował się, nie zważając na różnice, określać je nazwami drzew, które znał.

Las był pięknie wyrosnięty i było w nim akurat tyle zarośli, by wydawał się tajemniczy. Tu i tam urozmaicały go przejrzyste bystre strumyki, nie głębsze niż na trzy stopy. Było też płytkie, intensywnie błękitne, nieduże jezioro, otoczone zagajnikiem jak gdyby sosen. Były miniaturowe moczary, gęste od mangrowców i cyprysów, usiane magnoliami, wierzbami i swobodnie rozrzuconymi palmami kokosowymi. Dalej od brzegu, na bardziej suchym terenie rósł gaj, w którym można było znaleźć dzikie śliwy i wiśnie, leszczyny, pomarańcze, daktyle i figi — idealne miejsce na piknik.

Nie przeoczono także możliwości kryjących się w drzewach. Młode naczelną mogły ścigać się w górę i w dół po strzelistych pniach wiązów i sykomorów, grać w berka na rozłożystych konarach dębów i wawrzynów, wreszcie huśtać się w splecionej sieci lian i powojów. Nie pominięto też potrzeb starszych — dla nich rosły tu gigantyczne sekwoje, gdzie mogli drzemać albo grać w karty, wysoko ponad rozwrzeszczanymi dziećmi.

Było tam nie tylko to; nawet ktoś tak niedoświadczony, jak Carmody, mógł dostrzec, że las otrzymał prostą, miłą i celową ekologię. Żyły w nim ptaki, zwierzęta oraz inne stworzenia. Były kwiaty i pozbawione żądeł pszczoły, które

84

miały je zapylać i zbierać nektar; były wesołe, małe, grube niedźwiadki, które podkrażały pszczołom miód. Żyły robaki uczujące na kwiatkach, ptaki żywiące się robakami, szybkie rude lisy zjadające ptaki, niedźwiedzie pożerające lisy i naczelną polujące na niedźwiedzie.

Ale prymaty z Coeth także umierały. Chowały swych zmarłych bez trumien w płytkich grobach, z szacunkiem, lecz bez zbytniego szumu, by stali się pożywieniem dla robaków, ptaków, lisów, niedźwiedzi, a nawet jednego czy dwu gatunków kwiatów. W ten sposób Coethianie zajmowali należne sobie miejsce w leśnym cyklu życia i śmierci. Cieszyło ich to niezmiernie, gdyż byli urodzonymi współuczestnikami.

Carmody obserwował to wszystko, idąc samotnie z Nagrodą (wciąż jako kociołkiem) pod pachą. W jego głowie kłębiły się myśli o utraconym kraju rodzinnym. I wtedy usłyszał, jak gdzieś z tyłu coś zaszeleściło.

Nie było wiatru, a wszystkie niedźwiedzie kapały się w stawie. Carmody odwrócił się powoli, wiedząc, że coś za nim jest, lecz pragnąc, by tego nie było.

Coś było. To coś miało na sobie obszerny skafander kosmiczny, buty typu Frankenstein, przezroczysty baniasty henn i pas, na którym dyndał jakiś tuzin narzędzi, elementów uzbrojenia i rozmaitych aparatów.

Carmody natychmiast rozpoznał w tym stworzeniu Ziemianina; nikt inny nie mógł ubierać się w ten sposób.

Z tyłu po prawej ręce Ziemianina stała mniejsza, podobnie ubrana postać. Carmody od razu zauważył, że to Ziemianka, i to bardzo atrakcyjna.

— Panie wielki! — zawołał. — Ludzie, jak tu trafiliście?

— Nie tak głośno — uciszył go Ziemianin. — Bogu dziękuję, że przybyliśmy na czas, chociaż najniebezpieczniejsze jest chyba jeszcze przed nami.

— Czy w ogóle mamy jakieś szansę, tatusiu? — spytała dziewczyna.

— Zawsze jest szansa — uśmiechnął się ponuro mężczyzna. — Chociaż wolałbym się o to nie zakładać. Może jednak doktor Maddox coś wymyśli.

— Jest w tym bardzo dobry, prawda, tatusiu?

85

— Oczywiście, Mary. Docent Maddox jest najlepszy ze wszystkich. Ale tym razem on... my... chyba trochę przeholowaliśmy.

— Jestem pewna, że znajdziemy jakiś sposób — dziewczyna była wzruszająco spokojna.

— Być może — orzekł ojciec. — W każdym razie pokażemy im, że w dyszach starych mózgow zostało jeszcze parę funtów ciągu.

Spojrzał na Carmody'ego i jego twarz stężała.

— Mam nadzieję, chłopie, że jesteś tego wart. Trzy istoty narażają dla ciebie życie.

Trudno było coś na to odpowiedzieć, więc Carmody nawet nie próbował.

— Pojedynczo, szybkim krokiem, z powrotem do statku marsz! — rozkazał mężczyzna. — Niech docent Maddox oceni sytuację.

Wyciągnął zza pasa miotacz z gruszkowatą lufą i zawrócił między drzewa. Dziewczyna rzuciła Carmody'emu zachęcające spojrzenie i poszła za mężczyzną. Carmody ruszył w jej ślady.

ROZDZIAŁ XV

— Hej, zaczekajcie! O co w tym wszystkim chodzi? — zawołał Carmody, podążając za parą w skafandrach. — Kim jesteście? I co tu robicie?

— To straszne. — Dziewczyna zarumieniła się, zakłopotana. — Tak pędzimy, że nawet nie zdążyliśmy się przedstawić. Musi nas pan uważać za niezłych durniów, panie Carmody.

— Ależ nie — zaprotestował uprzejmie Carmody. — Chciałbym jednak wiedzieć... no, wiedzieć, jeśli wiecie, co mam na myśli.

— Oczywiście, że wiem, co pan ma na myśli — odparła dziewczyna. — Jestem Aviva Christiansen, a to mój ojciec, profesor Lars Christiansen.

— Możesz wywalić tego „profesora” — burknął Chris-

86

tiansen. — Nazywaj mnie Lars albo Chris, albo co ci tam przyjdzie do głowy.

— Oczywiście, tatusiu. — Aviva była nieco rozdrażniona i demonstracyjnie czuła. — W każdym razie, panie Carmody...

— Na imię mi Tom.

— Dobrze, Tom — zgodziła się prześlicznie zarumieniona Aviva. — O czym mówiłam? A tak. Tatusi i ja jesteśmy związani z Ziemskim Stowarzyszeniem Pomocy Międzygwiazdowej (ZSPM), organizacją mającą swe przedstawicielstwa w Sztokholmie, Genewie i Waszyngtonie.

— Boję się, że nigdy o niej nie słyszałem — powiedział Carmody.

— Nie ma w tym nic dziwnego — zapewniła go Aviva. — Ziemia osiągnęła zaledwie próg epoki wypraw międzygwiazdowych. Już teraz w laboratoriach na całym świecie bada się nowe, eksperymentalne źródła energii, dalece przewyższające prymitywne agregaty jądrowe. I naprawdę niedługo rakiety pilotowane przez ludzi z Ziemi dotrą do najdalszych zakątków Galaktyki. A to, oczywiście, zapoczątkuje na naszej starej i umęczonej planecie nowy okres powszechnego pokoju i współpracy.

— Naprawdę? — spytał Carmody. — A dlaczego?

— Bo nie zostanie nic, o co warto by walczyć — wyjaśniła Aviva, lekko zdyszana, jako że wszyscy troje torowali sobie drogę przez niewysokie krzewy. — Jak pewnie zauważyłeś, istnieją tam niezliczone światy i jest dość miejsca na wszelkiego rodzaju eksperymenty socjologiczne, przygody i wszystko, co można sobie wyobrazić. Tak więc ludzka energia skieruje się na zewnątrz, zamiast rozpraszać się wewnątrz, w katastrofalnych, wyniszczających wojnach.

— Mała serwuje ci to jak narkotyk — wtrącił Lars Christiansen swym spokojnym, schrypniętym, przyjaznym basem. — Może wydawać ci się naiwna, ale ma ze sto siedemnaście różnych dyplomów i doktoratów, którymi się podpira.

— **Za** to papcio, chociaż wydaje się gburem — od-

parowała Aviva — trzyma w szafce na buty trzy Nagrody Nobla.

Ojciec i córka wymienili spojrzenia, w których zawierała się równocześnie groźba i uczucie.

— No więc tak właśnie jest — ciągnęła Aviva. — A raczej będzie za kilka lat. Ale my wystartowaliśmy wcześniej, dzięki doktorowi Maddoxowi, którego wkrótce poznasz.

Zawahala się.

— Nie sądzę, bym nadużyła jego zaufania — dodała ciszej — jeżeli ci powiem, że on jest... no... ee... mutantem.

— Do licha, nie ma co się podniecać tym słowem — warknął Lars Christiansen. — Mutant może być tak samo dobry jak my. A w przypadku Maddoxa może być nawet tysiąc razy lepszy.

— To właśnie doktor Maddox wprowadził ten projekt na orbitę — podjęła Aviva. — Widzisz, dokonał projekcji przyszłości (nie mam pojęcia, w jaki sposób to robi) i zrozumiał, że wobec niedalekiego już odkrycia taniej nieograniczonej energii w bezpiecznej przenośnej postaci wkrótce dookoła pełno będzie statków kosmicznych. A mnóstwo ludzi po prostu ruszy w przestrzeń, bez właściwego wyposażenia, instrumentów nawigacyjnych, zapasów...

— Banda niewypierzonych tępaków — skomentował sucho Christiansen.

— Tatusiu... No, w każdym razie ci ludzie będą potrzebować pomocy. A żaden zorganizowany Galaktyczny Patrol Ratunkowy nie powstanie (doktor Maddox obliczył to bardzo dokładnie) przez najbliższe 87,238874 roku. Rozumiesz?

— Chyba tak — powiedział Carmody. — Wasza trójka dostrzegła ten problem i... rozwiązaliście go.

— Tak — przyznała z prostotą. — Rozwiązaliśmy. Tatuś jest bardzo gorliwy w niesieniu pomocy, choć trudno się tego domyślić, słuchając jego gderania. A co jest dobre dla niego, jest dobre i dla mnie. Jeśli natomiast idzie o doktora Maddoxa... no cóż, jest to najbardziej całkowicie i szczerze zrealizowany potencjał umysłowy, jaki znam.

— Tak, taki właśnie jest, a może jeszcze bardziej — powiedział cicho Lars Christiansen. — Ten człowiek ma niezwykłą historię. Mutacje, jak wiesz, są zwykle negatywne. Zaledwie jedna, dwie na tysiąc okazują się złotem, a nie pirytem. Jednakże w przypadku Maddoxa mamy do czynienia z całą serią mutacji, w większości pozytywnych, a w całości niewytłumaczalnych.

— Podejrzewamy życzliwą działalność obcych — dodała niemal szeptem Aviva. — Dzieje rodziny Maddoxów dały się zbadać zaledwie do dwustu lat wstecz. To dziwna historia. Aelill Maddoxe, prapradziadek Maddoxa, był walijskim górnikiem. Ponad dwadzieścia lat pracował w słynnej kopalni Auld Gringie i był jednym z nielicznych zatrudnionych, którzy pozostali w dobrym zdrowiu. To było w roku 1739. Ostatnio, kiedy Auld Gringie uruchomiono na nowo, odkryto przylegające do niej bajkowo bogate uranowe złoża Scatterweila.

— Tam to się pewnie zaczęło — podjął Christiansen. — Podejmujemy trop tej rodziny w 1801, w Oaxaca w Meksyku. Thomas Maddoxe (tak się pisał) poślubił piękną i dumną Teresitę de Yaldez, Contesę de Aragon, właścicielkę najpiękniejszej hacjendy w Meksyku. Thomas pilnował bydła owego ranka 6 kwietnia 1801 roku, gdy La Estrella Roja de Muerto — Czerwona Gwiazda Śmierci (zidentyfikowana później jako wielki radioaktywny meteor) upadła w odległości dwóch mil od rancza. Thomas i Teresita znaleźli się wśród tych nielicznych, którzy ocalili.

— Dochodzimy do roku 1930 — kontynuowała opowieść Aviva. — Kolejna, mocno zubożała generacja Maddoxów przeniosła się do Los Angeles. Ernest Maddox, dziad doktora, sprzedawał lekarzom nowomodne urządzenie zwane „aparatem Roentgena”. Dwa razy w tygodniu przez co najmniej dziesięć lat demonstrował jego działanie, używając siebie jako obiektu. Mimo potężnej dawki twardego promieniowania, a może dzięki niej, dożył sędziwego wieku.

— Jego syn — włączył się Lars — nie wiedzieć czym powodowany, wyruszył w 1935 roku do Japonii i został

89

mnichem zeń. Mieszkał w tsuktsuri, czyli w kącie opuszczonej sutereny. Nigdy się nie odzywał. Miejscowi zostawili go w spokoju, przekonani, że jest ekscentrycznym Pakistańczykiem. Suterena Maddoxa znajdowała się w Hiroshimie, ledwie 7,9 mili od epicentrum wybuchu atomowego w 1945. Bezpośrednio po wybuchu Maddox opuścił Japonię, by udać się do klasztoru Hui-Shen, usytuowanego na najbardziej niedostępnym szczycie w północnym Tybecie. Według opowieści angielskiego turysty, który w tym czasie dotarł do klasztoru, l a mówi e oczekiwali Maddoxa! Osiedlił się tam i poświęcił studiom nad pewnymi tantrami. Poślubił kobietę pochodzącą z rodziny panującej w Kaszmirze i miał z nią syna. To właśnie był Owen, nasz doktor. Rodzina opuściła Tybet na tydzień przed inwazją Czerwonych Chińczyków. Owen studiował w Harvardzie, Yale, UCLA, Oxfordzie, Cambridge, Sorbonie i Heidelbergu. Jak trafił do nas, to historia ciekawa sama w sobie. Usłyszysz ją przy bardziej sprzyjającej okazji. Teraz dochodzimy do statku i raczej nie możemy marnować więcej czasu na gadanie.

Carmody dostrzegł między drzewami majestatyczny statek gwiazdny wznoszący się ku niebu niby drapacz chmur. Miał wirniki, dysze, luki i wiele wypustek. Przed nim na składanym krześle siedział mężczyzna w wieku nieco powyżej średniego, o dobrotliwej, pooranej zmarszczkami twarzy. Od razu można się było domyślić, że jest to mutant Maddox, gdyż u każdej dłoni miał siedem palców, a jego czoło wyrzuszało się potężnie, by pomieścić dodatkową objętość mózgu.

Maddox wstał niedbale (na pięciu nogach!) i skinął im głową.

— Zjawiacie się w samą porę — poinformował. — Linie wrogich sił są już bardzo bliskie punktu przecięcia. Szybko wchodźcie wszyscy do środka! Trzeba jak najprędzej postawić osłonę siłową.

Lars Christiansen pomaszerał naprzód, zbyt dumny, by pobiec. Aviva chwyciła ramię Carmody'ego, który

zauważył, że dziewczyna drży, a także, że nieforemny szary

90

skafander nie zdołał zamaskować jej smukłych kształtów, z czego chyba nie zdawała sobie sprawy.

— Paskudna sytuacja — mruknął Maddox, składając stelaż swego krzesła i wrzucając go do łuku. — Moje obliczenia dopuszczają oczywiście tego rodzaju punkt węzłowy, lecz z samej natury owej nieskończonej kombinacji wynika, że nie da się przewidzieć jej ułożenia. Mimo to zrobimy wszystko, co możliwe.

Przy szerokim łuku wejściowym Carmody zatrzymał się z wahaniem.

— Sądzę, że powinienem się pożegnać z panem Maud-sleyem — powiedział do Maddoxa. — A może poprosić go o radę. Bardzo mi pomógł i teraz pracuje nad sposobem przerzucenia mnie na Ziemię.

— Maudsley! — zawołał Maddox, rzucając Christian-senowi znaczące spojrzenie. — Podejrzałem, że to on za tym stoi.

— Wyglądało to na jego wredną robotę — przyznał Christiansen.

— O co wam chodzi? — zdziwił się Carmody.

— O to — wyjaśnił Maddox — że byłeś ofiarą, pionkiem w potężnym spisku obejmującym nie mniej niż siedemnaście gwiazdnych systemów. Nie mogę teraz wszystkiego tłumaczyć, ale wierz mi, gra idzie nie tylko o twoje i nasze życie, ale także o życie kilkudziesięciu miliardów humanoidów, w większej części niebieskookich i białoskórych.

— Och, pospiesz się. Tom! — zawołała Aviva, ciągnąc Carmody'ego za ramię.

— Dobrze, proszę bardzo — zgodził się Carmody. — Ale zażądam pełnych i wyczerpujących wyjaśnień.

— I otrzymasz je — powiedział Maddox, gdy tylko Carmody przekroczył łuk. — Otrzymasz je już teraz.

Carmody wyczuł groźbę w jego głosie i obejrzał się szybko. Z uwagą przyjrzał się mutantowi i ogarnął go lęk. Raz jeszcze spojrzął na trójkę ratowników i naprawdę zobaczył ich po raz pierwszy.

Ludzki umysł jest biegły w tworzeniu obrazów. Parę

91

linii krzywych wystarczy za górę, pół tuzina łamanych stworzy znośną falę. Pod bacznym spojrzeniem Carmody'ego obraz rozpadał się. Śliczne oczy Avivy były raczej stylizowane i sugestywne niż funkcjonalne jak wizerunek oczu na skrzydłach ćmy. Lars na jednej trzeciej wysokości twarzy miał czerwony owal przedzielony ciemniejszą linią — to miały być usta. Palce Maddoxa, wszystkie siedem, wymalowano na jego udach.

Obraz rozpadł się zupełnie. Carmody dostrzegł cienką czarną linię, przypominającą pęknięcie w podłodze, która łączyła każde z tej trójki ze statkiem. Stał jak skamieniały i patrzył, jak się do niego zbliżają. Nie mieli rąk, by je unieść, nóg, by nimi poruszać, oczu, którymi mogliby widzieć, ani ust, by coś wyjaśnić. Praktycznie rzecz biorąc, były to trzy zaokrąglone u szczytu walce, pracowicie, lecz powierzchownie ucharakteryzowane na ludzi. Nie miały żadnych części, za pomocą których mogłyby działać; same były częściami i teraz wykonywały swą jedyną funkcję. Były dokładnymi i przerażającymi odpowiednikami trzech palców gigantycznej dłoni. Zbliżały się miękko i płynnie, najwyraźniej chcąc go wepchnąć głębiej w czarne trzewia statku.

Statku? Carmody ominął całą trójkę i pognał w stronę, z której przybył. Lecz łuk wysunął z góry i z dołu spiczaste zęby, otworzył się trochę szerzej i zaczął zamykać. Jak mogło mu się wydawać, że to metal? Ciemne, lśniące ściany pomarszczyły się i zaczęły zbliżać do siebie. Stopy Carmody'ego grzęzły w lepkim, gąbczastym pokładzie, a trzy palce poruszały się wokół niego, blokując drogę do coraz mniejszego kwadratu dziennego światła.

Carmody bronił się z desperacją muchy schwytej w sieć pająka (porównanie było ściste, lecz zbyt późno przyszło mu do głowy). Walczył dziko i bezskutecznie. Kwadrat światła stał się okrągły, a jego brzegi wilgotne. Nie przekraczał teraz rozmiaru piłki do baseballu. Walce chwyciły go teraz i nie potrafił już ich od siebie odróżnić.

To była ostateczna zgroza; to i fakt, że ściany i sufit

92

statku (czy co to właściwie było) nabrały żywej czerwonej barwy, stały się wilgotne i zbliżały się, by go wchłonąć.

Nie było ratunku. Carmody był bezradny, niezdolny poruszyć się ani krzyknąć, niezdolny do niczego, prócz utraty świadomości.

ROZDZIAŁ XVI

— Jak pan sądzi, doktorze? — głos dobiegał do Carmody'ego jakby z ogromnej odległości. — Da się coś dla niego zrobić?

Rozpoznał ten głos — to mówiła Nagroda.

— Zapłacę za wszystko — odezwał się inny głos. Carmody poznał głos Maudsieya. — **Czy** może pan coś dla niego zrobić?

— Można go uratować — odparł trzeci głos, należący zapewne do doktora. — Medycyna nie uznaje żadnych ograniczeń w możliwym do osiągnięcia, a jedynie w możliwym do zniesienia. Są to jednak ograniczenia pacjentów, nie nasze.

Carmody z wysiłkiem próbował otworzyć oczy lub usta, stwierdził jednak, że jest zupełnie bezwładny.

— Więc to coś poważnego? — spytała Nagroda.

— Na to pytanie trudno odpowiedzieć z pełną precyzją — oświadczył doktor. — Na początek trzeba wyznaczyć kategorie. Na przykład nauki medyczne są o wiele prostsze niż etyka lekarska. My, z Galaktycznego Stowarzyszenia Medycznego, powinniśmy w zasadzie chronić życie; powinniśmy też działać w najlepszym interesie istoty, którą leczymy. Ale co mamy zrobić, gdy te dwa imperatywy są wzajemnie sprzeczne? Uiichi z Devin V, na przykład, szukają pomocy lekarskiej, by wyleczyć się z życia i osiągnąć pożądaną cel: śmierć. To potwornie trudne, możecie mi wierzyć, możliwe jedynie wtedy, gdy Uiichi zestarzeje się i osłabnie. A co ma do powiedzenia etyka na temat niezwykłego przypadku zaprzeczenia normalnym pragnieniom? Czy mamy robić to, czego żądają od nas Uiichi,

93

i popełniać czyny godne potępienia w każdym innym zakątku Galaktyki? **Czy** też działać zgodnie z własnymi normami, skazując ich w ten sposób na los gorszy niż śmierć?

— A co to ma wspólnego z Carmodym? — zdziwił się Maudsiey.

— Niewiele — przyznał doktor. — Sądziłem jednak, że was to zainteresuje i pomoże zrozumieć, dlaczego pobieramy tak wysokie opłaty, jak pobieramy.

— Czy jego stan jest ciężki? — zapytała Nagroda.

— Tylko o umarłym można powiedzieć, że naprawdę jest w ciężkim stanie — oznajmił doktor. — A nawet od tego zdarzają się wyjątki. Na przykład pentathanaluna, zwana przez laików Pięciodniową Odwracalną Śmiercią, w istocie, wbrew szerzonym plotkom, nie jest niczym gorszym od zwykłego przeziębienia.

— Ale co z Carmodym? — usiłował się dowiedzieć Maudsiey.

— Zdecydowanie nie jest martwy — uspokoił go doktor. — Jest po prostu w stanie głębokiego szoku. Mówiąc prościej, że się tak wyrażę, zemdlął.

— Może pan go z tego wyciągnąć? — spytała Nagroda.

— Pytanie zostało niezbyt jasno sformułowane — odparł doktor. — Moja praca jest wystarczająco ciężka nawet bez...

— Chciałam powiedzieć: czy może go pan przywrócić do poprzedniego stanu?

— Cóż, będzie to raczej trudne do spełnienia, co musicie przyznać po pobieżnym choćby rozważeniu tej sprawy. Jaki był jego poprzedni stan? **Czy** któreś z was to wie? **Czy** on sam by wiedział, gdybyśmy jakimś cudem mogli przekonsultować z nim proces leczenia? Jak wśród miliona subtelnych odmian osobowości, trwających czasem nie dłużej niż jedno uderzenie serca, możemy poznać tę najbardziej dla niego charakterystyczną? **Czyż** utracona osobowość nie jest, jak miniona chwila, czymś, co możemy w przybliżeniu, lecz nigdy w pełni odtworzyć? To, moi panowie, są poważne problemy.

94

— Piekielnie poważne — zgodził się Maudsiey. — Przypuśćmy, że doprowadzi go pan do stanu tak bliskiego temu, czym był poprzednio, jak tylko pan potrafi. Czy będzie to bardzo trudne?

— Nie dla mnie — oświadczył doktor. — Dość długo pracuję już w tym zawodzie. Przyzwyczailem się do najstraszliwszych widoków, przywykłem do najbardziej odrażających procedur. Naturalnie, nie znaczy to, że stałem się nieczuły; po prostu smutna konieczność nauczyła mnie nie zwracać uwagi na rozdzierające duszę działania, których wymaga ode mnie moja profesja.

— O rany, doktoru! — zawołała Nagroda. — Co pan chce zrobić z moim kumplem?

— Muszę operować — wyjaśnił doktor. — To jedyna pewna metoda. Przeprowadzę sekcję Cannody'ego (wyrażam się tu językiem laików), po której włożę jego członki i organy do roztworu konserwującego. Potem zmiękcze je rozcieńczonym K-5. Przez rozmaite otwory wyciągnę jego mózg i układ nerwowy. W dalszym ciągu procedury trzeba podłączyć je do ^cyciosymulatora i zwierać synapsy w precyzyjnie wyliczonych odstępach czasu. W ten sposób dowiemy się, czy nie ma jakichś zarwań, blokad, zatorów i tym podobnych. Założmy, że ich nie będzie.

Wtedy rozkładamy mózg, dochodząc wreszcie do punktu styku ciała i umysłu. Usuwamy go bardzo ostrożnie, po czym sprawdzamy wszystkie połączenia wewnętrzne i zewnętrzne. Jeżeli nadal wszystko jest w porządku, otwieramy rezerwuar punktu styku, oczywiście szukając przecieków i sprawdzając poziom świadomości. Jeżeli jest niski lub obniżony (a w przypadkach tego typu prawie zawsze jest), analizujemy pozostałość i tworzymy nowy zapas. Po niezwykle wyczerpujących badaniach włączamy go do rezerwuaru punktu styku. Potem składamy wszystkie części ciała i pacjent może zostać ożywiony za pomocą zyciosymulatora. I to mniej więcej cała procedura.

— Jej! — powiedziała Nagroda. — Psa nie traktowałabym w ten sposób.

— Ja też nie — zgodził się z nią doktor. — W każdym

95

razie póki rasa psów nie wyewoluuje się na wyższy poziom. Czy chcecie, żebym przeprowadził tę operację?

— No cóż... — zastanowiła się Nagroda. — Nie możemy chyba go tak zostawić, kiedy leży nieprzytomny. Prawda?

— Oczywiście, że nie — odrzekł Maudsiey. — Biedak liczył na nas i nie możemy go zawieść. Doktorze, czyń swą powinność!

Carmody przez cały czas walczył ze swym niesprawnym organizmem. Słuchał coraz bardziej przerażony i coraz mocniej przekonany, że jego przyjaciele są w stanie zaszkodzić mu bardziej, niż mogliby to sobie wyobrazić jego wrogowie. Wreszcie tytanicznym wysiłkiem otworzył oczy i oderwał język od podniebienia.

— Żadnych operacji! — wycharczał. — Wytnę ci twoje cholerne serce, jeśli spróbujesz mi zrobić jakąś cholerną operację!

— Odzyskał przytomność — stwierdził z zadowoleniem doktor. — Często, wiecie, wyjaśnienie procedury operacyjnej w obecności pacjenta daje lepszy efekty niż sama operacja. To efekt placebo, oczywiście, ale nie należy go lekceważyć.

Carmody spróbował wstać i z pomocą Maudsieya udało mu się. Po raz pierwszy spojrzął na doktora i zobaczył wysokiego, ponurego mężczyznę, wyglądającego dokładnie tak jak Abraham Lincoln. Nagroda nie była już kociołkiem. Najwyraźniej pod wpływem stresu zmieniła się w skrzata.

— Gdybym był jeszcze potrzebny, to proszę mnie wezwać — powiedział doktor i oddalił się.

— Co się stało? — spytał Carmody. — Ta rakietka, ci ludzie...

— Wyciągnęliśmy cię w ostatniej chwili — poinformowała go Nagroda. — I wiesz co, chłopie? To nie była żadna rakietka.

— Wiem. Co to było?

— To — rzekł Maudsiey — był twój drapieżnik. Wszedłeś mu prosto w paszczę.

— Chyba rzeczywiście — zgodził się Carmody.

96

— A czyniąc to, mogłeś utracić swą jedyną szansę powrotu na Ziemię — dodał Maudsiey. — Chyba lepiej będzie, Carmody, jeśli usiądziesz. Zostało ci tylko kilka możliwości i żadna z nich nie jest szczególnie pociągająca.

Carmody usiadł.

ROZDZIAŁ XVII

Przed wszystkim Maudsiey opowiedział wyczerpująco o drapieżnikach, o ich sposobach życia i postępowania, o przyzwyczajeniach i reakcjach, o drogach i sztuczkach. Było istotne, by Carmody dowiedział się, co i dlaczego mu się przydarzyło, nawet jeśli te wiadomości dotarły do niego po fakcie.

— Zwłaszcza jeśli dotarły po fakcie — wtrąciła Nagroda.

Maudsiey mówił dalej, że tak, jak dla każdego mężczyzny istnieje kobieta, tak każdy żywy organizm ma swego drapieżnika. Wielki Łańcuch Zjadania (poetycki symbol absolutnego dynamizmu życia we wszechświecie) musi się posuwać dla wewnętrznej konieczności, jeśli już nie dla innych powodów. Życie, jakie znamy, wiąże się z tworzeniem, a że tworzenia nie da się wyobrazić bez śmierci...

— Dlaczego tworzenia nie da się wyobrazić bez śmierci? — spytał Carmody.

— Nie zadawaj głupich pytań. Przy czym byłem? Ach tak. Mord jest zatem usprawiedliwiony, choć niektóre

jego formy akceptujemy mniej chętnie niż inne. Stworzenie w warunkach normalnych spożywa inne stworzenia i jest spożywane przez jeszcze inne. Proces ten jest zwykle tak naturalny i prosty, a przy tym pozostaje w tak cudownym stanie równowagi, że drapieżcy i ich ofiary zdradzają wspólną tendencję do ignorowania go przez długie okresy. Poświęcają się za to tworzeniu dzieł sztuki, gromadzeniu orzeszków ziemnych, kontemplacji Absolutu czy czemukolwiek, co dany gatunek uzna za interesujące. I tak być powinno, gdyż Natura (którą możemy personifikować

jako starszą damę ubraną w barwy brunatne i czarne) nie lubi, by jej prawa i reguły były tematem rozmów na każdym cocktail-party, w przepełnionym gnieździe, na konklawe czy gdzie tam chcesz. A ty, Carmody, mimowolnie uciekając od regulatorów i równowagi swej rodzinnej planety, nie uciekłeś jednak przed niewzruszonym Prawem Procesu. Zatem jeśli wśród rozległych przestrzeni kosmosu nie istniał dla ciebie drapieżnik, to trzeba go było znaleźć. A jeśli nie można go było znaleźć, to musiał zostać stworzony.

— No dobrze — powiedział Carmody. — Ale ta rakietka, ci ludzie...

— ...nie byli tym, czym się wydawali — dokończył Maudsiey. — To zapewne jest dla ciebie oczywiste.

— Teraz tak.

— Oni byli w rzeczywistości nim, jednością, istotą stworzoną specjalnie dla ciebie, Carmody. To był twój drapieżnik i niemal klasycznie stosował się do prostych, standardowych Praw Drapieżnictwa.

— Które są? — spytał Carmody.

— Tak, które są — westchnęła Nagroda. — Ślicznie to ująłeś. Możemy wygłaszać tyrady światu i losowi, lecz w końcu pozostaje nam jedynie surowy fakt: Oto są rzecz y, które są.

— To nie był komentarz — zaprotestował Carmody. — To było pytanie. Jakie są te Prawa Drapieżnictwa?

— Och, przepraszam, nie zrozumiałam cię — zmieszła się Nagroda.

— Drobiazg, nie ma o czym mówić.

— Dziękuję.

— Naprawdę drobiazg — powtórzył Carmody. — Nie chciałem... Nie, właśnie chciałem! Jakie są te proste, standardowe Prawa Drapieżnictwa?

— Musisz o to pytać? — spytał Maudsiey.

— Tak, obawiam się, że muszę.

— Kiedy ujmiesz to w formę pytania — rzekł surowo Maudsiey — drapieżnictwo przestaje być proste i standardowe, a nawet jego status, jako prawa, jest wątpliwy.

98

Wiedza o drapieżnictwie tkwi we wszystkich organizmach, jak ręce i nogi, lecz pewniej. Jest bardziej podstawowa od praw nauki, rozumiesz, a zatem nie poddaje się prymitywnym uproszczeniom. Już samo zadanie takiego pytania nakłada surowe ograniczenia na odpowiedź.

— Sądzę jednak, że powinienem dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o drapieżnictwie i drapieżnikach — upierał się Carmody. — Zwłaszcza o moim.

— To prawda. Zdecydowanie powinieneś się dowiedzieć — przyznał Maudsiey. — A raczej powinieneś w i e-dzieć, co w żadnym razie nie oznacza tego samego. Spróbuję jednak.

Energicznie potarł czoło.

— Zjadasz, więc jesteś zjadany — zaczął. — Tyle już wiesz. Ale w jaki sposób zostaniesz zjedzony? Jak masz zostać osaczony, schwytyany, unieruchomiony i spreparowany? Czy podadzą cię na gorąco, czy mile schłodzonego lub w temperaturze pokojowej? Oczywiście, zależy to od gustu tego, który się tobą pożywi. Czy twój drapieżnik skoczy ci na odsłonięty kark z dogodnej wysokości? Wykopie na ciebie dół? Uplecie sieć, wezwie na pojedynek czy zanurkuje wyciągając szpony? To zależy od jego natury, która określa formę i funkcję. Natura ta ograniczona jest i kształtowana przez twoją naturę, a ta z kolei, tak samo jak jego, zależy od wolnej woli. Jest więc całkowicie niezgłębiona. Przejdźmy do szczegółów. Nurkowanie, kopanie i plecenie to formy proste i tracące efektywność, jeśli stosuje się je wobec istoty obdarzonej świadomością lub pamięcią. Jeśli stworzeniu takiemu jak ty, Carmody, uda się raz uniknąć prymitywnego śmiertelnego ataku, to nigdy już nie da się oszukać. Prostota nie należy jednak do metod Natury. Powiedziano już, że ma ona nienaruszalne prawo do iluzji, będących traktami wiodącymi do narodzin i śmierci. Ja na przykład nie zamierzam się z tym spierać. Jeżeli zaś przyjmujemy to twierdzenie, to widzimy jasno, że twój drapieżnik, by schwytać tak złożoną istotę jak ty, musi wykonywać złożone czynności. Można też spojrzeć na ten problem z innej strony. Twój drapieżnik nie powstał

wyłącznie po to, żeby cię zjeść. To prawda, jesteś w jego życiu najważniejszym pojedynczym zjawiskiem,

ale tak samo, jak ty, ma on wolną wolę, nie jest więc ograniczony do prostej logiki wynikającej z funkcji zjadania. Mysz w stodole może uważać, że żyjąca między krokwiemi sowa została pomyślana i stworzona do jedynego celu, jakim jest łowienie myszy. My wszakże wiemy, że sowa ma parę innych spraw na głowie. I tak jest ze wszystkimi drapieżnikami, nie wyłączając twojego. Można wyciągnąć z tego istotny wniosek: każdy drapieżnik jest funkcjonalnie niedoskonały z powodu swojej wolnej woli.

— Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem — stwierdził Carmody. — Czy może mi to pomóc?

— Szczerze mówiąc, nie bardzo. Sądziłem jednak, że mimo wszystko powinieneś o tym wiedzieć. Widzisz, praktycznie rzecz biorąc, może nigdy nie zdołasz wykorzystać niedoskonałości swego drapieżnika. W istocie możesz nawet nigdy się nie dowiedzieć, na czym ta niedoskonałość polega. Jesteś więc w sytuacji owej myszy: możesz znaleźć dziurę, do której uciekniesz, słysząc szum skrzydeł, nigdy jednak nie zdołasz przeanalizować natury, talentów i ograniczeń sowy.

— To cudownie — oznajmił Carmody z gryzącą ironią w głosie. — Przegrałem, zanim jeszcze wszystko się zaczęło. Albo też, używając pańskiej terminologii, jestem już właściwie zjedzony, choć nikt jeszcze nie wbił we mnie widelca.

— Spokój, spokój! — upomniała go Nagroda. — Nie jest aż tak źle.

— Więc jak jest źle? Czy któreś z was powie mi wreszcie coś pożytecznego?

— To właśnie próbujemy robić — rzekł Maudsley.

— No to powiedzcie, jak wygląda ten drapieżnik. Maudsley pokręcił głową.

— To zupełnie niemożliwe. Czy myślisz, że jakkolwiek ofiara może poznać wygląd drapieżnika? Gdyby mogła, stałaby się nieśmiertelna!

— A to wbrew regułom — wtrąciła Nagroda.

— Przynajmniej w przybliżeniu — nalegał Carmody. — Czy zawsze łązi przebrany za statek kosmiczny?

100

— Oczywiście, że nie — powiedział Maudsley. — Z twojego punktu widzenia przypomina raczej kameleona. Słyszałeś kiedy o myszy wchodzącej do paszczy węża lub o musze lądującej na języku żaby? Albo o jelonku przystającym między łapami tygrysa? Oto istota drapieżnictwa! I powinieneś zapytać siebie: co sądziły te oszukane ofiary, że gdzie wchodzi i że co znajduje się przed nimi? Podobnie musisz zapytać, co naprawdę znalazło się przed twoimi oczami, kiedy rozmawiałeś z trzema palcami drapieżnika i szedłeś za nimi wprost do jego paszczy?

— Wyglądały jak ludzie — tłumaczył Carmody. — Ale ciągle nie wiem, jak wygląda drapieżnik.

— Nie ma sposobu, by ci to wyjaśnić — odparł Maudsley. — Informacja o drapieżnikach nie jest łatwa do uzyskania. Są one nazbyt dopełniające wobec swych ofiar. Pułapki i maskowania twojego drapieżnika opierają się na twoich własnych wspomnieniach, marzeniach i fantazjach, nadziejach i pragnieniach. On przejmie twoje skrywane dramaty i odgrywa je dla ciebie, jak niedawno sam miałeś okazję się przekonać. Aby poznać swojego drapieżnika, musisz najpierw poznać siebie. A łatwiej poznać cały wszechświat niż siebie.

— Co mogę zrobić? — zapytał Carmody.

— Ucz się — odrzekł mu Maudsley. — Bądź ciągle czujny, poruszaj się jak najszybciej, nie ufaj nikomu ani niczemu. I nie myśl nawet o odpoczynku, póki nie wrócisz do domu.

— Do domu — westchnął Carmody.

— Tak. Na własnej planecie będziesz bezpieczny. Drapieżnik nie może wtargnąć do twojego legowiska. Będą ci tam zagrażać wszelkie typowe katastrofy, ale przynajmniej tej jednej nie będziesz się musiał obawiać.

— A może mnie pan wysłać do domu? Mówił pan, że pracuje nad maszyną.

— Skończyłem ją — rzekł Maudsley. — Ale musisz zdać sobie sprawę z jej ograniczeń, które są odpowiednikami moich własnych. Moja maszyna przeniesie cię tam, Gdzie jest teraz Ziemia, ale to wszystko, do czego jest zdolna.

101

— Ależ to wszystko, czego mi trzeba! — zawołał Carmody.

— Nie, wcale nie. „Gdzie” to tylko pierwsze G lokacji. Pozostaną ci jeszcze „Kiedy” i „Która”. Jeśli mogę ci coś doradzić, to zabierz się za nie po kolei; używając popularnego powiedzenia, czasowość przed uszczególnieniem. Musisz stąd odejść natychmiast. Twój drapieżnik, którego apetyt tak głupio podrażniłeś, może tu wrócić w każdej chwili. A tym razem mogę mieć mniej szczęścia przy próbie ratunku.

— A jak mnie pan wyciągnął z jego paszczy?

— Szybko zbudowałem przynętę — wyjaśnił Maudsley. — Wyglądała dokładnie tak jak ty, ale zrobiłem ją trochę większą, niż jesteś w rzeczywistości, i dałem jej nieco więcej żywotności. Drapieżnik porzucił cię i śliniąc się

skoczył na nią. Drugi raz jednak nie możemy próbować.

Carmody wolał nie pytać, czy przynęta poczuła ból.

— Jestem gotów — oznajmił. — Ale gdzie się znajdę i co powinno się zdarzyć?

— Lecisz na Ziemię prawie na pewno niewłaściwą. Poślę jednak list do pewnej osoby, którą znam i która jest bardzo sprawna w rozwiązywaniu problemów czasowych. Zajmie się tobą, o ile zdecyduje się przyjąć twoją sprawę. A potem... któż może wiedzieć? **Ciesz** się z tego, co się zdarza, Carmody, i bądź wdzięczny, że w ogóle coś się zdarza.

— Jestem wdzięczny — rzekł Carmody. — Niezależnie od tego, co nastąpi, chcę panu bardzo podziękować.

— Nie ma o czym mówić — stwierdził Maudsiey. — Jeżeli kiedykolwiek wrócisz do domu, to nie zapomnij o mojej wiadomości dla tego staruszka. Wszyscy gotowi? Maszyna jest tutaj obok mnie. Nie miałem czasu, żeby uczynić ją widzialną, ale wygląda prawie dokładnie tak, jak krótkofalowe radio zenith na baterie. Gdzież, u licha, się podziała? A, tu jest. Trzymasz Nagrodę?

— Ja go trzymam — odpowiedziała Nagroda, chwytając obiema rękami lewe ramię Carmody'ego.

— Więc jesteśmy gotowi. Ustawiam tę tarczę tutaj,

102

teraz tę, a teraz te dwie u góry... To przyjemne uczucie, Carmody, znaleźć się poza makrokosmosem, a potem na planecie, nawet jeśli nie jest twoja. Oczywiście nie ma żadnej różnicy jakościowej między atomem, planetą, galaktyką i wszechświatem. Wszystko sprowadza się do kwestii, w jakiej skali żyje ci się najwygodniej. A teraz przesuwam to...

Bum! Puch! Wrrum! Powolne rozplýwanie się, szybkie rozplýwanie się, skokowe rozplýwanie się, elektroniczna muzyka symbolizująca przestrzeń zewnętrzną, przestrzeń zewnętrzną symbolizująca muzykę elektroniczną. Spadające kartki z kalendarza, Carmody wirujący w symulowanej nieważkości. Kotły grzmiące złowieszczą nutą, złowieszczą nuta grzmiąca kotłami, jaskrawe błyski barw, głos kobiety lamentującej w komorze pogłosowej, śmiech dzieci, montaż pomarańczy z Jaffy oświetlonych tak, by przypominały planety, collage systemu słonecznego oświetlonego tak, by przypominał drobne fale w strumyku. Taśma zwalniająca, taśma przyspieszająca, zanikanie, pojawianie się.

To była piekielna podróż, lecz nie było w niej nic, czego Carmody by nie oczekiwał.

Kiedy jest Ziemia?

ROZDZIAŁ XVIII

Gdy tylko transfer się skończył, Carmody zbadał swój stan. Pospieszenie przeprowadzony remanent przekonał go, że nadal ma cztery kończyny, jeden tułów, jedną głowę i jeden umysł. Oczywiście nie sporządził końcowego raportu, lecz wszystko wskazywało, że dotarł w całości. Zauważył też, że nadal ma Nagrodę, którą udało mu się jakoś rozpoznać, mimo jej kolejnej metamorfozy. Tym razem zmieniła się ze skrzata w źle skonstruowaną fujarkę.

— Jak dotąd nieźle — stwierdził Carmody, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Rozejrzał się dookoła.

— Ale nie za dobrze — dodał natychmiast. Przygotowany był na to, że znajdzie się na niewłaściwej Ziemi, nie spodziewał się jednak, że będzie aż tak niewłaściwa.

Stał na podmokłym gruncie u brzegu moczarów. Z nieruchomych brunatnych kałuż podnosiły się mgliste wyziewy; rosły paprocie o szerokich liściach, wąskolistne krzewy i palmy o gęstych koronach. I pojedyncze drzewo dereniowe. Powietrze było ciepłe jak krew i pachnące płodną żyznością i gniciem.

— Może to Floryda? — wyraził nadzieję Carmody.

— Chyba nie — odparła Nagroda, czyli fujarka, niskim, melodyjnym, choć może zanadto wibrującym głosem. Carmody przyjrzał się jej.

- Jakim cudem potrafisz mówić? — zainteresował się.
- Jakim cudem nie zapytałeś mnie o to, kiedy byłam ko-

107

ciółkiem? — odpowiedziała Nagroda. — Ale powiem d, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. O tutaj, wewnątrz ustnika, mam umocowany nabój z CO². Służy mi jako płuca, choć oczywiście tylko przez pewien ograniczony czas. Reszta jest jasna.

Dla Carmody'ego wcale nie była jasna, lecz miał ważniejsze sprawy na głowie.

— Gdzie ja jestem? — zapytał.

— Myjesteśmy — powiedziała Nagroda — na planecie Ziemia. Ten wilgotny kawałek gruntu, na którym stoimy, stanie się w twoim czasie okręgiem Scarsdale New Yorku.

Parsknęła.

— Radziłabym ci kupować już teraz, póki ceny gruntu są niskie.

— W każdym razie to diablo nie przypomina Scarsdale.

— Jasne, że nie. Nawet jeśli chwilowo pozostawimy na boku problem Któryści, to od razu dostrzegamy, że Kiedyność jest całkowicie błędna.

— No więc... Kiedy jesteście?

— Dobre pytanie — pochwaliła Nagroda. — Mogę jednak na nie odpowiedzieć jedynie w przybliżony i mocno ograniczony sposób. Jest w miarę oczywiste, że trafiliśmy w eon phanerozoiczny, który obejmuje szóstą część geologicznego wieku Ziemi. To proste. Lecz w której jego części jesteście, w erze paleozoicznej czy mezozoicznej? Tu muszę zaryzykować zgadywanie. Na podstawie obserwacji klimatu wykluczam cały paleozoik, może z wyjątkiem końca okresu permskiego. Ale chwileczkę! Teraz ten także mogę wykluczyć. Spójrz tam, u góry, trochę w prawo.

Carmody spojrział i zobaczył ptaka o dziwnych kształtach niezdarnie machającego skrzydłami.

— Zdecydowanie archeopteryx — orzekła Nagroda. — Można go poznać od razu po tym, jak jego pióra rozchodzą się na boki od osi. Większość naukowców uznaje go za stworzenie z górnego okresu jurajskiego i kredowego, a z pewnością nie starsze niż trias. Możemy więc wykluczyć cały paleozoik. Jesteśmy niewątpliwie w erze mezozoicznej.

— Niezły kawał w przeszłość, co? — zauważył Carmody.

— Istotnie dość daleko — zgodziła się Nagroda. —

108

Próbujmy dalej. Sądzę, że zdołam określić dokładniej, w jakiej części mezozoiku się znaleźliśmy. Niech chwilę pomyślę. Chwilę pomyślała.

— Tak, chyba już mam. Nie trias. To bagno, obawiam się, jest fałszywym tropem. **Za** to ta okrytozależkowa roślina, kwitnąca tuż koło twojej lewej stopy, nieomylnie wskazuje drogę, to znaczy okres. Lecz nie jest to nasz jedyny dowód. Zauważyłeś to drzewo dereniowe przed tobą? No to odwróć się, a zobaczysz dwie topole i figowiec pośrodku kępy drzew iglastych. Znaczące, co? A spostrzegłeś najistotniejszy szczegół, w twoich czasach tak zwyczajny, że łatwo mogłeś go przegapić? Mówię o trawie, której jest tu mnóstwo. Nie było trawy w okresie jurajskim! Tylko skrzypy i sagowce! To rozstrzyga sprawę, Carmody! Stawiam oszczędności całego życia na to, że jesteście w kredzie, i to prawdopodobnie niezbyt daleko od jej górnej granicy.

Carmody mgliście tylko przypominał sobie geologiczne okresy Ziemi.

— W kredzie — mruknął. — Jak to daleko od moich czasów?

— Och, jakieś sto milionów lat z dokładnością do paru milionów — odrzekła Nagroda. — **Okres** kredowy trwał siedemdziesiąt milionów lat.

Przyswojenie tego faktu nie sprawiło Carmody'emu najmniejszych problemów, gdyż nawet nie próbował.

— Skąd masz tyle wiadomości z geologii? — zapytał Nagrodę.

— A jak myślisz? — odparła. — Studiowałam. Zdawało mi się, że skoro wyruszamy na Ziemię, to lepiej będzie, jeśli się czegoś o niej dowiem. I dobrze, że to zrobiłam. Gdyby nie ja, to łaźlibyś w kółko, szukał Miami Beach i pewnie skończył w brzuchu allozaura.

— W czym?

— Mówię — poinformowała Nagroda — o jednym z paskudniejszych przedstawicieli rządu Saurischia, którego odgałęzienie, Sauropoda, osiągnęło kulminację w powszechnie znanym brontozaurze.

— Chcesz powiedzieć, że tu są dinozaury?

109

— Chcę powiedzieć — odparła Nagroda w *obligatio* — że jesteście w jedynej i oryginalnej Dolinie Dinozaurów.

Korzystając z okazji pragnę cię powitać w Wieku Gigantycznych Gadów.

Carmody wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Zauważył jakiś ruch z lewej strony i obejrzał się. Zobaczył dinozaura. Wyglądał na jakieś dwadzieścia stóp wysokości, a od czubka nosa do końca ogona mógł mieć z pięćdziesiąt stóp. Poruszał się na tylnych łapach w pozycji wyprostowanej. Był barwy szaroniebieskiej i kroczył prędko w stronę Carmody'ego.

— **Czy** to tyranozaur? — zapytał Carmody.

— Tak jest — potwierdziła Nagroda. — Tyran-nosaurus **Rex**, najgroźniejszy przedstawiciel rządu Saurischia. Prawdziwy deinodont, zauważ, z górnymi siekaczami długości pół stopy. Ten młodzik, który się do nas zbliża, musi ważyć ponad dziewięć ton.

— I je mięso — powiedział Carmody.

— Oczywiście. Prywatnie uważam, że tyranozaurowi i inne kamozaury tego okresu żywiły się głównie nieszkodliwymi i powszechnie spotykanymi hadrozaurami. Ale to tylko taka moja teoryjka.

Olbrzymie zwierzę było już niecałe pięćdziesiąt stóp od nich. Na płaskim podmokłym terenie ucieczka była niemożliwa. Nie było nic, na co można by się wspiąć, nie było jaskini, w której można by się ukryć.

— Co powinienem zrobić?

— Musisz zmienić się w roślinę. Szybko — ponagliła Nagroda.

— Ale ja nie potrafię!

— Nie potrafisz? Więc twoja sytuacja jest naprawdę poważna. Niech pomyślę. Nie umiesz latać ani ryc w ziemi i stawiam dziesięć do jednego, że go nie prześcigniesz. Hmm, sprawa się komplikuje.

— Więc co robić?

— Cóż, w danych okolicznościach sądzę, że powinieneś przyjąć to ze stoicyzmem. Mogę ci zacytować Epictetusa. I możemy zaśpiewać razem jakiś hymn, jeśli ci to pomoże.

— Do diabła z twoimi hymnami! Chcę wyjść z tego cało!

110

Lecz fujarka zaczęła już grać: „Zbliżam się do ciebie, Panie”. Carmody zacisnął pięści. Tyranozaur stał przed nim niby zbudowany z mięsa żywy dźwięk. Otworzył swą przerażającą paszczę.

ROZDZIAŁ XIX

— Cześć — powiedział tyranozaur. — Jestem Emie i mam sześć lat. A jak ty się nazywasz?

— Carmody — powiedział Carmody.

— A ja jestem jego Nagrodą — powiedziała Nagroda.

— Wyglądacie oboje bardzo dziwnie — stwierdził Emie. — Nie przypominacie nikogo, kogo znam, a znam dimetrodona, struthiomimusa, scolozaura i dużo innych. Czy mieszkacie niedaleko?

— Mniej więcej — potwierdził Carmody. I zaraz potem uświadomił sobie liniowy wymiar czasu, więc dodał: — Ale tak naprawdę, to niezupełnie.

— Och — rzekł Emie. Przyglądał im się po dziecinnemu i milczał. Carmody też mu się przyglądał zafascynowany olbrzymim groźnym łbem, większym niż automat z coca--colą albo beczka piwa, z wąskimi ustami, z których, niby rzędy sztyletów, sterczały zęby. Doprawdy przerażające! Jedyne oczy — okrągłe, łagodne, niebieskie i ufne — przeczyły groźnemu wyglądowi dinozaura.

— No więc... — odezwał się w końcu Emie. — Co robicie tu, w parku?

— To jest park? — zdziwił się Carmody.

— Pewno, że park — potwierdził Emie. — Park dla dzieci. A ty chyba nie jesteś dzieckiem, chociaż jesteś bardzo mały.

— Masz rację, nie jestem dzieckiem — przyznał Carmody. — Trafiłem do waszego parku przez pomyłkę. Myślę, że będzie lepiej, jeśli porozmawiam z twoim ojcem.

— Dobra — zgodził się Emie. — Wejdz mi na grzbiet, to cię do niego zabiorę. A nie zapomnij, że to ja cię znalazłem. I zabierz swojego kolegę. On jest naprawdę dziwny!

Carmody wsunął do kieszeni Nagrodę i wspinał się na tyranozaura, bez trudu znajdując chwyt dla stóp i rąk między fałdami twardej jak żelazo skóry Emiego. Kiedy tylko ulokował się bezpiecznie na szyi dinozaura, ten zawrócił i długimi susami ruszył na południowy zachód.

— Gdzie jedziemy? — zapytał Carmody.

— Zobaczyć się z moim tatą.

— No tak, ale gdzie jest twój tata?

— W mieście, w pracy. Gdzie jeszcze mógłby być?

— No pewnie, gdzieżby jeszcze — zgodził się Carmody, chwytając się mocniej, jako że Emie przeszedł do galopu.

— To bardzo dziwne — odezwał się z kieszeni Carmody'ego stłumiony głos Nagrody.

— W tej okolicy to ty jesteś dziwna — przypomniał jej Carmody. Po czym rozsiadł się wygodnie, by w pełni rozkoszować się przejażdżką.

Nie nazywali tego Doliną Dinozaurów, ale Carmody nie potrafił inaczej o tym myśleć. Leżało jakieś dwie mile od parku. Najpierw dotarli do drogi, a właściwie szerokiego traktu, udeptanego do twardości betonu przez stopy niezliczonych dinozaurów. Ruszyli nim mijając mnóstwo hadrozaurów, drzemających pod wierzbami na poboczu, a czasem nucących coś niskimi, przyjemnymi głosami. Carmody zapytał o nie, lecz Emie poinformował tylko, że zdaniem ojca są one poważnym problemem.

Droga wiodła wśród zagajników buków, klonów, wawrzynów i ostrokrzewów. W każdym z nich krzątało się pod gałęziami około tuzina dinozaurów, rozgrzebując ziemię albo wynosząc śmieci. Carmody spytał, co właściwie robią.

— Sprzątają — wyjaśnił lekceważącym tonem Emie. — Gospodynie nigdy nie robią nic innego.

Dotarli do wyniesionego *plateau*. Pozostawili za sobą ostatni pojedynczy zagajnik i zagłębili się w las.

Las wyraźnie nie wyrósł w tym miejscu w sposób naturalny i wykazywał wiele cech uprawy celowej. I to bardzo starannej. Na zewnątrz rósł szeroki pas figowców, drzew chlebowych, leszczyn i orzechowców, potem kilka

112

równych rzędów wysokich wąskopiennych ginkgo, a dalej już tylko sosny i od czasu do czasu świerk.

W miarę jak wchodzili coraz głębiej w las, wokół pojawiało się więcej i więcej dinozaurów. W większości były to theropody — mięsożerne tyranozaurowe, takie jak Emie. Nagroda jednak zauważyła kilka omithopodów i odgałęzienie ceratopsia reprezentowane przez dosłownie setki tricera-topsów z potężnymi rogami. Prawie wszystkie cwałowały między drzewami. Ziemia drżała pod ich stopami, drzewa dygotały, a chmury kurzu wznosiły się w powietrze. Bok ocierał się o pancerny bok, unikano zderzeń jedynie dzięki szybkim zwrotom, nagłym hamowaniom i ostrym przyspieszeniom. Było wiele krzyku na temat pierwszeństwa przejazdu. Widok kilku tysięcy dinozaurów był niemal równie przerażający, jak ich zapach, który zwałzał z nóg.

— Jesteśmy — oznajmił Emie i zahamował tak gwałtownie, że Carmody z trudem utrzymał się na jego grzbiecie. — Tu pracuje mój tata.

Carmody rozejrzył się i stwierdził, że Emie dowiózł go do niewielkiego zagajnika sekwoi. Wielkie drzewa tworzyły jakby oazę w sercu lasu. Dwa czy trzy dinozaury spacerowały wśród nich powolnym, niemal ospałym krokiem, całkowicie ignorując zamieszanie rozgrywające się o pięćdziesiąt jardów dalej. Carmody zdecydował, że może zejść bezpiecznie nie ryzykując stratowania, i ostrożnie zsunął się z grzbietu tyranozaura.

— Tatu! — zawołał Emie. — Hej, tatu, zobacz, co znalazłem, popatrz, tatu!

Jeden z gadów spojrzał na niego. Był to tyranozaur, trochę większy niż Emie, z białymi prążkami na błękitnej skórze. Oczy miał szare i przekrwione.

— Ile razy — zapytał — prosiłem cię, żebyś tu nie przybiegał?

— Przepraszam, tatusiu. Ale zobacz, co znalazłem...

— Zawsze tylko przepraszasz — stwierdził tyranozaur. — Ale nigdy nie przyjdzie ci do głowy, żeby zmienić swoje zachowanie. Rozmawiałem o tym z twoją matką, Emie, i ona się ze mną zgadza. Żadne z nas nie ma ochoty zajmować się wychowaniem niewdzięcznego i wyszcze-

8 — Wymiar cudów

113

nego impertynenta, zachowującego się gorzej od bron-tozaura. Kocham cię, synu, ale musisz się nauczyć...

— Tato! Może zostaw na razie to kazanie i popatrz, spójrz tylko, co znalazłem!

Starszy tyranozaur zamknął paszczę i poruszył groźnie ogonem, lecz pochylił łeb w kierunku wskazywanym przez wyciągniętą łapę syna i zobaczył Carmody'ego.

— Na mą duszę! — wykrzyknął.

— Dzień dobry panu — powiedział Carmody. — Nazywam się Thomas Carmody i jestem istotą ludzką. Nie

sądzę, by aktualnie byli na Ziemi jacyś inni ludzie albo choćby jakieś naczelne. Trochę trudno wytłumaczyć, jak tu trafiłem, ale przybywam w pokoju i... i takie tam *rzeczy* — dokończył nieco niezrozumiale.

— Fantastyczne! — orzekł ojciec Emiego. Obejrzał się. — Baxley! Czy widzisz to samo, co ja widzę? Czy słyszysz to, co ja słyszę?

Baxley był tyranozaurom mniej więcej w tym samym wieku co ojciec Emiego.

— Widzę, Borg — powiedział. — Ale nie wierzę.

— Mówiący ssak! — zawołał Borg.

— Dalej nie wierzę — oświadczył Baxley.

ROZDZIAŁ XX

Akceptacja idei mówiącego ssaka przyszła Borgowi z większą trudnością niż Carmody'emu uznanie idei mówiącego gada. W końcu jednak zaakceptował ją. Jak zauważyła później Nagroda, nic bardziej niż zaistnienie faktu nie skłania do wiary w możliwość jego zaistnienia.

Poszli do biura Barga, które mieściło się pod sklepieniem zielonego listowia wierzby płaczącej. Tam usiedli, odchrząknęli i starali się wymyślić, co by tu powiedzieć.

— A więc — odezwał się w końcu Borg — jesteś obcym ssakiem z przyszłości?

— Tak się zdaje — potwierdził Carmody. — A ty jesteś miejscowym gadem z przeszłości.

114

— Nigdy o tym w taki sposób nie myślałem — zastanowił się Borg. — Ale tak, sądzę, że masz rację. Mówiłeś, że z jak dalekiej przyszłości pochodzisz?

— Sto milionów lat, mniej więcej.

— Ha, to istotnie sporo czasu.

— Rzeczywiście dość długo — zgodził się Carmody. Borg kiwnął głową i zaczął coś melodyjnie nucić. Dla Carmody'ego było oczywiście, że nie wie, co powiedzieć. Borgowi trudno byłoby coś zarzucić; był gościnnie, lecz przywiązany do swego trybu życia; żaden mówca, po prostu solidny, nudny, drobnomieszczański tyranozaur.

— No tak — powiedział, gdy zbyt długa cisza stawała się nieprzyjemna. — A jak tam jest w przyszłości?

— Słucham?

— No, jaka jest ta przyszłość?

— Bardzo zabiegana — odrzekł Carmody. — Zaaferowana. Masa nowych wynalazków i sporo zamieszania.

— Tak, tak — mruknął Borg. — Bardzo przypomina to, co przepowiada u nas paru chłopaków z silnie rozwiniętą wyobraźnią. Niektórzy z nich przewidzieli nawet ewolucyjną przemianę ssaków, która czyni ich rodzajem dominującym na Ziemi. Ja osobiście zawsze uważałem tę teorię za śmieszna i naciągana.

— Z pewnością musiała się taka wydawać — przyznał Carmody.

— A więc w y jesteście gatunkiem dominującym?

— No... j e d n y m z gatunków dominujących.

— Ale co się stało z gadami? Żeby wyrażać się bardziej szczegółowo: jak radzą sobie w przyszłości tyranozaurowi?

Carmody nie miał serca ani odwagi, by powiedzieć mu, że dinozaury doszczętnie wymarły, i to jakieś siedemdziesiąt milionów lat wcześniej, a gady w ogóle odgrywały raczej mało znaczącą rolę na scenie życia.

— Twoja rasa radzi sobie dokładnie tak, jak można by się po niej spodziewać — odpowiedział wykrętnie, niczym Pytia.

— To dobrze. Wiedziałem, że tak będzie — stwierdził Borg. — Rozumiesz, jesteśmy solidną rasą, a większość

115

z nas posiada siłę woli i zdrowy rozsądek. Czy koegzystencja ludzi i gadów sprawia dużo kłopotów?

— Nie, **niedużo**.

— Miło to słyszeć. Bałem się, że dinozaury zaczną się może wywyższać ze względu na swoją wielkość.

— Nie, nie — zaprzeczył Carmody. — Wydaje mi się, że w imieniu ssaków przyszłości mogę oświadczyć, iż wszyscy lubią dinozaury.

— Ładnie z twojej strony, że to powiedziałeś. Carmody mruknął coś niewyraźnie. Nagle zrobiło mu się wstyd.

— Dinozaury nie muszą lękać się przyszłości — stwierdził Borg, wpadając w górnolotny ton poobiedniego mówcy. — Lecz nie zawsze tak było. Nasz wymarły przodek allozaur był, jak się zdaje, nieokrzesanym brutalem i strasznym żarłokiem. Jego zaś przodek, ceratozaur, był karłowatym kamozaurem. Sądząc po rozmiarach jego puszek mózgowych, musiał być niezwykle głupi. Naturalnie w minionych wiekach żyły także inne kamozaury, a jeszcze wcześniej musiało istnieć brakujące ogniwo: odległy przodek, z którego rozwinęły się zarówno czworonogie jak i dwunogie dinozaury.

— Dwunogie są dominujące, oczywiście — wtrącił Carmody.

— Oczywiście. Triceratopsy to tępe i dzikie stworzenia. Utrzymujemy niewielkie stada, bo ich mięso świetnie pasuje do steku brontozaura. Naturalnie, istnieją różne gatunki. Wjeżdżając do miasta zauważyłeś zapewne sporo had-rozaurów.

— Istotnie — potwierdził Carmody. — Śpiewały.

— One zawsze śpiewają — rzekł surowym tonem Borg.

— Zjadacie je?

— Wielkie nieba, nie! Hadrozaury są inteligentne! Poza tyranozaurami to jedyne inteligentne stworzenia na tej planecie.

— Twój syn mówi, że są poważnym problemem.

— Owszem, są — oświadczył z lekka wyzywająco Borg.

— A dlaczego?

— Są leniwe. A także ponure i zgryźliwe. Wiem, co

116

mówię, zatrudniałem hadrozaury jako służbę. Nie mają żadnych ambicji, pędu, uporu. Co drugi nie wie, z czyjego jaja się wykluł, i wydaje się, że wcale się tym nie przejmują. A kiedy rozmawiają, to nie patrzą prosto w oczy.

— Ale śpiewają dobrze — zauważył Carmody.

— A tak, śpiewają dobrze. Kilku naszych najlepszych piosenkarzy to hadrozaury. Nieźle też sobie radzą z ciężkimi konstrukcjami, o ile pracują pod nadzorem. Oczywiście, ich wygląd działa mocno na ich niekorzyść. Te dziobate gęby... No, ale na to nic nie mogą poradzić. **Czy** problem hadrozaurów zostanie w przyszłości rozwiązany?

— Został rozwiązany — oświadczył Carmody. — Ich gatunek wymarł.

— To chyba najlepsze — orzekł Borg. — Tak, naprawdę uważam, że to najlepsze, co mogło się zdarzyć.

Carmody i Borg rozmawiali jeszcze przez kilka godzin. Carmody poznał problemy miejskiego życia gadów. Lasy--miasta były coraz bardziej zatłoczone, gdyż coraz więcej tyranozaurów i hadrozaurów porzucało wieś, by zażyć rozkoszy cywilizacji. Poważny problem ruchu drogowego pojawił się w czasie ostatnich pięćdziesięciu lat. Gigantyczne Saurischia lubiły podróżować i szczyliły się swym szybkim refleksem. Ale gdy parę tysięcy dinozaurów gna o tej samej porze przez las, to wypadki muszą się zdarzać. Często są poważne — kiedy dwa gady ważące po czterdzieści ton zderzają się czołowo, na ogół kończy się to skręceniem karków.

Oczywiście nie były to jedyne problemy. Zatłoczone miasta stały się symptomem wybuchowego przyrostu liczby urodzeń. Saurischia w wielu częściach świata przymierały głodem. Choroby i wojny przyczyniały się do zmniejszenia ich liczebności, lecz to nie wystarczało.

— Takie to mamy kłopoty, a także wiele innych — mówił Borg. — Część z naszych najświetniejszych umysłów wpadła w rozpacz. Ja jednak żywię więcej optymizmu. My, gady, widywałyśmy już ciężkie czasy i przeżyłyśmy je. Rozwiążemy nasze problemy tak, jak rozwiązywałyśmy dotychczas. Moim zdaniem, w naszej rasie jest jakaś

117

wrodzona szlachetność, jakaś iskra inteligentnego, niepokonanego życia. Nie uwierzę, by mogła kiedyś zgasnąć. Carmody pokiwał głową.

— Twój lud przetrwa — oświadczył. Naprawdę nie miał innego wyjścia, mógł tylko kłamać jak džentelmen.

— Wiedziałem — stwierdził Borg. — Ale to zawsze przyjemnie otrzymać potwierdzenie. A teraz przypuszczam, że chciałbyś porozmawiać ze swoimi przyjaciółmi.

— Jakimi przyjaciółmi? — zdziwił się Carmody.

— Mówię o ssaku, który stoi dokładnie za twoimi plecami — wyjaśnił Borg.

Carmody obejrzał się nerwowo i zobaczył niskiego grubego mężczyznę w okularach i ciemnym garniturze, z parasolem i teczką pod pachą.

— Pan Carmody? — zapytał.

— Tak, to ja.

— Nazywam się Surtees i jestem z Urzędu Podatkowego. Nieźle musieliśmy się za panem nagonić, panie

Carmody, ale Urząd zawsze w końcu znajduje tego, kogo szuka.

— To nie moja sprawa — powiedział Borg i wyszedł, niezwykle cicho, jak na tak wielkiego tyranozaura.

— Ma pan niezwykle znajomych — stwierdził pan Surtees spoglądając za oddalającym się Borgiem. — No, ale to nie mój interes, choć może zainteresuje się tym FBI. Jestem tu wyłącznie w związku z pańskimi oświadczeniami podatkowymi z lat 1965 i 1966. Mam w teczce nakaz ekstradycji i sądzę, że uzna go pan za prawomocny. Zaparkowałem maszynę czasu przy tamtym drzewie. Proponuję, by bez hałasu poszedł pan ze mną.

— Nie — rzekł Carmody.

— Proszę się zastanowić — powiedział Surtees. — Sprawa pańska może się zakończyć w sposób satysfakcjonujący wszystkich zainteresowanych, musi jednak być rozwiązana natychmiast. Rząd Stanów Zjednoczonych nie lubi czekać. Odmowa wykonania wyroku Sądu Najwyższego...

— Powiedziałem, że nie! — powtórzył Carmody. — Może pan sobie iść. Wiem, kim pan jest.

Gdyż bez żadnych wątpliwości był to jego drapieznik.

118

Jego maskowanie jako urzędnika podatkowego było nader niedbałe. Teczka i parasol były zrośnięte z lewą ręką. Rysy twarzy miał normalne, lecz zapomniano o uchu. A co najgorsze, kolana zginały się do tyłu.

Carmody odwrócił się i odszedł. Drapieznik stał jeszcze przez chwilę, zapewne niezdolny do pościgu, po czym wydał pojedynczy ryk wściekłości i głodu. A potem zniknął.

Carmody nie miał jednak czasu, by ucieszyć się swym sukcesem, ponieważ w chwilę później on sam zniknął także.

ROZDZIAŁ XXI

— Proszę, proszę wejść.

Carmody zamrugał oczami. Nie wymieniał już poglądów z dinozaurem z okresu kredowego. Był gdzie indziej. Znalazł się w niewielkim odrapanym pomieszczeniu. Kamienna podłoga chłodziła mu stopy, a płomienie świec drżały niespokojnie w przeciągu.

Za wysokim biurkiem z żaluzjowym zamknięciem siedział mężczyzna z długim nosem sterczącym z kościstej twarzy. Miał zapadnięte oczy i pieprzyk na lewym policzku, a wargi wąskie i bezkrwiste.

— Jestem Czcigodny Clyde Beedle Seethwright. A pan, naturalnie, jest Carmodym, którego sprawę tak uprzejmie polecił nam pan Maudsiey. Proszę, niechże pan usiądzie. Mam nadzieję, że pańska podróż z planety pana Maudsieya minęła bez przeszkód?

— Jak najbardziej — przytaknął Carmody i usiadł. Wiedział, że to niewdzięczność, ale nieoczekiwane przeskokki zaczynały go już męczyć.

— A jak się miewa pan Maudsiey? — zapytał rozpromieniony Seethwright.

— Znakomicie — odparł Carmody. — Gdzie ja jestem?

— Czy kancelista nie wyjaśnił panu, kiedy pan tu wchodził?

— Nie widziałem żadnego kancelisty. Nie zauważyłem też, żebym tu wchodził.

119

— Ojej — powiedział Seethwright i cmoknął cicho. — Pokój przyjęć znów musiał wypaść z fazy. Naprawiałem go już z dziesięć razy, ale ciągle jeszcze się desynchronizuje. To dokuczliwe dla moich klientów, a jeszcze bardziej dla mojego biednego kancelisty, który defazuje się razem z pokojem i czasem przez cały tydzień nie może zobaczyć się z rodziną.

— To rzeczywiście przykre — zgodził się Carmody, czując, że za moment dostanie histerii. — Gdyby pan zechciał — dodał, starając się zapanować nad swoim głosem — to proszę zwyczajnie powiedzieć, co to za miejsce i jak mianowicie mam się stąd dostać do domu.

— Proszę się uspokoić. Może herbaty? — zaproponował Seethwright. — Nie? To „miejsce”, jak się pan wyraził, jest Galaktycznym Biurem Umiejscawiania. Nasz akt rejestracji wisi na ścianie, gdyby chciał się pan z nim zapoznać.

— Jak się tu dostałem? — spytał Carmody. Seethwright uśmiechnął się i złożył dłonie końcami palców.

— Bardzo prosto. Gdy tylko otrzymałem list pana Maudsieya, nakazałem przeprowadzenie poszukiwań. Kancelista znalazł pana na Ziemi B3444123C22. Najoczywiej nie było to dla pana właściwe miejsce, pozwoliłem więc sobie na przetransportowanie pana tutaj. Jeśli jednak życzy pan sobie wrócić na wyżej wzmiankowaną Ziemię...

— Nie, nie — przerwał mu Carmody. — Zastanawiałem się tylko, w jaki sposób... Chodzi o to, że, jak pan powiedział, to jest Biuro Umiejscawiania. Tak? — Galaktyczne Biuro Umiejscawiania — poprawił uprzejmie Seethwright.

— Tak jest. A więc nie jestem na Ziemi?

— Istotnie nie. Albo, żeby być bardziej dokładnym, nie znajduje się pan na żadnym z możliwych, prawdopodobnych, potencjalnych czy chwilowych światów konfiguracji Ziemi.

— Świetnie — stwierdził Carmody. Dyszał ciężko. — A teraz proszę powiedzieć, panie Seethwright, czy pan był kiedykolwiek na którejkolwiek z tych Ziemi?

— Obawiam się, że nie miałem tej przyjemności. Moja

120

praca, widzi pan, nie pozwala mi na dłuższe wyja/d>, a wakacje spędzam z rodziną w moim domku w...

— Właśnie! — huknął nagle Carmody. — Nigdy pan nie był na Ziemi, a w każdym razie tak pan twierdzi! A więc dlaczego, na miłość boską, siedzi pan w tym cholernym pokoju wyjętym prosto z Dickensa, do tego ze świecami i w cylindrze? Co? Ciekaw jestem, co pan na to odpowie, bo ja już znam pańską cholerną odpowiedź. Jakiś sukinsyn wsypał mi gdzieś narkotyki i przyśnił mi się ten cały bajzel łącznie z tobą, ty końska mordo!

Carmody opadł na krzesło sapiąc jak maszyna parowa i spoglądając tryumfalnie na Seethwrighta. Spodziewał się, że wszystko zacznie się teraz rozplątać, że zaczną pojawiać się i znikać dziwaczne kształty i że w końcu obudzi się we własnym łóżku albo może w łóżku kolegi, a nawet w szpitalnym.

Nic się nie stało. Poczucie tryumfu Carmody'ego zaczęło znikać, a on sam poczuł się bardzo zakłopotany. Nagle jednak był zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować.

— **Czy** skończył pan już swój wybuch? — spytał chłodno Seethwright.

— Tak, skończyłem — odparł Carmody. — Przepraszam.

— Proszę się nie przejmować — powiedział spokojnie Seethwright. — Ostatnio żył pan w dużym napięciu psychicznym. Rozumiem to. Lecz jeśli się pan nie opanuje, to nie będę mógł panu pomóc. Inteligencja może pana zaprowadzić do domu, za to gwałtowne porywy emocjonalne prowadzą donikąd.

— Naprawdę bardzo przepraszam — powtórzył Carmody.

— Co do tego pokoju, którego wystrój, zdaje się, tak mocno panem wstrząsnął, to udekorowałem go specjalnie dla pana. **Okres** określiłem jedynie w przybliżeniu, lec/najlepiej, jak potrafiłem w tak krótkim czasie. Chciałem, by czuł się pan tu jak w domu.

— To bardzo uprzejmie z pana strony — stwierdził Carmody. — Pański wygląd, jak sądzę...

— Dokładnie tak — uśmiechnął się Seethwright. —

121

Siebie również udekorowałem, tak jak i pokój. To doprawdy żaden kłopot. Drobiazg, lecz odpowiada to wielu naszym klientom.

— Mnie także odpowiada, jeśli mam być szczerzy — zapewnił Carmody. — Teraz, kiedy się przyzwyczaiłem, wydaje mi się to bardzo kojące.

— Miałem nadzieję, że tak będzie — rzekł Seethwright. — Jeśli natomiast idzie o pańską sugestię, że wszystko, co się panu przytrafiło, jest snem... no cóż, nie jest ona zupełnie bez wartości.

— Naprawdę?

Seethwright energicznie kiwnął głową.

— Zdecydowanie posiada pewien walor jako sugestia, nie ma jednak wartości jako opis pańskiej sytuacji.

— Och — powiedział Carmody i wyprostował się na krześle.

— Wyrażając się ściśle — kontynuował Seethwright — nie ma istotnej różnicy pomiędzy wyobrażonymi a rzeczywistymi zdarzeniami. Przeciwność, której istnienie między nimi pan zakłada, jest wyłącznie werbalna. Nie śni pan tego wszystkiego, panie Carmody; wspominam o tym jednak tylko jako o informacji marginalnej. Nawet gdyby to się panu śniło, musiałby pan postępować dokładnie tak samo.

— Nic z tego nie. rozumiem — oświadczył Carmody. — Niemniej wierzę panu na słowo, że to rzeczywistość.

Zawahał się, po czym dodał:

— Czego jednak naprawdę nie rozumiem, to d l a c z e g o wszystko tak właśnie wygląda. Wie pan. Centrum Galaktyczne przypominało trochę Radio City, a ten dinozaur Borg nie mówił tak, jak powinien mówić jakikolwiek dinozaur, nawet mówiący i...

- Niech się pan nie denerwuje — przerwał mu Seethwright.
- Przepraszam.
- Chce pan, żebym panu wyjaśnił, dlaczego rzeczywistość jest taka, jaka jest — stwierdził Seethwright. — Ten

122

fakt nie ma wytłumaczenia. Po prostu musi pan się nauczyć dostosowywać swoje uprzedzenia i sądy do tego, co pan znajduje. Nie można oczekiwać, by rzeczywistość dopasowała się do pana, a w każdym razie niezwykle rzadko. Nie można też nic poradzić na to, że coś wydaje się dziwne. Tak samo jak i na to, że coś wydaje się znajome. Czy wyrażam się jasno?

- Chyba tak — przyznał Carmody.
- Znakomicie. Na pewno nie chce pan herbaty?
- Nie, **dziękuję**.
- Zatem zajmujemy się dostarczeniem pana do domu. Nic tak nie podnosi na duchu, jak kochane stare kąty, co?
- Absolutnie nic — zgodził się Carmody. — **Czy** to będzie bardzo trudne, panie Seethwright.
- Nie. Nie sądzę, by trudne było właściwym słowem — stwierdził Seethwright. — **Rzecz** będzie skomplikowana, oczywiście, wymagająca precyzji, a nawet nieco ryzykowna. Nic jednak z tego nie wydaje mi się trudne.
- A co wydaje się panu naprawdę trudne? — zainteresował się Carmody.
- Rozwiązywanie równań kwadratowych — odparł bez wahania Seethwright. — Po prostu nie mogę sobie z nimi poradzić, choć próbowałem już z milion razy albo i więcej. Tak, drogi panie, to jest prawdziwa trudność! A teraz wróćmy do pańskiego przypadku.
- Czy wie pan, gdzie jest Ziemia? — spytał Carmody.
- „Gdzie” nie stwarza problemów — wyjaśnił Seethwright. — Był pan już w „Gdzie”, lecz niewiele panu z tego przyszło, jako że „Kiedy” było zbyt daleko od celu. Sądzę jednak, że teraz już bez większego wysiłku zdołam trafić w pańskie szczególne „Kiedy”. Natomiast „Która” sprawia mi kłopoty.
- Czy są nie do pokonania?
- Ależ skąd! Musimy po prostu odszukać Którą, do której pan należy. **Rzecz** jest absolutnie prosta. Niczym trafienie rybą do beczki, jak powiedzieliby pańscy ziomkowie.

123

- Nigdy tego nie próbowałem — przyznał się Carmody. — Czy to naprawdę takie łatwe?
- Zależy od rozmiarów ryby i rozmiarów beczki — wyjaśnił Seethwright — Na przykład wpakowanie rekina do wanny prawie nie wymaga wysiłku, podczas gdy wrzucenie płotki do barylki jest już dość poważnym przedsięwzięciem. Skala decyduje o wszystkim. Niezależnie jednak od tego, która z tych rzeczy pana czeka, potrafi pan chyba dostrzec jasność i prostotę samej idei.
- Przypuszczam, że tak — przytaknął Carmody. — Choć boję się, że moje poszukiwania Której Ziemi, choć jasne i proste, mogą także okazać się niewykonalne ze względu na nieskończoność ciągu wyborów.
- Nie całkiem to prawdziwe, ale ładnie powiedziane — rozpromienił się Seethwright. — Komplikacja, wie pan, często bywa pożyteczna. Pomaga wyspecyfikować i określić problem.
- A więc... co teraz?
- Teraz bierzemy się do roboty. — Seethwright energicznie zatarł ręce. — Moi ludzie i ja dobraliśmy zestaw Których-światów i wierzymy, że wśród nich jest pański. Lecz naturalnie tylko pan potrafi go wskazać.
- Mam więc je przejrzeć i zdecydować? — zapytał Carmody.
- Coś w tym rodzaju — potwierdził Seethwright. — W istocie musi pan ich doświadczyć. Gdy tylko uzyska pan pewność, poinformuje nas pan, czy trafiliśmy we właściwy świat, czy w jego wariant. Jeśli nie właściwy, to na tym kończymy sprawę, a jeśli nie, to przenosimy pana do kolejnego Którego-świata.
- To brzmi całkiem rozsądnie — przyznał Carmody. — A dużo jest tych prawdopodobnych światów?
- Nieskończenie wiele, jak pan już wcześniej podejrzewał. Mamy jednak nadzieję na szybki sukces. Chyba, że...
- Chyba, że co?
- Chyba, że pański drapieźnik złapie pana wcześniej.
- Mój drapieźnik!

124

— Wciąż jest na pańskim tropie — przypomniał Seethwright. — A jak pan już pewnie zauważył, jest dość biegły w zastawianiu pułapek. Pułapki te przybierają formy scen wyjętych z pańskiej pamięci. Owe sceny „ziemio-kształtne”, jak można by je nazwać, dobrane są tak, by pana uspokoić, oszukać i przekonać, żeby, niczego nie podejrzewając, wszedł pan do jego paszczy.

— **Czy** on będzie obecny w pańskich światach?

— Naturalnie — przytaknął Seethwright. — Światy objęte poszukiwaniem to nie żadne sanktuarium. Wręcz przeciwnie: im lepsze i pełniejsze są informacje, z których się korzysta, tym niebezpieczniejsze są poszukiwania. Pytał pan przedtem o sny i rzeczywistość. No więc ma pan odpowiedź. Wszystko, co panu służy pomocą, robi to otwarcie. Wszystko, co próbuje panu szkodzić, czyni to z ukrycia, korzystając z iluzji, przebrań i snów.

— A może pan coś zrobić z tym drapieżnikiem? — spytał Carmody.

— Nie. I nie zrobiłbym, nawet gdybym mógł. Drapież-nictwo jest okolicznością niezbędną. Nawet Bogowie są w końcu pożerani przez Los. Nie może pan być wyjątkiem od powszechnych reguł.

— Przypuszczałem, że powie pan coś takiego — wyznał Carmody. — Ale czy może mi pan pomóc w jakikolwiek sposób? Może jakieś wskazówki, czym różnią się światy drapieżnika od światów, do których pan mnie posyła?

— Dla mnie te różnice są oczywiste — stwierdził Seethwright. — Nasza percepcja nie jest jednak taka sama. Nie może pan korzystać z moich wrażeń, Carmody, tak samo jak ja z pańskich. Ale przecież jak dotąd zdołał pan jakoś ujść drapieżnikowi.

— Miałem szczęście.

— A widzi pan! Ja posiadam wiele umiejętności, ale zupełnie nie mam szczęścia. A któż zdoła przewidzieć, co będzie bardziej przydatne podczas prób, które pana czekają? Nie ja, drogi panie, i z pewnością nie pan! A więc, panie Carmody, niech pan będzie mężny. Chwiejne serca nie

125

zdobyczą pięknych planet, prawda? Proszę oglądać światy, do których pana poślę, proszę być maksymalnie ostrożnym i uważać na iluzoryczne sceny pańskiego drapieżnika, proszę uciekać, póki jest czas. Ale niech lęk pana nie obezwładni, by nie ominął pan prawdziwego i słusznego świata.

— A co się stanie, jeśli przez nieuwagę go przeoczę?

— Wtedy pańskie poszukiwania nigdy się nie skończą — wyjaśnił Seethwright. — Tylko pan może nam powiedzieć, Gdzie pan należy. Jeśli z tych czy innych względów nie zlokalizuje pan swego świata wśród najbardziej podobnych, będziemy musieli kontynuować poszukiwania wśród zwyczajnie podobnych, potem wśród mniej podobnych, a w końcu najmniej podobnych. Liczba światów prawdopodobieństwa Ziemi nie jest, oczywiście, nieskończona, lecz z pańskiego punktu widzenia równie dobrze mogłaby być. Po prostu pański przyrodzony czas trwania nie wystarczy, by zbadać je wszystkie i zacząć od nowa.

— No dobrze — zgodził się z powątpiewaniem Carmody. — Przypuszczam, że nie ma innego sposobu.

— Nie ma innego sposobu, w jaki mógłbym panu pomóc — potwierdził Seethwright. — I wątpię, czy w ogóle istnieje taki, który nie wymaga pańskiego aktywnego uczestnictwa. Jeśli jednak pan sobie życzy, to mogę zasięgnąć informacji na temat technik lokacyjnych w galaktykach alternatywnych. To chwilę potrwa...

— Nie sądzę, bym miał tę chwilę — przerwał mu Carmody. — Obawiam się, że mój drapieżnik jest już blisko. Panie Seethwright, proszę mnie posłać na Ziemię prawdopodobieństwa. Proszę też przyjąć wyrazy mojej wdzięczności za pańską cierpliwość i zainteresowanie.

— Dziękuję. — Seethwright był wyraźnie zadowolony. — Miejmy nadzieję, że już pierwszy świat okaże się tym, którego pan szuka.

I przycisnął jakiś guzik na swoim biurku. Nic się nie działo, dopóki Carmody nie mrugnął. Potem wszystko stało się naprawdę bardzo szybko, gdyż kiedy otworzył oczy, zobaczył, że wyrzuciło go na Ziemię. Albo na jej całkiem niezłą kopię.

Która jest Ziemia?

ROZDZIAŁ XXII

Carmody stał pod błękitnym niebem na równo przystrzyżonej trawie, a złotożółte słońce świeciło mu nad głową. Rozejrzał się powoli. W odległości pół mili zobaczył miasteczko. Nie było zbudowane na zwykłą modłę amerykańskich miasteczek — z ostańcami stacji benzynowych, mackami budek z hot-dogami, obwódką moteli i ochronnym pancierzem wysypisk śmieci. Przypominało raczej sposobem zabudowy niektóre miasteczka we włoskich górach albo szwajcarskie wioski: zaczynało się niespodziewanie i kończyło nagle, bez fizycznego wstępu czy wyjaśnienia. Główna jego część odsłaniała się od razu, bez żadnego przygotowania.

Carmody był pewien, że mimo obcego wyglądu jest to miasteczko amerykańskie; ruszył więc w jego stronę, wyęzając wszystkie zmysły i gotów rzucić się do ucieczki, gdyby tylko coś okazało się nie takie, jak należy.

Wszystko jednak zdawało się być bez zarzutu. Miasto sprawiało wrażenie otwartego i serdecznego; ulice zaprojektowano z rozmachem, a z szerokich okien wystawowych w wykuszach biła jakaś szczerłość. Wchodząc głębiej, Carmody odkrył inne piękne widoki. Już na samym początku natknął się na piazza. Wyglądała jak rzymska, choć była dużo mniejsza. A w samym jej środku była fontanna, na niej zaś stała marmurowa figurka chłopca z delfinem, z którego paszczy wypływał strumień czystej wody.

— Mam nadzieję, że ci się podoba — odezwał się jakiś głos zza lewego ramienia Carmody'ego.

9 — Wymiar cudów

129

Carmody nie podskoczył spłoszony. Nawet się nie odwrócił. Zdążył się już przyzwyczaić do głosów odzywających się do niego zza pleców. Czasem wydawało mu się, że cała masa stworzeń Galaktyki lubi go w ten właśnie sposób zagadywać.

— Bardzo ładne — przyznał.

— Sam to skonstruowałem i ustawiłem w tym miejscu — pochwalił się głos. — Uznałem, że mimo starożytności koncepcji fontanna będzie estetycznie funkcjonalna. A ta piazza z ławeczkami i cienistymi kasztanami została skopiowana z bolońskiej. I znowu nie pozwoliłem, by powstrzymała mnie obawa, że będzie to staromodne. Prawdziwy artysta, moim zdaniem, wykorzystuje to, co uznaje za konieczne, nie dbając, czy ma to tysiąc lat, czy tylko sekundę.

— Mogę tylko przyklasnąć — stwierdził Carmody. — Pozwól, że się przedstawię. Jestem Thomas Carmody.

Odwrócił się, uśmiechnął i wyciągnął rękę. Jednak za jego lewym ramieniem nie było nikogo, tak samo zresztą jak za prawym. Na całym placu ani w zasięgu wzroku nie było absolutnie nikogo.

— Wybacz — powiedział głos. — Nie chciałem cię przestraszyć. Myślałem, że wiesz.

— Co wiem? — spytał Carmody.

— Wiesz o mnie.

— No więc nie wiem — oznajmił Carmody. — Kim ty jesteś i skąd do mnie mówisz?

— Jestem głosem tego miasta — poinformował głos. — Albo, inaczej mówiąc, jestem samym miastem, prawdziwym miastem, które mówi do ciebie.

— Doprawdy? — spytał z ironią Carmody. — Tak — odpowiedział sam sobie. — Przypuszczam, że to prawda. No dobra, jesteś miastem. Świetnie!

To fakt, że Carmody był zirytowany. Zbyt wiele spotkał już istot o przytłaczającym ogromie i cudownej potęgę. Przerzucano go z jednego końca Galaktyki na drugi. Moce, kreacje i personifikacje objawiały mu się bez przerwy, sprawiając, że raz po raz przestawał nad sobą panować. Carmody był rozsądny. Wiedział, że jest tylko między-

130

gwiazdną przesyłką i że istoty ludzkie nie liczą się tu za bardzo. Był jednak dumny i wiedział, że człowiek jest coś wart, choćby tylko we własnych oczach. Człowiek nie może stale wykrzykiwać: „Och”, „Ach” i „Na mą duszę”, pod adresem najróżniejszych nieludzkich istot, które go otaczają. W każdym razie nie może tego robić zachowując przy tym szacunek dla samego siebie. A Carmody'emu bardziej niż trochę na tym szacunku zależało. W danej chwili była to jedna z nielicznych *rzeczy*, które jeszcze posiadał.

Odwrócił się więc plecami do fontanny i pomaszerował przez plac z miną człowieka, który codziennie konwersuje z miastami i cała ta sprawa zaczyna go już trochę nudzić. Szedł wzdłuż licznych ulic i w poprzek licznych alei. Zaglądał w okna wystawowe i oceniał wielkość budynków. Zatrzymał się przed jakimś pomnikiem, lecz tylko na chwilę.

— I co? — spytało miasto po pewnym czasie.

— Z czym? — zapytał bez zastanowienia Carmody.

— Co o mnie myślisz?
— Jesteś w porządku.
— Tylko w porządku?
— Posłuchaj — rzekł Carmody. — Miasto to miasto. Kiedy ktoś widział jedno, to tak, jakby widział je wszystkie.
— To nieprawda — w głosie miasta zabrzmiała uraza. — Jestem całkiem różne od innych miast. Jestem unikalne.
— Czyżby? — powiedział z lekceważeniem Carmody. — Mnie osobiście wydajesz się zbiorowiskiem źle dopasowanych części. Masz włoską piazzę, parę greckich rzeźb, szereg rezydencji w stylu Tudorów, staromodne nowojorskie kamienice, kalifornijską budkę z hot-dogami w kształcie holownika i Bóg wie, co jeszcze. Co w tym niezwykłego?
— Niezwykłe jest ułożenie tych elementów w pełną znaczenia całość — oświadczyło miasto. — Prezentuję różnorodność w obrębie wewnętrznej spójności. Te starsze formy nie są anachronizmami, rozumiesz. Reprezentuję style życia i jako takie są właściwe w dobrze zaprojektowanej maszynie do życia.
— To twoje zdanie — stwierdził Carmody. — A przy okazji, masz jakąś nazwę?

131

— Oczywiście. Nazywam się Bellwether. Jestem wydzielonym obszarem miejskim stanu New Jersey. Masz może ochotę na kawę i kanapkę? A może wolisz owoce?
— Kawa brzmi nieźle — zgodził się Carmody. Pozwolił, by głos Bellwether poprowadził go za róg, do kawiarni z tarasem. Nazywała się „O, chłopaczku!” i była repliką lokalu z *okresu fmdę siecle*. Bardzo dokładną repliką, aż po lampy od Tiffany’ego, kryształowy żyrandol i pianolę. Jak w całym mieście, było tu nieskazitelnie czysto, ale nie było ludzi.
— Przyjemna atmosfera, nie sądzisz? — spytało Bellwether.
— Szywna — wycedził Carmody. — Ale jeśli ktoś lubi takie rzeczy...
Na jego stolik opuściła się metalowa taca, na której stała filiżanka z pianistą *capuccino*.
— Przynajmniej obsługa jest dobra — powiedział Carmody i łyknął kawy.
— Smakuje? — spytało Bellwether.
— Owszem, bardzo dobra.
— Jestem dosyć dumne ze swojej kawy — szepnęło Bellwether. — Z kuchni także. Może byś coś przekąsił? Omlet, a może suflet?
— Nic — odmówił zdecydowanie Carmody. Rozparł się na krześle. — A więc jesteś prototypowym miastem, co?
— Tak jest, mam zaszczyt nim być — potwierdziło Bellwether. — Jestem najnowsze ze wszystkich prototypowych miast i sądzę, że najbardziej udane. Byłem poczęte przez połączoną grupę badawczą uniwersytetów w Yale i Chicago, pracującą na zlecenie Towarzystwa Rockefellera. Większość wyposażenia powstała w MIT, choć część specjalnego sprzętu pochodzi z Princeton i z korporacji RAND. Sama konstrukcja jest dziełem General Electric, a pieniądze zapewniła Fundacja Forda oraz kilka innych instytucji, których wolę nie wymieniać.
— Interesująca historia — orzekł Carmody tonem miażdżącej nonszalancji. — To coś po drugiej stronie ulicy to gotycka katedra, prawda?
— Tak, całkowicie gotycka — potwierdziło Bellwe-

132

ther. — A przy tym nadsymboliczna i otwarta dla wszystkich wyznań. Ma pojemność trzystu miejsc siedzących.
— To niezbyt wiele jak na budynek o takich rozmiarach.
— Rzeczywiście niewiele. Moją ideą było połączenie przytulności i wrażenia ogromu. Wielu ludziom się to podoba.
— A właściwie gdzie są ludzie? — spytał Carmody. — Nikogo nie widziałem.
— Odeszli — wyjaśniło smutnie Bellwether. — Wszyscy wyjechali.
— Dlaczego?
Bellwether przez chwilę milczało.
— Nastąpiło załamanie w stosunkach miasto-społeczność — powiedziało w końcu. — Zwykle nieporozumienie czy też może raczej powinno się mówić o pechowej seśni nieporozumień. Podejrzewam, że różni mąciociele maczali palce w tym exodusie.
— Ale dokładnie, co się stało?
— Nie wiem — przyznało Bellwether. — Naprawdę nie wiem. Pewnego dnia wszyscy zwyczajnie odeszli. Tak

po prostu! Ale jestem przekonane, że wrócą.

— Zastanawiam się — powiedział Carmody.

— Jestem pewne — oświadczyło Bellwether. — Ale póki co to pan tu zostanie, panie Carmody?

— Ja? Naprawdę nie sądzę...

— Wydaje się pan zmęczony — namawiało Bellwether. — Odpoczynek na pewno się panu przyda.

— Istotnie, wiele ostatnio podróżowałem — przyznał Carmody.

— Kto wie, może właśnie tutaj znajdzie pan to, co panu odpowiada. A na pewno będzie pan miał okazję do korzystania z usług najnowocześniejszego, najbardziej współczesnego miasta.

— To brzmi rzeczywiście zachęcająco — zgodził się Carmody. — Będę musiał o tym pomyśleć.

Bellwether intrygowało go. **Był** także trochę zafascynowany. I chciałby się dokładnie dowiedzieć, co się stało z jego mieszkańcami.

ROZDZIAŁ XXIII

Ulegając namowom Bellwether, Carmody spędził noc w wytwornym apartamencie dla nowożeńców w hotelu „King George V”. Obudził się rano wypoczęty i przepelniony wdzięcznością. Naprawdę bardzo potrzebował chwilowego wyłączenia świadomości.

Bellwether podało mu śniadanie na tarasie, a gdy Carmody jadł, odegrało dziarski kwartet Haydna. Powietrze było cudowne; Carmody nigdy by się nie domyślił, że jest filtrowane, gdyby Bellwether mu nie powiedziało. Temperatura i wilgotność także były całkowicie satysfakcjonujące. Z tarasu roztaczał się przepiękny widok na zachodnią część miasta — miły dla oka gąszcz, na który składały się chińskie pagody, weneckie mostki, japońskie kanały, zielone wzgórza, koryncka świątynia, parking, romańska wieża i sporo innych rzeczy.

— Masz tu ładne widoki — pochwalił Carmody.

— Cieszę się, że ci się podobają — odrzekło Bellwether. — Styl był problemem, nad którym radzono od dnia mojego poczęcia. Jeden z zespołów pragnął spójności; harmonijnych grup kształtów układających się w harmonijną całość. Ale tego już próbowano. Tak właśnie wygląda sporo modelowych miast. Są jednostajne i nudne, sztuczne jedności stworzone przez jednego człowieka albo jeden komitet, niepodobne do prawdziwych miast.

— Ty też jesteś sztuczne, nieprawdaż?

— Oczywiście. Ale nie udaję, że jestem czymś więcej. Nie jestem fałszywym „miastem przyszłości” czy pseudoflorenckim bękartem. Jestem zespoloną jednością. Mam być interesujące i stymulujące, a przy tym funkcjonalne i praktyczne.

— Wiesz, Bellwether, dla mnie jesteś OK — oświadczył Carmody. — Czy wszystkie modelowe miasta mówią tak jak ty?

— Nie — zaprzeczyło Bellwether. — Jak dotąd większość miast, modelowych czy niemodelowych, nie potrafi się odezwać. Ale mieszkańcy tego nie lubią. Nie podoba im się miasto, które załatwia sprawy bez jednego słowa. Wydaje

134

się wtedy nazbyt przytłaczające, władcze i bezduszne. Dlatego właśnie stworzono mnie ze sztuczną świadomością.

— Rozumiem.

— Zastanawiam się, czy rzeczywiście rozumiesz. Sztuczna świadomość mnie personifikuje, co jest niezwykle ważne w wieku powszechnej depersonifikacji. Sprawia, że mogę być naprawdę wrażliwe. Pozwala na twórczą swobodę w moich reakcjach na sprawy mieszkańców. Moi mieszkańcy i ja możemy się nawzajem przekonywać, a prowadząc ciągły i znaczący dialog, możemy sobie pomagać w stworzeniu naprawdę pięknego środowiska. Możemy zmieniać się wzajemnie bez żadnego uszczerbku dla indywidualności.

— Brzmi to pięknie — powiedział Carmody. — Tyle że, jak widać, nie masz nikogo do prowadzenia dialogu.

— To jedyny słaby punkt tej idei — przyznało Bellwether. — Ale w tej chwili mam ciebie.

— Zgadza się, masz mnie. — Carmody zastanowił się, dlaczego te słowa zadźwięczały tak nieprzyjemnie.

— I naturalnie ty masz mnie — dodało Bellwether. — To stosunek wzajemności, gdyż tylko takie są coś warte. A teraz, drogi Carmody, może pokażę ci siebie. Potem możemy cię osiedlić i uregulować.

— I co?

— Nie to miałem na myśli — zapewniło Bellwether. — To po prostu niezbyt szczęśliwy termin naukowy. Rozumiesz z pewnością, że stosunek wzajemności wiąże się z wymaganiami wobec obu stron. Inaczej byłoby nie w

porządku, prawda?

— Chyba, że byłby to układ *laissez faire*.

— Staramy się tego unikać — stwierdziło Bellwether. — Sam wiesz, że *laissez faire* staje się doktryną emocji i ciągle prowadzi do animozji. Zechcesz pójść tędy.

Carmody szedł, gdzie mu kazano, i podziwiał wspaniałości Bellwether. Zwiedził elektrownię, stację filtrów, zaplecze przemysłowe i sektor przemysłu lekkiego. Obejrzał plac zabaw i Halę Dziwaków. Przeszedł się po muzeum i galerii malarstwa, zobaczył salę koncertową, teatr, kręgielnię i klub bilardowy, tor go-cartów i kino. Był zmęczony, bolały go nogi i chciał na tym skończyć, Bellwether jednak pragnęło

135

pokazać się w całości. Carmody musiał więc jeszcze obejrzeć pięciopiętrowy budynek American Express, portugalską synagogę, pomnik Buckminstera Fullera, stację autobusów Greyhound i kilka innych atrakcji.

Wreszcie było po wszystkim. Carmody doszedł do wniosku, że cuda modelowego miasta były nie lepsze i nie gorsze od cudów Galaktyki. Piękno istotnie tkwiło w oku patrzącego — z wyjątkiem tej jego części, która znalazła się w stopach.

— Może byś teraz coś zjadł? — zaproponowało Bellwether.

— Chętnie — zgodził się Carmody. Został zaprowadzony do modnej Rochambeau Cafe, gdzie zaczął od *potage aux petits pois*, a skończył na *petitsfours*.

— Co byś powiedział na znakomity *gruyere* na zakończenie? — spytało Bellwether.

— Nie, dziękuję — odparł Carmody. — Najadłem się. Szczerze mówiąc, nawet za bardzo.

— Ale ser nie jest sycący. Może *camembert*?

— Nie **dam rady**.

— Więc trochę owoców? Niezwykle odświeżające dla podniebienia.

— To nie moje podniebienie potrzebuje odświeżenia — stwierdził Carmody.

— Chociaż jabłko, gruszkę, parę winogron?

— Dziękuję, nie.

— Kilka czereśni?

— Nie, **nie, nie**.

— Posiłek nie jest zakończony bez odrobiny owoców — poinformowało Bellwether.

— Mój jest — oświadczył Carmody.

— Istnieją pewne niezbędne witaminy, których mogą ci dostarczyć jedynie świeże owoce.

— Będę musiał jakoś przeżyć bez nich.

— Może choć pół pomarańczy, które dla ciebie obiorę? Owoce cytrusowe to sam sok.

— Nie dałbym rady.

— Nawet ćwiartki pomarańczy? Jeżeli wyjmę wszystkie pestki?

136

— Absolutnie nie.

— Lepiej bym się poczuło — prosiło Bellwether. — Mam silny pociąg do kompletności, a żaden posiłek nie jest kompletny bez owoców.

— Nie! Nie! Nie!

— Dobrze, nie denerwuj się tak — powiedziało Bellwether. — Jeśli moja kuchnia ci nie odpowiada, to tylko twoja sprawa.

— Ależ odpowiada mi, naprawdę!

— Więc jeśli ci naprawdę odpowiada, to czemu nie chcesz zjeść kilku owoców?

— Dość! — rzekł Carmody. — Daj mi parę winogron.

— Nie chcę cię do niczego zmuszać.

— Nie zmuszasz mnie. Daj, proszę.

— Jesteś pewny?

— Dawaj! — ryknął Carmody.

— Więc masz — powiedziało Bellwether i podało mu piękną kiść muszkatelowych winogron. Carmody zjadł je wszystkie. Były bardzo dobre.

— Przepraszam — odezwało się Bellwether. — Ale co ty robisz?

Carmody wyprostował się i otworzył oczy.

- Ucinam sobie małą drzemkę — wyjaśnił. — Czy to coś nieodpowiedniego?
- Cóż może być nieodpowiedniego w czynności tak absolutnie naturalnej?!
- Dziękuję ci — powiedział Carmody i na powrót zamknął oczy.
- Ale dlaczego drzemiesz na krześle? — spytało Bellwether.
- Bo siedzę na krześle i już prawie śpię.
- Dostaniesz przykurczu szyi — ostrzegło go Bellwether.
- Nie przejmuj się — wymruczał Carmody, nie otwierając oczu.
- Dlaczego nie zdrzemniesz się prawidłowo? O tam, na tapczanie?
- Drzemieć wygodnie tu, gdzie jestem.

137

— Nie jest ci naprawdę wygodnie — zauważyło Bellwether. — Ciało ludzkie nie jest przystosowane do spania na siedząco.

- Moje w tej chwili jest — stwierdził Carmody.
- Wcale nie. Czemu nie spróbujesz na tapczanie?
- To krzesło jest całkiem dobre.
- Ale tapczan jest lepszy. Tylko spróbuj, Carmody, proszę. Carmody?
- Ee... Co się dzieje? — spytał rozbudzony nagle Carmody.
- Tapczan. Naprawdę uważam, że powinienes położyć się na tapczanie.
- Dobrze! — zgodził się Carmody i wstał z wysiłkiem. — Gdzie jest ten tapczan?

Miasto wskazało mu wyjście z restauracji, po czym poprowadziło ulicą za róg, do budynku z napisem „Drzem-kowisko”. Wewnątrz stał tuzin tapczanów. Carmody podszedł do najbliższego.

- Nie ten — powiedziało Bellwether. — W tym wystaje sprężyna.
- To bez znaczenia — zapewnił Carmody. — Jakoś się koło niej ułożę.
- A w rezultacie będziesz miał skrzywiony kręgosłup.
- Chryste! — jęknął Carmody. — No więc który możesz mi polecić?
- Ten z tym — powiedziało Bellwether. — Specjalny rozmiar. To najlepsza sztuka tutaj. Punkt ugięcia materaca został określony naukowo. Poduszki...
- Dobrze, świetnie, cudownie — przerwał Carmody, kładąc się na wskazanym tapczanie.
- **Czy** zagrać ci coś uspokajającego?
- Nie fatyguj się.
- Jak chcesz. Wyłączę światło.
- Świetnie.
- Czy chcesz koc? Oczywiście kontroluję temperaturę w tym pomieszczeniu, lecz śpiący często odbierają subiektywne wrażenie chłodu.
- To nieważne! Zostaw mnie samego!

138

- Dobrze — zgodziło się Bellwether. — Wiesz, że nie robię tego wszystkiego dla siebie. Osobiście nigdy nie śpię.
- Wiem, przepraszam.
- Naprawdę nie ma o czym mówić — zapewniło Bellwether.
Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Carmody usiadł.
- Co się stało? — zdziwiło się Bellwether.
- Teraz nie mogę zasnąć — odrzekł Carmody.
- Spróbuj zamknąć oczy i świadomie rozluźnić każdy mięsień swojego ciała, zaczynając od palców nóg i posuwając się w górę...
- Nie mogę spać! — wrzasnął Carmody.
- Chyba od samego początku nie byłeś specjalnie śpiący — zasugerowało Bellwether. — Ale przynajmniej możesz zamknąć oczy i trochę się odprężyć. Zrobisz to dla mnie?
- Nie! — odparł Carmody. — Nie jestem śpiący i nie potrzebuję się odprężyć.
- Uparciuch! — stwierdziło Bellwether. — Rób sobie, co chcesz! Staralem się jak najlepiej.
- Pewno — powiedział Carmody, wstał i wyszedł z Drzemkowiska.

Carmody stał na niewielkim, łukowo wygiętym mostku i spoglądał na błękitną lagunę.

— To kopia mostu Rialto w Wenecji — poinformowało Bellwether. — Zmniejszona, naturalnie.
— Wiem — odparł Carmody. — Przeczytałem tabliczkę.
— Czarujący, nieprawdaż?
— Owszem, bardzo ładny — przyznał Carmody i zapalił papierosa.
— Sporo palisz — zauważyło Bellwether.
— Wiem. Mam nastrój do palenia.
— Jako twój medyczny doradca muszę zauważyć, że istnienie związku pomiędzy paleniem a rakiem płuc zostało dowiedzione.
— Wiem.

139

— Gdybyś się przerzucił na fajkę, twoje szanse by wzrosły.
— Nie lubię fajki.
— A co powiesz na cygaro?
— Nie lubię cygar.
Zapalił następnego papierosa.
— To twój trzeci papieros w ciągu pięciu minut.
— Do diabła! Palę tak dużo i tak często, jak mi się podoba! — wrzasnął Carmody.
— Ależ naturalnie — zgodziło się Bellwether. — Próbowałem tylko udzielić ci rady. Dla twojego własnego dobra. Chciałbyś, żebym bez słowa patrzył, jak niszczysz swój organizm?
— Tak — odrzekł Carmody.
— Nie wierzę, żebyś naprawdę tak myślał. Łączy się z tym pewien nakaz etyczny. Człowiek może postępować wbrew własnym interesom, lecz maszynom nie pozwala się na taką perwersję.
— Odwal się ode mnie — burknął ponuro Carmody. — Przestań mnie ciągle ustawiać.
— Ustawiać cię? Ależ drogi Carmody, czy w jakikolwiek sposób zmuszałem cię do czegokolwiek? **Czy** zrobiłem coś więcej niż tylko udzielenie ci rady?
— Może i nie. Ale za dużo gadasz.
— Być może jeszcze za mało — oświadczyło Bellwether. — Sądząc po reakcji na moje słowa.
— **Za** dużo gadasz — powtórzył Carmody i zapalił papierosa.
— To twój czwarty papieros w ciągu pięciu minut. Carmody otworzył usta, by rzucić jakieś przekleństwo, zmienił jednak zdanie i odszedł.

— Co to jest? — zapytał Carmody.
— Automat ze słodyczami — wyjaśniło Bellwether.
— Nie **wygląda**.
— A jednak jest. Jego konstrukcja jest modyfikacją projektu silosa Saarinomena. Zminiaturyzowałem go, oczywiście, i...

140

— Wciąż mi nie wygląda na automat ze słodyczami. Jak się to obsługuje?
— Bardzo łatwo. Naciśnij czerwony guzik. Teraz zaczekaj. Przesuń do siebie jedną z dzwigiemek w rzędzie A. Naciśnij zielony guzik. I już!
W dłoń Carmody'ego ześliznęła się batonik „Babę Ruth”.
— Hm — powiedział Carmody. Zdarł opakowanie i ugryzł. — Czy to prawdziwy „Babę Ruth”, czy jego kopia?
— zapytał.
— Prawdziwy. **Ze** względu na nawal zajęć zawarłem kontrakt na dostawę słodyczy.
— Hm — powtórzył Carmody pozwalając, by paperek wyśliznęła mu się spomiędzy palców.
— Oto — oświadczyło Bellwether — przykład bezmyślności, z którą wciąż się spotykam.
— To tylko kawałek papieru — powiedział Carmody. Obejrzał się i spojrzał na opakowanie balonika leżące na nieskazitelnie czystej ulicy.
— Oczywiście, tylko kawałek papieru — powtórzyło Bellwether. — Ale pomnóż go przez sto tysięcy mieszkańców, a co otrzymasz?
— Sto tysięcy kawałków papieru — odpowiedział natychmiast Carmody.
— Nie wydaje mi się to zabawne — stwierdziło Bellwether. — Mogę cię zapewnić, że nie spodobałoby ci się mieszkanie wśród tych papierków. Gdyby ta ulica była zasypana śmieciami, to pierwszy zacząłbyś narzekać. Ale czy

sam robisz tyle, ile powinienes? Czy chociaż sprzątasz po sobie? Oczywiście, że nie! Zostawiasz to mnie, mimo że muszę pilnować wszystkich innych funkcji miasta, dzień i noc, nawet w niedziele.

— Musisz tak gderać? — spytał Carmody. — Sprzątnę to. Schylił się, by podnieść papierek. Gdy jednak jego palce już miały go chwycić, z najbliższego ścieku wysunęło się zakończone szczypcami ramię, porwało papier i znikło.

— Nie ma o czym mówić — powiedziało Bellwether. — Jestem przyzwyczajone do sprzątania po ludziach. Stale to robię.

141

— No... — odrzekł Carmody.

— I nie oczekuję wdzięczności.

— Jestem wdzięczny. Jestem wdzięczny — zapewnił Carmody.

— Nie, **nie** jesteś.

— No dobrze, może nie jestem. Co chcesz, żebym powiedział?

— Nic nie chcę, żebyś powiedział. Uznajmy tę sprawę za zamkniętą.

— Najadłeś się? — spytało Bellwether po kolacji.

— Po uszy — oświadczył Carmody.

— Niedużo zjadłeś.

— Zjadłem tyle, na ile miałem ochotę. Było bardzo smaczne.

— Jeśli było tak smaczne, to czemu nie zjadłeś więcej?

— Bo więcej nie mogłem już zmieścić.

— Gdybyś nie popsuł sobie apetytu tym balonikiem...

— Do licha, balonik wcale nie popsuł mi apetytu. **Po** prostu...

— Zapalasz papierosa — zauważyło Bellwether.

— Owszem — przyznał Carmody.

— Nie możesz zaczekać chwili dłużej?

— Chwileczkę — zirytował się Carmody. — Co cię, u diabła...

— Ale mamy ważniejszy temat do rozmowy — przerwało mu pospiesznie Bellwether. — Czy zastanawiałeś się już nad wyborem pracy?

— Naprawdę nie miałem zbyt wiele czasu, żeby o tym myśleć.

— Za to ja myślałem. Byłoby miło, gdybyś został lekarzem.

— Ja? Musiałbym ukończyć specjalny kurs w college'u, potem studia medyczne i tak dalej.

— Mogę to zorganizować — zapewniło Bellwether.

— Nie jestem zainteresowany.

142

— No... a co byś powiedział o prawie?

— Nigdy.

— Technika ma dużą przyszłość.

— Nie **dla** mnie.

— A bankowość?

— Nigdy w życiu.

— No więc kim chciałbyś zostać?

— Pilotem odrzutowca — oświadczył zdecydowanie Carmody.

— Och, nie żartuj.

— Mówię zupełnie poważnie.

— Nie mam nawet lotniska.

— To będę pilotował gdzie indziej.

— Mówisz tak tylko po to, żeby mi dokuczyć.

— Wcale nie — zapewnił Carmody. — Chcę być pilotem. — Zawsze chciałem być pilotem.

Zapadła nieprzyjemna cisza. A potem Bellwether powiedziało:

— Wybór całkowicie należy do ciebie. Jego głos był ponury jak sama śmierć.

- Gdzie idziesz?
- Wychodzę na spacer — wyjaśnił Carmody.
- O wpół do dziewiątej wieczorem?
- Pewnie. Dlaczego nie?
- Myślałem, że jesteś zmęczony.
- To było jakiś czas temu.
- Rozumiem. I jeszcze miałem nadzieję, że może sobie tu siądziesz i utniemy miłą pogawędkę.
- To może porozmawiamy, jak wrócę? — zaproponował Carmody.
- Nie, to nieważne — powiedziało Bellwether.
- Spacer jest nieważny. — Carmody usiadł. — No już, pogadamy.
- Już mi się nie chce rozmawiać — oświadczyło Bellwether. — Proszę cię, idź na ten swój spacer.

143

- No, to dobranoc — powiedział Carmody.
 - Przepraszam?
 - Powiedziałem „dobranoc”.
 - Idziesz spać?
 - Pewnie. Jest późno i jestem zmęczony.
 - Idziesz spać już, tak jak stoisz?
 - A dlaczego by nie?
 - Nie ma żadnego powodu, żeby nie — stwierdziło Bellwether — prócz tego, że zapomniałeś się umyć.
 - Och... faktycznie zapomniałem. Umyję się rano.
 - Kiedy ostatnio brałeś kąpiel?
 - Strasznie dawno. Wykąpię się rano.
 - **Czy** nie czułbyś się lepiej, gdybyś zrobił to teraz?
 - Nie.
 - Nawet jeśli napuszczę ci wody?
 - Nie, do diabła, nie! Chcę iść spać!
 - Rób, na co tylko masz ochotę — powiedziało Bellwether. — Nie myj się, nie ucz, nie odżywiaj właściwie.
- Ale też nie miej do mnie pretensji.
- Pretensji? O co?
 - O cokolwiek — powiedziało Bellwether.
 - Jasne. A co konkretnie masz na myśli? * — To nieważne.
 - No to po co w ogóle zacząłeś mówić na ten temat?
 - Myślałem o tobie — stwierdziło Bellwether.
 - Zdaję sobie z tego sprawę.
 - Musisz wiedzieć, że d l a m n i e nie ma znaczenia, czy się myjesz, czy nie.
 - Wiem o tym.
 - Kiedy ktoś się troszczy — mówiło dalej Bellwether — kiedy poczuwa się do odpowiedzialności, to nie jest mu miło, gdy słyszy, jak go za to przeklinają.
 - Nie przeklinałem cię.
 - Teraz nie. Ale przedtem tak.
 - No... byłem zdenerwowany.
 - To przez papierosy.
 - Nie zaczynaj znowu.

144

- Nie będę — obiecało Bellwether. — Fal sobie jak lokomotywa. Co mnie to obchodzi! To twoje płuca, prawda⁹
- Święta racja — zgodził się Carmody zapalając papierosa.
- Ale moja klęska — dodało Bellwether.
- Nie, nie — powiedział Carmody. — Nie mów tak. Proszę cię, nie.
- Zapomnij, że to powiedziałem — poprosiło Bellwether.
- W porządku.
- Jestem czasem nadgorliwe.

- Jasne.
- A jest to dla mnie tym cięższe, że mam rację. Bo mam rację, sam wiesz.
- Wiem — przyznał Carmody. — Masz rację, masz rację, masz zawsze rację. Racja-racja-racja-racja...
- Nie irytuj się przed snem — poradziło Bellwether. — Nie miałbyś ochoty na szklankę mleka?
- Nie.
- Jesteś pewien?

Carmody zasłonił oczy rękami. Czuł się bardzo dziwnie. Czuł się winny, wątpy, brudny, chory i zaniedbany.

Wiedział, że jest generalnie i nieodwracalnie zły i że zawsze tak będzie.

Gdzieś wewnątrz siebie znalazł siłę.

- Seethwright! — krzyknął.
- Kogo tak wołaś? — spytało Bellwether.
- Seethwright! Gdzie jesteś?
- Co źle zrobiłem? — zapytało Bellwether. — Po prostu powiedz!
- Seethwright! Przyjdź i zabierz mnie! To nie jest właściwa Ziemia.
- Nastąpił trzask, zgrzyt, stuk i Carmody był już gdzie indziej.

ROZDZIAŁ XXIV

Zzzit! Brrrum! Tryk! Oto gdzie jesteśmy, lecz któż wie Gdzie, Kiedy i na Której? Z pewnością nie Carmody, który znalazł się w mieście bardzo podobnym do Nowego Jorku. Bardzo przekonywająco podobnym, ale czy tym samym?

- Czy to Nowy Jork? — spytał sam siebie Carmody.
- A skąd, u diabła, mam to wiedzieć? — odpowiedział natychmiast jakiś głos.
- To było pytanie retoryczne — wyjaśnił Carmody.
- Zdaję sobie z tego sprawę. Odpowiedziałam, ponieważ mam papiery retoryka.

Carmody rozejrzał się i zauważył, że głos dobiega z dużego czarnego parasola, który trzyma w lewej ręce.

- Jesteś moją Nagrodą? — zapytał.
- No pewnie, że jestem — odparła Nagroda. — Chyba nie wyglądam na szkockiego kucyka, co?
- Gdzie byłaś przedtem, kiedy ja byłem w tym modelowym mieście?
- Na krótkim zasłużonym urlopie — wyjaśniła Nagroda. — I nie masz po co składać skarg. Prawo do urlopu gwarantowane jest kontraktem między Zjednoczonymi Nagrodami Galaktyki a Ligą Nagrodzonych.
- Nie skarżyłem się — zapewnił Carmody. — Po prostu... Zresztą mniejsza z tym. To miejsce z pewnością przypomina moją Ziemię. W istocie wygląda dokładnie jak Nowy Jork.

Stał w centrum miasta. Po ulicach przelewały się masy pieszych i pojazdów. Było mnóstwo kin, mnóstwo budek z frankfurterkami, mnóstwo ludzi. Było wiele sklepów ogłaszających, że zamykają interes i wyprzedają cały towar nie dbając o zysk. Neony rozblysłkiwały ze wszystkich stron. Najelegantszymi restauracjami były: „Człowiek z Zachodu”, „Człowiek z Południa”, „Człowiek ze Wschodu” i „Człowiek z Północy”. Każda z nich oferowała własną specjalność opartą na steku z frytkami. Ale prócz nich były jeszcze: „Człowiek z Północnego Wschodu”, „Zachodni

146

Południowiec”, „Wschodni Północny Wschód” i „Zachodni Południowy Zachód”. W kinie po drugiej stronie ulicy wyświetlali „Apokryfy” (Wspanialsze i Bardziej Niezwykłe niż Biblia), z obsadą idącą w tysiące. Niedaleko znajdowała się też Dyskoteka Omfalos, gdzie folk-rockowy zespół o nazwie „Gówna” grał ochryplą melodię, w rytm której tańczyły niedojrzałe dziewczice w sukienkach odsłaniających brzuchy.

- Sporo się dzieje — stwierdził Carmody i zwilżył językiem wargi.
- Słyszę tylko dzwonienie kas automatycznych — oznajmiła Nagroda poważnym, moralizatorskim tonem.
- Nie marudź — rzekł Carmody. — Chyba jestem w domu.
- Mam nadzieję, że nie — powiedziała Nagroda. — To miejsce działa mi na nerwy. Rozejrzyj się lepiej i upewnij. Pamiętaj, podobieństwo to nie identyczność.

Niedaleko przed nimi było wejście do tunelu metra. Carmody zauważył, że stoi na rogu Pięćdziesiątej Ulicy i Broadwayu. Tak, był w domu. Wszedł dziarsko w tunel i ruszył schodami w dół. Było to znajome, podniecające, a jednocześnie trochę smutne przeżycie. Wilgotne zacieki poznały marmurowe ściany, a w dole lśniący tor wybiegał z jednego korytarza, by zniknąć w innym...

- Och... — mruknął Carmody.
- O co chodzi? — spytała Nagroda.

— Drobiazg — wyjaśnił Carmody. — Pomyślałem, że może przejdę się trochę po ulicach.

Zawrócił, zmierzając w stronę prostokąta nieba obramowanego ścianami wejścia. Zebrany tłum zablokował mu drogę. Carmody wepchnął się w niego, a tłum odepchnął go z powrotem. Wilgotne ściany tunelu zadrżały i zaczęły rytmicznie dygotać. Lśniący tor zerwał się z podkładów, zwinął się niby język z mosiądzu i wystrzelił ku niemu. Carmody pobiegł, rozpychając stojących mu na drodze ludzi. Kątem oka widział, że wstają natychmiast na nogi niby wańki-wstańki. Marmurowy chodnik pod nogami stał się miękki i lepki. Jego stopy kleiły się, otaczały go jakieś postacie, a tor zawisł mu nad głową.

147

— Seethwright! — ryknął Carmody. — Zabierz mnie stąd!

— Mnie też! — krzyknęła Nagroda.

— I mnie! — wrzasnął chytry drapieznik. On to był bowiem, nikt inny, sprytnie przebrany za stację metra. Do jego paszczy zabłądził Carmody.

Nic się nie stało. Carmody'ego opanowało straszliwe przecucie, że Seethwright właśnie wyszedł na lunch albo do toalety, albo do telefonu. W miarę, jak zamykało się wyjście, błękitny prostokąt nieba stawał się coraz mniejszy. Postacie dookoła przestały przypominać ludzi. Ściany były purpurowo-czerwone, falowały i drżały, aż zaczęły zbliżać się do siebie. Wąski tor owinął się łakomie wokół stóp Carmody'ego. Wewnątrz ciała drapieznika po głośnych pohukiwaniach rozległo się żarłoczne mlaskanie (Carmo-dyżery zachowują się zawsze jak prosiaki i brak im jakiegokolwiek oglądy przy jedzeniu).

— Pomocy! — wrzeszczał Carmody, czując, że soki trawienne przeżarły podeszwy jego butów. — Seethwright, ratuj mnie!

— Ratuj go, ratuj! — szlochała Nagroda. — Albo, jeżeli to zbyt trudne, ratuj mnie! Wyciągnij mnie stąd, a zamieszczę ogłoszenia we wszystkich ważniejszych dziennikach, zorganizuję komitety, uformuję zespoły robocze, będę nosić plakaty po ulicach, wszystko po to, by śmierć Carmody'ego nie przeszła nie pomszczona! Ponadto zobowiązuję się...

— Przystań jęczeć — przerwał jej głos, który Carmody rozpoznał jako należący do Seethwrighta. — To niesmaczne. A co do pana, panie Carmody, to w przyszłości zechce pan podejmować decyzje, zanim wejdzie pan w paszczę swojego drapieznika. Moje biuro nie jest przeznaczone do ocalania w ostatniej chwili.

— Ale tym razem uratuje mnie pan, prawda? — błagał Carmody. — Prawda? Prawda?

— To już jest zrobione — odrzekł Seethwright. A kiedy Carmody się rozejrzył, spostrzegł, że istotnie jest to już zrobione.

ROZDZIAŁ XXV

Seethwright musiał coś pokręcić przy transferze, gdyż po krótkiej chwili oszołomienia Carmody stwierdził, że znajduje się na tylnym siedzeniu taksówki. Był w mieście bardzo podobnym do Nowego Jorku i, jak się zdawało, w samym środku rozmowy.

— Co pan powiedział? — spytał kierowca.

— Nic nie mówiłem — odrzekł Carmody.

— Och, wydawało mi się, że coś pan mówił. No więc ja a mówiłem i powiedziałem, że tam właśnie jest nowy wieżowiec Flammariona.

— Wiem — usłyszał Carmody własny głos. — Pomagałem go budować.

— Naprawdę? Niezła robota. Ale teraz pan z tym skończył, co?

— Tak — powiedział Carmody. Wyjął z ust papierosa i zmarszczył brwi. — Z tymi papierosami też skończyłem. — Pokręcił głową i wyrzucił niedopałek przez okno. Te słowa i działanie wydały się całkowicie naturalne jednej części jego umysłu (świadomości aktywnej). Lecz druga część (świadomość refleksywna) przyglądała się temu z niemałym zdziwieniem.

— Czemu pan od razu nie powiedział? — spytał taksjarsz. — Proszę spróbować mojego.

Carmody spojrział na otwartą paczkę w dłoni kierowcy.

— Pali pan koole, co?

— Regularnie — odparł tamten. — Koole mają lekki zapach mentolu i smak dokładnie taki, jaki powinien być.

Carmody uniósł brwi, by okazać niedowierzanie. Wziął jednak pudełko, wyjął jednego „gwoździa do trumny” i zapalił. Uśmiechnięty taksjarsz przyglądał mu się w lusterku wstecznym. Carmody zaciągnął się, przybrał na twarz wyraz zdziwienia i zadowolenia, po czym wolno i z namaszczeniem dmuchnął dymem.

— Hej! — powiedział. — Coś w tym jest! Szofer ze zrozumieniem pokiwał głową.

149

— Wielu z nas, palaczy kooli, tak uważa. Jesteśmy na miejscu. **Oto** Waldorf-Astoria.

Carmody zapłacił i wysiadł. Ciągłe uśmiechnięty taksjarsz oparł się wygodnie.

— Hej, proszę pana! — zawołał. — Co z moimi koolami?

— Och, powiedział Carmody i oddał pudełko. Obaj z kierowcą uśmiechnęli się do siebie. Potem taksówka odjechała, a Carmody stanął przed wejściem do Waldorf-Astorii.

Miał na sobie grube palto od Burberry'ego. Mógł to stwierdzić czytając metkę, która zamiast na podszewce pod kołnierzem była mocno przyszyta po zewnętrznej stronie prawego rękawa. Teraz, kiedy się przyjrzał, zauważył, że wszystkie metki były na zewnątrz: każdy mógł zobaczyć, że nosi koszulę Van Heusena, krawat „Countess Mara”, garnitur od Harta, Schaffnera i Marxa, skarpetki Van Campa i neseser od Lloyda i Haiga. Na głowie miał borsalino zrobione przez Raimu z Mediolanu. Dłonie okrywały skórzane rękawiczki od L.L. Beana, a nadgarstek opinał automatyczny chronometr (Audemars Piccard), zaopatrzony w suwak logarytmiczny, licznik, klepsydrę, kalendarz i alarm, a wszystko to jako dodatek do gwarantowanej dokładności w granicach sześciu sekund rocznie.

Pachniał też delikatnie wodą kolońską „Oak Moss” od Abercrombiego i Fitcha.

Uważał to za zupełnie niezłe wyposażenie, choć absolutnie nie najwyższej klasy. Nie wyglądał źle, ale oczekiwał od siebie czegoś więcej. Był ambitny, chciał awansować, miał zamiar stać się człowiekiem, który nie tylko w Boże Narodzenie pracuje dla Chivas Regal, człowiekiem noszącym koszulę Braci Brooks i marynarki od F.R. Triplera, używającym płynu po goleniu „Onyx” produkcji Lenthaler, okrywającym się kurtkami „Country Warmer” szytymi u Paula Stuarta...

Dla takich rzeczy potrzebowałby jednak klasy A-

-**AA-AAA** Wskaźnika Konsumpcji zamiast swojego zwyczajnego **B-BB-AAAA**, w którą nieszczęśliwy zbieg okoliczności wpakował go już przy urodzeniu. Potrzebował

150

tej klasy! Czy nie był wystarczająco dobry? Do licha, przecież w Stanfrod był najlepszy w grupie z Technik Konsumpcji! Jego Indeks Zużycia mieścił się w górnych dziewiętnastu procentach! Jego wóz, „dodge ferret”, był bez skazy! Mógłby podać więcej takich argumentów.

Dlaczego go nie awansowali?

Czy to możliwe, żeby go nie zauważyli?

Carmody pospiesznie tłumił te heretyckie myśli. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Czekало go niewdzięczne zadanie. To, co musiał zrobić w ciągu najbliższej godziny, równie dobrze mogło oznaczać utratę pracy. Zostałby wtedy usunięty do szarej masy proletariackich użytkowników Nieregularnych Dostaw Używanych Towarów z Bliskiego Wschodu (NDUTzBW).

Było jeszcze wcześniej, lecz potrzebował wzmocnienia przed czekającą go próbą. Skierował się do baru.

Pochwycił spojrzenie barmana i prędko, zanim tamten zdążył się odezwać, powiedział:

— Hej, przyjacielu, zrób to jeszcze raz!

Fakt, że barman nie zrobił tego wcześniej, a więc technicznie nie był w stanie zrobić tego jeszcze raz, nie miał żadnego znaczenia.

— Już się robi, chłopie — zawołał barman z uśmiechem. — Ballantine ma cudowny aromat i smak jak się należy.

Carmody wiedział, że sam powinien to powiedzieć. Zagapił się. Wolno sączył swoje piwo.

— Tom?

Obejrzał się. Nate Steen z Leonii, New Jersey, stary kumpel i sąsiad popijał cokie.

— To zabawne — stwierdził Steen. — Zauważyłeś, że z cokie wszystko układa się lepiej?

Carmody poczuł, że nie ma pojęcia, jak dokończyć hasło. Jednym haustem wypił swój kufel.

— Hej, przyjacielu, zrób to jeszcze raz! — zawołał do barmana. Niewielką będzie miał z tego korzyść, ale lepszą niż nic. — Co słyhać? — zapytał Steena.

— Żona jest na wakacjach. Zabrała się z American

151

Airways na tydzień na Miami. Zawsze na czele wyścigu po słońce.

— To pięknie — pochwalił Carmody. — Właśnie posłałem Helen do Nassau, a jeśli sądzisz, że Bahamy pięknie wyglądają z powietrza, to zaczekaj, aż wylądujesz. I wiesz, poprzedniej nocy spytałem ją, po co w tym pędzącym

naprzód świecie ktoś chciałby marnować czas na podróż takim statkiem do Europy? A ona na to...

— Niezły pomysł — przerwał Steen. Oczywiście, miał do tego pełne prawo. Ten tekst kompanii Holland-American był zbyt długi, by być prawdopodobny. — Teraz ja. Chyba wybierzemy się wszyscy do Mariboro Country.

— Dobra myśl — podchwycił Carmody. — W końcu...

— ...w Mariboro jest naprawdę wiele do polubienia — dokończył Steen (jego przywilej: on pierwszy zaczął mówić).

— Jasne! — stwierdził Carmody. Pospiesznie dopił piwo.

— Hej, przyjacielu, zrób to jeszcze raz! — zawołał. — Piwo ballantine!

Wiedział jednak, że nie dotrzymuje kroku. Co się z nim działo, do licha? Na ten moment, na tę szczególną sytuację istniał dialog obowiązkowy. Lecz nie mógł go sobie przypomnieć, nie umiał znaleźć słów...

Steen, spokojny i opanowany, spryskany pod pachami nowym, wzmocnionym „ice-blue secret”, wpadł na to pierwszy.

— Kiedy żony wyjechały — zachichotał — musimy pracować sami.

Trafił w punkt. Carmody mógł jedynie się do niego przyłączyć.

— No — powiedział i zaśmiał się sztucznie. — Pamiętasz tę bzdurę: „Moje pranie jest bielsze od twojego?”

Obaj mężczyźni wybuchnęli pogardliwym śmiechem. Potem Steen spojrział na swoją koszulę, spojrział na koszulę Carmody'ego, zmarszczył czoło, uniósł brwi i otworzył usta, wyrażając niedowierzanie, zaskoczenie i zdumienie.

— Hej! — zawołał. — Moja koszula jest bardziej biała niż twoja!

152

— O rany, rzeczywiście — odparł Carmody, nawet nie patrząc. — To dziwne. Używamy takich samych pralek ustawionych na ten sam program. Używamy też tego samego proszku... prawda?

— Ja używam proszku clorox — stwierdził niedbale Steen.

— Clorox — zastanowił się Carmody. — Tak, to musi być to! Mój proszek jest za słaby!

Zrobił rozdrażnioną minę, a Steen promieniał. Carmody zastanawiał się, czy zamówić jeszcze jedno piwo, ale już dwa poprzednie niespecjalnie mu smakowały. Doszedł do wniosku, że Steen jest dla niego trochę za szybki.

Zapłacił za piwo z karty kredytowej American Express, po czym ruszył do swego biura, mieszczącego się na pięćdziesiątym pierwszym piętrze budynku przy Piątej Alei 666. Z demokratyczną uprzejmością pozdrowiał współpracowników. Parę osób próbowało go wplątać w swoje zagrania, lecz ignorował ich. Wiedział, że jego sytuacja życiowa przedstawia się rozpaczliwie. Całą noc rozmyślał, jak z tego wybrnąć. **Ze** zmartwienia rozboleła go głowa, dostał rozstroju żołądka i niemal zapomniał o konkursie charlestona. Na szczęście jego żona Helen (która wcale nie wyjechała na wakacje) podała mu alka-seltzer, który postawił go na nogi w ciągu sekundy. Wszystko poszło zgodnie z planem i wygrali pierwszą nagrodę dzięki alka-seltzer. Problem jednak pozostał. A kiedy Helen powiedziała o trzeciej rano, że Tommy i mały Tinker mieli w tym roku o 32 procent zepsutych zębów mniej niż w ubiegłym, odrzekł: „Wiesz... założę się, że to ta pasta, crest!” Powiedział to jednak bez przekonania, choć wdzięczny był Helen, że podpowiada mu tekst.

Wiedział, że nigdy żona nie podsunie mężowi tyłu tekstów, by miało to jakieś znaczenie. Jeśli ktoś chciał iść w górę we Wskaźniku Konsumpcji, jeśli chciał okazać się godnym tego, co liczyło się w życiu — na przykład postawionego przez Tech szwajcarskiego domku w Nie-krępującej Dzielnicy w Maine albo porsche'a 911 S, kupowanego przez ludzi, którzy nie mogą tracić czasu na cokolwiek gorszego niż najlepsze... tak, jeśli ktoś tego

153

pragnął, to musiał na to zasłużyć. Pieniądze nie wystarczały, tak samo jak pozycja społeczna, tak samo jak naiwna wytrwałość. Trzeba było udowodnić, że naprawdę jest się Kimś Lepszym, bo dla takich przeznaczone były te rzeczy. Trzeba było wszystko zaryzykować, by wszystko osiągnąć.

— Do diabła! — powiedział Carmody, uderzając prawą pięścią w otwartą lewą dłoń. — Powiedziałem, że to zrobię, i zrobię!

Stanowczym krokiem podszedł do drzwi swojego szefa, pana Ubermanna, i otworzył je zdecydowanym gestem.

Pokój był pusty. Pan Ubermann jeszcze nie przyszedł.

Carmody wszedł do środka. Poczeka. Zaciśnął zęby, a na jego czole pomiędzy brwiami pojawiły się trzy pionowe zmarszczki. Z trudem zachowywał opanowanie. Ubermann wejdzie tu lada chwila. A kiedy wejdzie, Tom Carmody powie mu: „Panie Ubermann, może mnie pan wyrzucić, ale muszę panu powiedzieć, że ma pan nieświeży oddech”. Tu zawiesi głos. „N ieświeży oddec h”, powtórzy.

Jak łatwe się to zdawało, a jak trudne było do wykonania. A przecież człowiek musi stanąć dumnie, musi

walczyć o czystość i wszystko, co się z nią wiąże, musi przeć w górę. W tej właśnie chwili — Carmody był pewien — wpatrywały się w niego oczy owych na pół legendarnych postaci, Producentów. Jeśli uznają go za godnego...

— Cześć, Carmody — rzucił Ubermann, wchodząc do pokoju. Szedł długimi krokami, miał przystojną jastrzębią twarz i ślady siwizny na skroniach — oznaka pozycji. Jego okulary w rogowej oprawie były o pełne trzy centymetry szersze niż okulary Carmody'ego.

— Panie Ubermann — zaczął drżącym głosem Carmody. — Może mnie pan wyrzucić, ale...

— Carmody — powiedział szef, a jego głęboki głos przeciął słabe dźwięki wydawane przez Carmody'ego tak, jak nóż Persona z chirurgicznej stali przecina mięso. — Odkryłem dzisiaj zdumiewającą wodę do ust. Nazywa się „scope”. Mój oddech będzie cudowny przez całe godziny.

Carmody uśmiechnął się z goryczą. Cóż za fantastyczny

154

zbieg okoliczności. Szef trafił na tę samą wodę do ust, którą właśnie chciał mu polecić. I działała! Z ust pana Ubermanna nie rozchodził się już zapach przypominający zalany deszczem dół na odpadki. Jego oddech miał teraz słodycz pocałunku (dla dziewcząt, oczywiście; Carmody'ego takie sprawy nie interesowały).

— Słyszałeś o niej? — spytał Ubermann i nie czekając na odpowiedź wyszedł z biura.

Carmody uśmiechnął się z jeszcze większą goryczą. Znów mu się nie udało. A jednak poczuł ulgę. Urzędowa konsumpcja wymagała straszliwego wysiłku i była niezwykle męcząca. Była odpowiednia dla ludzi pewnego typu, lecz może on do nich nie należał? Powiedzmy, że by mu się powiodło. Mógł sobie wyobrazić żal, z jakim rozstawałby się ze swymi pięćdziesięcioośmioprocentowymi artykułami konsumpcyjnymi: kuponami Releigha, skórzanym kapeluszem, podświetlanym bożonarodzeniowym krawatem, swoją Urzędniczą Teczka „Szybka Podróż” ze skaju, swoim muzycznym zestawem KLH model 24 stereo, a zwłaszcza ze swoim najmodniejszym płaszczem od Lakelanda z importowanej, miękkiej, puszystej nowozelandzkiej wełny, z obszywanym kołnierzem i klapami. A musiałby się pozbyć także całej reszty swych ulubionych drobiazgów.

— Czasem człowiekowi wyjdzie coś na dobre, chociaż mu się zdawało, że miał pecha — powiedział do siebie Carmody.

— Naprawdę? O czym ty mówisz, do diabła? — zapytał Carmody sam siebie.

— O Boże! — jęknął Carmody.

— Owszem — odpowiedziała Carmody"emu jaźń Carmody'ego. — Trochę za szybko się zaaklimatyzowałeś, co?

Dwóch Carmodych spojrzało na siebie, porównało swoje cechy i wyciągnęło wnioski. Scalili się.

— Seethwright! — wrzasnął Carmody. — Proszę mnie stąd zabrać!

A Seethwright, porządny facet, właśnie to zrobił.

ROZDZIAŁ XXVI

Ze swą zwykłą dokładnością Seethwright wysłał Carmody'ego do kolejnej prawdopodobnej Ziemi. Transfer był odrobinę szybszy niż natychmiastowy. W istocie był tak szybki, że czas zaczął płynąć nieco w tył, i Carmody miał dziwne uczucie, że reaguje przed otrzymaniem właściwego bodźca. Tworzyło to sprzeczność, niewielką, lecz jednak nielegalną. Seethwright rozwiązał sprawę za pomocą standardowej procedury wymazywania, i nikomu nie chciało się meldować o tym właściwym instytucjom. Efekty były nikłe — drobne naddarcie w kontinuum przestrzenno--czasowym, którego Carmody nawet nie zauważył.

Znalazł się w małym miasteczku, zewnętrznym łatwym do zidentyfikowania — było to, lub udawało, że jest, Maplewood w stanie New Jersey. Carmody mieszkał tu w wieku od trzech do osiemnastu lat. To był jego dom o tyle, o ile w ogóle miał dom.

Albo też, bardziej dokładnie, był to jego dom, o ile był tym, czym się wydawał. To jednak należało sprawdzić.

Stał na rogu Durand Road i Maplewood Avenue, w górnej części miasta. Wprost przed sobą miał centrum handlowe. Z tyłu ciągnęły się uliczki przedmieść porośnięte klonami, dębami, kasztanami, wiązami, dereniami i innymi drzewami. Z prawej była sala wykładowa Nauk Chrześcijańskich, z lewej stacja kolei.

— No i jak, podróżniku? — odezwał się jakiś głos obok jego prawego uda.

Carmody spojrział w dół i spostrzegł, że trzyma sporych rozmiarów radio tranzystorowe. Wiedział od razu, że

była to jego Nagroda.

— Więc wróciłaś — stwierdził.

— Wróciłam? Wcale nie odchodziłam.

— Ale nie widziałem cię w ostatnim świecie prawdopodobieństwa .

— To dlatego, że nie rozglądałeś się specjalnie — wyjaśniła Nagroda. — Byłam w twojej kieszeni w postaci mamie podrobionego denara.

156

— Skąd niby miałem o tym wiedzieć? — zainteresował się Carmody.

— Wystarczyło zapytać — odparła Nagroda. — Jestem z natury metamorficzna i nieprzewidywalna, nawet dla siebie. Ale to już wiesz. **Czy** muszą ogłaszać swoją obecność za każdym razem, kiedy gdzieś trafimy?

— To by było niezłe — stwierdził Carmody.

— Duma nie pozwala mi na takie zachowanie — oświadczyła Nagroda. — Odpowiadam, kiedy mnie wołają. Gdy się mnie nie wzywa, zakładam, że moja obecność jest zbędna. Zdawało się oczywiste, że w ostatnim świecie prawdopodobieństwa nie byłam ci potrzebna. Skorzystałam więc z okazji i skoczyłam do restauracji „Sloklola”, żeby zjeść coś konkretnego. Potem do „Proparium Haganicht”, żeby mi wyczyścili na sucho skórę, i do klubu „Latarnia Słoneczna” Yarinella na parę drinków i pogawędkę z kumplem, który akurat był w sąsiedztwie. A potem...

— Jak sobie dałaś radę z tym wszystkim? — zdziwił się Carmody. — Przecież byłem w tamtym świecie niecałe pół godziny.

— Mówiłam ci, że nasze strumienie czasu są całkowicie różne — wyjaśniła Nagroda.

— No tak, mówiłaś... A gdzie znajdują się te miejsca?

— Tłumaczenie trwałoby zbyt długo — odparła Nagroda. — Szczerze mówiąc, łatwiej tam trafić, niż wytłumaczyć jak. Zresztą to nie są lokale odpowiednie dla ciebie.

— Dlaczego?

— No... z wielu powodów. Wymienię jeden: nie odpowiadałoby ci jedzenie, które podają w „Latami Słonecznej”.

— Widziałem już, jak jadłaś o r i t h i — przypomniał Carmody.

— Tak, oczywiście. Ale orithi to rzadki specjał, delikates trafiający się raz albo dwa razy w życiu. A w „Latami Słonecznej” my, Nagrody, oraz gatunki pokrewne jemy to, co stanowi nasze normalne pożywienie.

— I cóż to jest?

— Lepiej, żebyś nie wiedział — ostrzegła Nagroda.

157

— Chcę wiedzieć.

— Wiem, że chcesz wiedzieć, ale kiedy się dowiesz, będziesz żałował.

— Dość tego — uciął Carmody. — Czym się normalnie odżywasz?

— W porządku, panie Ciekawski — zgodziła się Nagroda. — Ale pamiętaj, sam chciałeś. Normalnie odżywiam się sobą.

— Czym?

— Sobą. Mówiłam, że ci się to nie spodoba.

— Żywisz się sobą? To znaczy, że zjadasz swoje własne ciało?

— Dokładnie.

— Do licha — rzekł Carmody. — Poza tym, że to odrażające, to jeszcze niemożliwe. Nie możesz żyć sobą.

— Mogę i żyję — zapewniła Nagroda. — I jestem z tego dumna. W sensie moralnym jest to znakomity przykład swobody osobistej.

— Ale to niemożliwe — upierał się Carmody. — To narusza prawo zachowania energii albo masy, albo czegoś takiego. To pewne jak diabli, że narusza jakieś prawo natury.

— To prawda, lecz jedynie w specyficznym sensie — oświadczyła Nagroda. — Jeśli bliżej przyjrzesz się tej sprawie, zrozumiesz, mam nadzieję, że niemożliwość jest bardziej pozorna niż rzeczywistość.

— A cóż to o znowu znaczy, do diabła?

— Nie mam pojęcia — wyznała Nagroda. — Taka odpowiedź znajduje się we wszystkich naszych podręcznikach. Nikt jej dotąd nie kwestionował.

— Wyjaśnijmy tę kwestię — zaproponował Carmody. — **Czy** chcesz mi wmówić, że rzeczywiście i dosłownie zjadasz mięso z samej siebie?

— Tak — odrzekła Nagroda. — To właśnie chciałam powiedzieć. Choć nie należy ograniczać tego do mięśni. Moja wątroba to smakowity kąsek, zwłaszcza jeśli się podaje z jajkiem na twardo i odrobiną smalcu z kurczęcia.

Moje zeberka świetnie się nadają na szybkie dania typu

158

przekąski. Natomiast szynki trzeba delikatnie wędzić przez kilka tygodni, zanim...

— Dość — przerwał jej Carmody.

— Przepraszam — powiedziała Nagroda.

— Ale wytłumacz mi: jak twoje ciało może dostarczać odpowiedniej ilości pożywienia dla twojego ciała (brzmi to śmiesznie) przez całe życie?

— No więc... — Nagroda zastanowiła się. — Przede wszystkim nie objadam się za bardzo.

— Być może wyraziłem się niezbyt jasno — spróbował jeszcze raz Carmody. — Chodzi mi o to, w jaki sposób zapewniasz masę twojemu ciału, jeśli równocześnie zużywasz tę masę, by to ciało nakarmić?

— Obawiam się, że niezbyt dobrze cię rozumiem — stwierdziła Nagroda.

— Spróbujmy od nowa. Posłuchaj: jeśli spożywasz swoje ciało...

— Co istotnie czynię — wtrąciła Nagroda.

— Jeśli spożywasz swoje ciało i wykorzystujesz produkty tego spożycia do odżywiania tego samego ciała...

Chwileczkę. Gdybyś ważyła pięćdziesiąt funtów...

— Prawdę mówiąc, na mojej ojczystej planecie ważę dokładnie pięćdziesiąt funtów.

— Znakomicie. Do rzeczy. Jeśli ważysz pięćdziesiąt funtów, a w ciągu, powiedzmy, roku spożyjesz czterdzieści funtów siebie w celu odżywiania siebie, to co ci pozostaje?

— Dziesięć funtów? — spróbowała zgadnąć Nagroda.

— Do cholery, czy nie możesz pojąć, o co mi chodzi? Po prostu nie możesz żywić się sobą przez dłuższy czas!

— Dlaczego nie mogę? — zdziwiła się Nagroda.

— Prawo Malejącego Odzysku — rzekł Carmody, czując, że kręci mu się w głowie. — W końcu nie będzie już ciebie i nie będziesz miała się czym żywić. I umrzesz.

— Zdaję sobie z tego sprawę — przyznała Nagroda. — Śmierć jednak jest niewzruszonym faktem, realnym i nieuniknionym, zarówno dla jedzących siebie jak i dla jedzących innych. Wszystko i wszyscy umierają, Carmody, niezależnie od tego, kim lub czym się żywią.

159

— Przestań opowiadać głupstwa! — zawył C dy. — Gdybyś naprawdę odżywiła się w ten sposób w ciągu tygodnia byłabyś trupem!

— Istnieją owady, których czas życia nie przel jednego dnia — zauważyła Nagroda. — Zresztą Nagrody, radzimy sobie zupełnie nieźle, jeśli c o długowieczność. Pamiętaj, im więcej spożywamy mniej nas zostaje do odżywiania i na dłużej wysi pozostałej żywności. A dla autodrapieżności czas istotnym czynnikiem. Większość Nagród zjada s przyszłość w dzieciństwie, pozostawiając ciało nietk do okresu dojrzałości.

— Jak to zjada swoją przyszłość? — nie zrozi Carmody.

— Nie umiem ci wytłumaczyć jak — odparła groda. — Po prostu robimy to, i tyle. Ja na przy zjadłam swoją masę na wiek od osiemdziesięciu do dziew dziesięciu dwóch lat. To starczy okres i na pewno by m nie podobał. A teraz, racjonując konsumpcję siebie, n nadzieję dociągnąć sporo powyżej siedemdziesiątki.

— Głowa mnie rozboleła od tego wszystkiego — skarżył się Carmody. — I chyba mam mdłości.

— Doprawdy? — oburzyła się Nagroda. — Je cholernie bezczelny z tymi swoimi mdłościami! Ty krw rzeźniku! Ile zwierzęcych tuszy w życiu zeżarłeś? Ile bronznych jabłek pochłonął, ile główek sałaty wyrw z ziemi? Zjadłam o r i t h i, to prawda, lecz w Dniu Sąd staniesz twarzą w twarz z pożartymi przez ciebie stad;

Staną przed tobą, Carmody, setki brązowookich ki tysiące bezbronznych kur, nieskończone szeregi łagodl małych owieczek, że nie wspomnę już o lasach zgwałcoi drzew owocowych i akrach wyniszczonych ogrodów zapłacę za zjedzone o r i t h i. Ale jak ty odpokutujes jęczące góry życia zwierzęcego i roślinnego, którymi żywiłeś? Jak, Carmody? Jak?

— Zamknij się — powiedział Carmody.

— Ależ proszę cię uprzejmie — odparła nadąs Nagroda.

160

— Jem, bo muszę. To cecha mojej natury. Tyle mam ci do powiedzenia.

— Skoro tak twierdzisz...

— Pewno, że tak twierdzą. A teraz może się zamkniesz i pozwolisz mi się skupić.

— Nie powiem więcej ani słowa — oznajmiła Nagroda. — Z wyjątkiem pytania, nad czym zamierzasz się skupić.

— To miejsce wygląda jak moje rodzinne miasto — wyjaśnił Carmody. — Próbuję się zorientować, czy naprawdę nim jest.

— To nie powinno być zbyt trudne — orzekła Nagroda. — Chcę przez to powiedzieć, że zna się swoje rodzinne miasto, prawda?

— Nie. Nigdy mu się bliżej nie przyglądałem, kiedy w nim mieszkałem. A gdy już wyjechałem, to nie myślałem o nim zbyt wiele.

— Jeżeli ty sam nie umiesz stwierdzić, co jest twoim domem, a co nie jest — powiedziała Nagroda — to nikt tego nie potrafi. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę?

— Zdaję sobie — odparł Carmody.

Ruszył wolno wzdłuż Maplewood Avenue. Dręczyło go nagle, straszliwe przecucie, że jakkolwiek podejmie decyzję, okaże się ona błędna.

ROZDZIAŁ XXVII

Carmody rozglądał się idąc i obserwował rozglądając się. Miejsce wydawało się dokładnie tym, czym powinno się wydawać. Po prawej minął kino Maplewood. Wyświetlali „Sagę o Elefantynie”, francusko-włoską przygodówkę reżyserii młodego, zdolnego Jacquesa Marata, który dał światu głęboko wzruszającą „Pieśń moich ran” i zwiariowaną komedię „Paryż razy czternaście”. Na scenie występowała pracująca na ograniczonym kontrakcie nowa grupa wokalna „Jakonnen i Grzyby”.

— Wygląda na zabawny film — zauważył Carmody.

11 —Wymiar cudów

161

— Nie przepadam za takimi — stwierdziła Nagroda. Carmody zatrzymał się przy sklepie z galanterią Mar-vina i zajrzał do środka przez okno wystawowe. Zobaczył rzędy mokasynów, butów do konnej jazdy, skórzane kurtki, szerokie krawaty o śmiałych wzorach, białe koszule z szerokimi kołnierzykami. Obok, w papieżniczym, przejrzał ostatni numer „Colliers”, przekartkował „Liberty”, zauważył „Munsey's”, „Black Cat” i „The Spy”. Właśnie przyszło poranne wydanie „The Suń”.

— No? — spytała Nagroda. — **Czy** to tutaj?

— Ciągłe sprawdzam — odparł Carmody. — Ale na razie wygląda całkiem dobrze.

Przeszedł przez ulicę i zajrzał do knajpy Edgara. Nie zmieniła się. Przy kasie siedziała śliczna dziewczyna, popijająca wodę sodową. Carmody rozpoznał ją od razu.

— Lana Turner! Hej, jak się masz. Lana?

— Świetnie, Tom — odpowiedziała Lana. — Dawno cię nie było.

— Chodziliśmy ze sobą w szkole — wyjaśnił Nagrodzie, gdy poszli dalej. — To zabawne, jak wszystko nagle powraca.

— Może masz rację — zgodziła się z powątpiewaniem Nagroda.

Kawałek dalej, na skrzyżowaniu Maplewood Avenue i South Mountain Road stał policjant. Kierował ruchem, lecz znalazł chwilę czasu, by uśmiechnąć się do Carmody'ego.

— To Burt Lancaster — wyjaśnił Carmody. — Był najlepszym w całym stanie obrońcą najlepszej drużyny, jaką kiedykolwiek miała Columbia High School. A tam, popatrz! Ten facet wchodzący do sklepu ze sprzętem żelaznym, który do mnie pomachał! To Clifton Webb, nasz wykładowca. A tam, na ulicy, widzisz tę blondynkę? To Jean Harlow. Była kiedyś kelnerką w restauracji Maplewood. Wszyscy mówili, że jest szybka — dodał ściszej głoś.

— Wydaje się, że znasz tu sporo ludzi — zauważyła Nagroda.

— Pewnie, że znam! Wychowałem się tutaj! Panna Harlow wchodzi do salonu piękności Pierre'a.

— Jasne. Teraz jest fryzjerem, ale w czasie wojny był

162

we francuskim Ruchu Oporu. Jakże on się nazywał? Już mam: Jean-Pierre Aumont! **Ożenił** się z jedną z miejscowych dziewczyn, Carole Lombard.

— Ciekawe — stwierdziła znużonym głosem Nagroda.

— Dla mnie bardzo ciekawe. O, idzie człowiek, którego znam... Dzień dobry, panie burmistrzu.

— Dzień dobry. Tom — odpowiedział mężczyzna, dotknął końcami palców runda kapelusza i poszedł dalej.
— To był Fredric March, nasz burmistrz — powiedział Carmody. — Groźna figura. Pamiętam jeszcze debatę między nim a naszym miejscowym radykałem, Paulem Muni. Rany, w życiu nie słyszałaś czegoś takiego!
— Hm — mruknęła Nagroda. — W tym wszystkim jest coś dziwnego, Carmody, coś niesamowitego. Nie czujesz tego?
— Nie, nie czuję — stwierdził Carmody. — Mówię ci, wyrosłem wśród tych ludzi. Znam ich lepiej niż samego siebie. O, tam idzie Paulette Goddard. Pracuje w bibliotece. *Cześć, Paulette!*
— Cześć, Tom — rzuciła kobieta.
— Nigdy jej za dobrze nie znałem — mówił Carmody. — Chodziła z takim chłopakiem z Millbum. Nazywał się Humphrey Bogart. Zawsze nosił muszkę, wyobrażasz sobie? Pobił się raz z Lonem Chaneyem, naszym woźnym. I sprął go! Pamiętam to, bo spotkałem się wtedy z June Havoc, a jej najlepszą przyjaciółką była Myma Loy, a Myma znała Bogarta i...
— Carmody! — przerwała mu Nagroda. — Uważaj na siebie! Słyszałeś kiedyś o pseudoklimatyzacji?
— Nie bądź śmieszna — odparł Carmody. — Mówię ci, że znam tych ludzi. Wyrosłem tutaj, a było to znakomite miejsce do wyrastania. Ludzie nie byli tacy bezbarwni jak teraz; ludzie naprawdę coś znaczyli! To były indywidualności, a nie elementy tłumu!
— Jesteś tego całkiem pewny? Twój drapieznik...
— Nie chcę więcej o tym słyszeć! — przerwał jej Carmody. — Patrz! Tam idzie David Niven! Jego rodzice przyjechali z Anglii.
— Ci ludzie zbliżają się do ciebie — ostrzegła Nagroda.

163

— No pewnie. Nie widzieli mnie kupę czasu. Stał na rogu, a jego przyjaciele szli chodnikiem, ulicą, wychodzili ze sklepów i magazynów. Były ich dosłownie setki, wszyscy uśmiechnięci, sami starzy kumple. Dostrzegł Alana Ladda, Dorothy Lamour i Larry'ego Bustera Crab-ba. A za nim szedł Spencer Trący, Lionel Barrymore, Freddy Bartholomew, John Wayne, Frances Farmer...

— Coś tu jest nie w porządku — stwierdziła Nagroda.
— Wszystko jest w porządku — upierał się Carmody. Jego przyjaciele zbliżali się, podchodzili, wyciągali ręce. Był szczęśliwszy niż kiedykolwiek od dnia, w którym wyjechał z domu. Dziwił się, że mógł zapomnieć o dawnych czasach. Ale teraz pamiętał!
— Carmody! — krzyknęła Nagroda.
— **O co** chodzi?
— Czy w twoim świecie zawsze gra muzyka?
— O czym ty mówisz?
— O muzyce — wyjaśniła Nagroda. — Nie słyszysz? I Carmody po raz pierwszy usłyszał. Grała orkiestra symfoniczna, lecz nie mógł określić, skąd dobiega dźwięk.
— Jak długo to trwa?
— Odkąd tu jesteśmy — stwierdziła Nagroda. — Kiedy zacząłeś iść tą ulicą, był to cichy głos bębnow. Potem, kiedy przeszedłeś obok kina, ktoś grał skoczną melodię na trąbce. Gdy zajrzałeś do knajpy, zmieniła się w przesłodzoną melodyjkę wykonywaną przez parę setek skrzypiec. Potem...
— To jest tło muzyczne — oświadczył ponuro Carmody. — Cała ta cholerna scena była udawana, a ja nawet nie zauważyłem.
Franchot Tonę wyciągnęła rękę i dotknęła jego rękawa. Gary Cooper położył mu ciężką dłoń na ramieniu. Laird Cregar obdarzył go przyjacielskim, niedźwiedzim klepnięciem. Shirley Tempie chwyciła go za prawą stopę. Pozostali podchodzili bliżej, ciągle się uśmiechając.
— Seethwright! — wrzasnął Carmody. — Na miłość boską, Seethwright!
Potem wszystko odbyło się zbyt szybko, jak na jego zdolność pojmovania.

Powrót na Ziemię

ROZDZIAŁ XXVIII

Carmody znalazł się w Nowym Jorku na rogu River-side Drive i Dziewięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Ku zachodowi, ponad wybrzeżem Jersey, słońce opadało na Horizon House, a z prawej załśnił w całej swej glorii neon Spry. Pokryte zielonymi liśćmi i sadzą drzewa w Riverside Park szeleściły cicho wśród płynących od West Side Highway spalin. Wokół słychać było wrzaski sfrustrowanych i zestresowanych dzieci, przerywane z rzadka pokrzykiwaniami ich równie sfrustrowanych i zestresowanych rodziców.

— Czy to twój dom? — spytała Nagroda. Carmody spojrział w dół i zobaczył, że znów się przekształciła. Wyglądała teraz jak zegarek z Dickiem Trący, w który wbudowano głośnik stereo.

— Na to wygląda — powiedział.

— Wydaje się interesującym miejscem — orzekła Nagroda. — Pełnym życia. Podoba mi się.

— No — zgodził się z wahaniem Carmody, nie całkiem pewien swych uczuć wobec domu.

Ruszył w stronę eleganckiej dzielnicy. W Riverside Park zapłonęły latarnie. Matki z wózkami odchodziły i wkrótce park miał opustoszeć, pozostawiony wozom policyjnym i chuliganom. Kocim krokiem skradał się smog. Widziane przez jego warstwę budynki przypominały olbrzymów, którzy zgubili drogę. Ścieki ze wszystkich stron

167

splywały wesoło kanałami do Hudson, a jednocześnie Hudson radośnie wpływała do kanałów ściekowych.

— Hej, Carmody!

Carmody zatrzymał się i obejrzał. Żwawym krokiem zbliżał się do niego mężczyzna w garniturze, trzewikach i meloniku, z białym płóciennym fularem. Carmody rozpoznał w nim George'a Marundi, swego znajomego ubożego artystę.

— **Cześć**, chłopie — przywitał go Marundi, podchodząc i ściskając mu dłoń.

— Cześć, cześć — odpowiedział Carmody z niepewnym uśmiechem człowieka, który ma coś na sumieniu.

— No, co się z tobą działo? — spytał Marundi.

— Och, wiesz — powiedział Carmody.

— W istocie nie wiem — stwierdził Marundi. — Helen pyta o ciebie.

— Naprawdę? — nie dowierzał Carmody.

— Jak najbardziej. Dicky Tait robi imprezę w przyszłą sobotę. Chcesz przyjść?

— Pewnie — rzekł Carmody. — Jak tam Tait?

— Sam wiesz, jak jest, chłopie.

— Pewnie, że wiem — stwierdził Carmody tonem głębokiego współczucia. — Ciągle, co?

— A czego oczekiwałeś? — odparł Marundi. Carmody wzruszył ramionami.

— **Czy** nikt nie ma zamiaru mnie przedstawić? — wtrąciła się Nagroda.

— Zamknij się — rzucił Carmody.

— Chłopie, co ty tu masz? — Marundi pochylił się, by obejrzeć nadgarstek Carmody'ego. — Mały magnetofonik, co? Kapitalne, chłopie, kapitalne. Jest programowany?

— Nie jestem programowana — oburzyła się Nagroda. — Jestem autonomiczna.

— To cudowne! — zawołał Marundi. — Słowo daję, świetne. Hej, Mickey Mouse, co nam jeszcze powiesz?

— Odpieprz się!

— Przestań — szepnął nerwowo Carmody.

— No, no. — Marundi wyszczerzył zęby. — Ten maluch ma sporo tupetu, co, Carmie?

168

— To na pewno — przyznał Carmody.

— Skąd to masz?

— Dostałem... no, dostałem tam, gdzie byłem.

— Wyjeżdżałeś? To pewno dlatego nie widziałem cię przez ostatnie parę miesięcy.

— Pewnie dlatego — zgodził się Carmody.

— A gdzie byłeś? — zainteresował się Marundi. Carmody miał już na końcu języka odpowiedź, że był na Miami. Zamiast tego powiedział jednak:

— Odwiedziłem wszechświat, kosmos jako taki, i zapoznałem się z pewnymi wybranymi tematami, które odtąd będą znane jako rzeczywistość.

Marundi pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Miałeś Odlot?

— Istotnie, miałem.

— I podczas Odlotu doświadczyłeś molekularnej wszys-tko-w-jedności wszelkich rzeczy, a także słuchałeś energii swego ciała, nicht wahr?

— Niezupełnie — oświadczył Carmody. — Po moim szczególnym Odlocie obserwowałem dyskretnie energie innych kreacji i przeszedłem poza osobo-molekularność aż do zewnętrzno-atomowości. Inaczej mówiąc, mój Odlot przekonał mnie o realności, że już nie wspomnę o istnieniu stworzeń różnych ode mnie.

— Wygląda to na potężny proch — stwierdził Marundi. — Gdzie można go dostać?

— Proch Doświadczenia destyluje się z mało interesujących Ziół Praktyki — wyjaśnił Carmody. — Wielu pożąda obiektywnej egzystencji, lecz niewielu tylko ją otrzymuje.

— Nie chcesz mówić, co? — spytał Marundi. — Nie przejmuj się, chłopie. Jaki byś Odlot wykonał, to ja potrafię wykonać go lepiej.

— Wątpię.

— Nie wątpię, że wątpisz. Ale to drobiazg. Idziesz na otwarcie?

— Jakie otwarcie?

Marundi spojrział na niego zdziwiony.

169

— Chłopie, ty nie tylko wyjechałeś, ale na dobitkę straciłeś kontakt. Dzisiaj nastąpi otwarcie tego, co jest najważniejszą wystawą naszych czasów, a być może wszystkich czasów.

— A cóż to za klejnot estetyki? — zapytał Carmody.

— Idę tam — oznajmił Marundi. — Możesz iść ze mną. Nie słuchając mamrotań Nagrody, Carmody ruszył za swym przyjacielem. Szli w stronę górnej części miasta, a Marundi powtarzał ostatnie plotki: jak to Komitet Popierania Inicjatyw Nie-Amerykańskich został uznany winnym Nie-Amerykanizmu, ale wykręcił się wyrokiem w zawieszeniu; o sukcesie nowego planu Pepperridge Farm pod nazwą „Zamrozić Człowieka”; jak pięciu dywizjom Amerykańskiej Kawalerii Powietrznej udało się zabić pięciu partyzantów Yietcongu; jak sieć telewizyjna NBC rozpoczęła emisję fantastycznie popularnego serialu zatytułowanego „Przygody w kapitalizmie wolnokonkurencyjnym”. Carmody dowiedział się także, że Generał Motors w geście bezprzykładnego patriotyzmu wysłał dobrany przez wiceprezydenta ochotniczy regiment urzędników do Xien Ka w pobliżu granicy Kambodży.

Rozmawiając tak, dotarli do Sto Szóstej Ulicy, gdzie zrównano z ziemią kilka domów, tworząc w ten sposób miejsce dla nowej konstrukcji. Przypominała ona zamek, lecz taki, jakiego Carmody nigdy w życiu nie widział. Zwrócił się więc do przyjaciela, pełnego wigoru Marun-diego, z prośbą o wyjaśnienia.

— Ta potężna budowla, którą widzisz przed sobą — rzekł Marundi — została zaprojektowana przez architekta Delvanueya, tego samego, który zaplanował także Śmiertelną Pułapkę 66, słynną nowojorską drogę, której nikomu nie udało się przejechać od początku do końca bez wypadku. Także Delvanuey, może sobie przypominasz, nakreślił plany Wież Zapłonu, najnowszego slumsu Chicago, jedyne go slumsu na świecie, którego forma wynika z funkcji. To znaczy, że z dumą i bez fałszywego wstydu został on pomyślany i zaprojektowany jako slums, a Prezydencka Komisja do spraw Występków Sztuk Pięknych w Kom-

170

pleksach Miejskich Ameryki uznała go za „nieodnawialny”.

— To wyjątkowe osiągnięcie — przyznał Carmody. — A jak nazwał tę konkretną konstrukcję?

— To jego *opus magnum* — odparł Marundi. — Oto, przyjacielu, Zamek Odpadków.

Droga do Zamku, jak zauważył Carmody, została przemyślnie ułożona ze skorupki jaj, skórek pomarańczy, pestek avocado i muszli małży. Prowadziła do bramy, której skrzydła wykonano z porzeczki i sprężyn od łóżek. Nad wejściem napis z zawieszonego rybnego łebka tworzył następujące motto: „Marnotrawstwo w obronie zbytku nie jest występkiem; umiar w niszczeniu nadmiaru nie jest cnotą”.

Weszli i posuwając się korytarzami z prasowanej tektury, dotarli w końcu do odkrytego dziedzińca, na którym płonęła wesoła fontanna napalmu. Przeszli obok niej do pokoju zbudowanego z aluminium, stali, polietylenu, for-miki, styrenu, bakelitu, betonu, forniru, akrylanu i winylu. Dalej ciągnęły się następne korytarze.

— Jak ci się podoba? — spytał Marundi.

— Jeszcze nie wiem — odparł Carmody. — Co to ma być, u licha?

— To muzeum — wyjaśnił Marundi. — Pierwsze muzeum ludzkich śmieci.

— Rozumiem — stwierdził Carmody. — I jak zostało przyjęte?

— Z wielkim entuzjazmem, ku memu zdumieniu. To znaczy my, artyści, wiedzieliśmy, że to jest dobre. Nie

spodziewaliśmy się jednak, że publiczność tak szybko chwyci ideę. A tak właśnie się stało. Okazali w tym względnie swój wrodzony dobry smak i uznali to dzieło za jedyną prawdziwą sztukę naszych czasów.

— Naprawdę? Mnie wydaje się nieco trudna w odbiorze. Marundi spojrzął na niego ze smutkiem.

— Nie spodziewałem się, że ty, właśnie ty, okażesz się estetycznym reakcjonistą. Czego byś chciał? Greckich posągów? Czy może bizantyjskich ikon?

171

— Na pewno nie. Ale dlaczego to?

— Ponieważ właśnie to, Carmody, stanowi rzeczywistość teraźniejszość, na której prawdziwa sztuka musi się opierać. Zużywamy, więc jesteśmy! Lecz ludzie nie chcieli przyjąć do wiadomości tego ważkiego faktu. Odwrócili się od Śmieci, owych niezbywalnych pozostałości po naszych rozkoszach. A przecież pomyśl: czym są odpadki? Czyż to nie pomnik naszych potrzeb? „Nie zużywaj, nie pożądaj” — oto starożytna recepta na banalne niepokoje. Lecz teraz ten fałszywy aksjomat został zmieniony. Czemu mówić o odpadkach? Pytanie! A czemu mówić o seksie, o cnotach czy o innych ważnych sprawach?

— Brzmi to rozsądnie, gdy ujmujesz rzecz w taki sposób — przyznał Carmody. — A przecież...

— Chodź ze mną. Obserwuj i ucz się — poradził Marundi. — Ta idea rozrasta się w tobie jak same odpadki.

Weszli do Sali Dźwięków Ubocznych. Tu Carmody wysłuchał odgłosu bez przerwy splukiwanej toalety, muzycznej glorii ulicznego, budzącego dreszcz zgrzytu wypadku i głębokiego pomruku tłumu. Zmieszane z tym były Dźwięki Retrospektywne: warkot samolotu z silnikiem tłokowym, stukot maszyny nitującej, potężne dudnienie kafara. Dalej znajdowała się Komora Bariery Dźwięku, z której Carmody wycofał się pośpiesznie.

— Bardzo słusznie — rzekł Marundi. — To niebezpieczne. Ale sporo ludzi tu przychodzi i niektórzy siedzą w środku po pięć czy sześć godzin.

— Hmm — stwierdził Carmody.

— Być może — zgodził się Marundi. — A teraz, o tutaj, usłyszysz kluczowy dźwięk tej wystawy: cudowny łomot śmieciarki wchłaniającej śmieci. Tam jest wystawa butelek po winie. A tam rekonstrukcja przejścia podziemnego. Zbudowano je tak, by przenosiło wszystkie drgania, i jest zaopatrywane w dym przez Westinghouse'a.

— Co to za krzyki? — zainteresował się Carmody.

— Taśma głosów heroicznych — wyjaśnił Marundi. — Ten pierwszy to Ed Brun, zawodowiec, obrońca Green

Bay

172

Packers. Następny, ten piskliwy skowyt, to dźwiękowy portret ostatniego burmistrza Nowego Jorku. Po nim...

— Chodźmy dalej — poprosił Carmody.

— Oczywiście. Na prawo jest skrzydło Graffiti. Na lewo dokładna kopia dawnego mieszkania czynszowego (moim zdaniem, zupełnie zbędny objaw romantyzmu). Wprost przed nami widzisz kolekcję anten telewizyjnych. Ta — to model brytyjski, rok około 1960. Porównaj ją z produkcją kambodżańską z 1959. Widzisz te płynne, delikatne linie modelu orientalnego? Oto sztuka dla mas wyrażająca się w żywej formie.

Marundi spojrzął na Carmody'ego i powiedział z powagą:

— Zobacz i uwierz, przyjacielu. Oto fala przyszłości. Kiedyś człowiek stawiał opór implikacjom teraźniejszości, lecz ten czas przeminął. Wiemy już, że sztuka jest sama sobą oraz swoimi rozszerzeniami w nadmiarowość. Nie pop-art, spieszę tu dodać. Ten tylko wydrwiwa i wyolbrzymia. Oto sztuka popularna, która po prostu istnieje. Oto wiek, w którym bezwarunkowo akceptujemy nieakceptowalne, głosząc w ten sposób naturalność naszej sztuczności.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Carmody. — Seethwright!

— Po co tak krzyczysz? — spytał Marundi.

— Seethwright! Seethwright, do diabła, zabierz mnie stąd!

— Odbiło mu — orzekł Marundi. — Czy jest tu lekarz? Natychmiast pojawił się niski śniady mężczyzna w jednoczęściowym kombinezonie. Trzymał w ręku małą czarną walizeczkę ze srebrną plakieta, na której było napisane: „Mała Czarna Walizeczka”.

— Jestem lekarzem — oświadczył. — Zaraz go obejrzę.

— Seethwright! Gdzie jesteś, do cholery!

— Hmmmmmm, rozumiem — powiedział doktor. — Ten człowiek zdradza wszelkie objawy ostrej deprivacji halucynatorycznej. Hmm. Tak, obmacuję głowę i stwierdzam twardą, mocną powierzchnię. To normalne. Ale poza

173

tym... hmm, dziwne. Ten biedak jest dosłownie sprag. iluzji.

— Doktorze, może mu pan pomóc? — zapytał Mai

— Wezwał mnie pan w ostatniej chwili — OZA lekarz. — Jego stan jest odwracalny. Mam tu cudz środek.

— Seethwright!

Doktor wyjął z Małej Czarnej Walizeczki pud i przygotował lśniącą strzykawkę.

— To standardowy dopalacz — wyjaśnił Cal dy'emu. — Nie ma się czego obawiać, nawet dziecku b zaszkodził. Zawiera wysoce zadowalającą mieszankę I barbiturantów, amfetamin, tonizatorów, wzmacniaczy chiki, stymulatorów nastroju i wielu innych pożyteczni rzeczy. I jeszcze ślad arsenu, żeby pańskie włosy nal połysku. Teraz proszę się nie ruszać...

— Seethwright, do cholery! Wyciągnij mnie stąd!

— Boli tylko w chwili ukłucia — zapewnił go dół ustawił strzykawkę i wbił igłę w ciało. W tej samej ch albo prawie w tej samej, Carmody zniknął.

W Zamku zapanowała konsternacja i zamieszanie, I nie uspokoiło się, póki każdy czegoś nie zażył. P(wszyscy potraktowali całą sprawę z olimpijskim spoko A co do Carmody'ego, to kapłan zaintonował: „Zbyte człowieku, oto odszedłeś do wielkiej dziedzi Zbyteczy w niebie, gdzie jest miejsce dla wszystkich niepotrzebi rzeczy”.

Ale sam Carmody, popychany przez solidnego J Seethwrighta, nurkował poprzez nieskończone światy. ruszał się w kierunku najwłaściwiej charakteryzowa jako „dół”, przez miriady możliwości Ziemi, ku zaj czonym nieprawdopodobieństwom, aż wreszcie znalazł w szeregu zasięgów konstruowalnych niemożliwości.

— To był twój własny świat, który porzuciłeś, mody! — irytowała się Nagroda. — **Czy** zdajesz s z tego sprawę?

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę — odparł Carm

— I teraz nie ma już powrotu.

— Tego także jestem świadomy.

— Jak sądzę, liczyłeś na znalezienie wśród odwiedzanych światów jakiejś szumnej utopii — powiedziała Nagroda z wyraźną drwiną w głosie.

— Nie, **niezupełnie**.

— Więc co?

Carmody pokręcił głową i nie odpowiedział.

— Cokolwiek to było, możesz o tym zapomnieć — stwierdziła Nagroda z goryczą. — Twój drapieznik jest już za tobą i niezawodnie stanie się twoją zgubą.

— Nie wątpię — odrzekł Carmody z niezwykłym spokojem. — Ale skoro już mowa o dalszych planach, to nigdy nie liczyłem na to, że wydostanę się żywy z tego wszechświata.

— To bez znaczenia — zauważyła Nagroda. — Prawda jest taka, że straciłeś wszystko.

— Nie zgadzam się — zaprzeczył Carmody. — Pozwól zwrócić swoją uwagę na fakt, że jeszcze żyję.

— To prawda. Ale tylko przez chwilę.

— Zawsze tylko przez chwilę byłem żywy — stwierdził Carmody. — Nigdy nie mogłem liczyć na więcej.

Uważam, że pozostanie to prawdą we wszelkich możliwych i potencjalnych okolicznościach, w jakich mógłbym się znaleźć.

— I co chcesz osiągnąć z tą twoją chwilą?

— Nic — oświadczył Carmody. — Wszystko.

— W ogóle cię już nie rozumiem — poskarżyła się Nagroda. — Coś się w tobie zmieniło, Carmody. Ale co?

— Drobiazg — zapewnił Carmody. — Po prostu zrezygnowałem z długowieczności, której i tak nie posiadałem. Rzuciłem tę oszukańczą grę, którą bogowie rozgrywają na swej niebiańskiej estradzie. Nie dbam już, pod jaką skorupką kryje się ziarno nieśmiertelności. Nie potrzebuję go. Mam swoją chwilę, i to mi zupełnie wystarczy.

— Święty Carmody! — rzekła Nagroda tonem najgłębszego sarkazmu. — Nie więcej niż grubość cienia dzieli cię od śmierci. I co teraz zrobisz z tą swoją żalną chwilą?

— Nadal będę ją przeżywał — wyjaśnił Carmody. — Po to właśnie są chwile.